

Helena Sekuła

Zagubione dni

I. SZANTAŻ

- Sprawozdanie dla ministerstwa, panie dyrektorze - sekretarka podsuwa plik wykresów i gruby, staranny maszynopis.

- Sprawozdanie - mruczy z przekąsem dyrektor. Niechętnie przewraca kartki, sprawdza niektóre cyfry w wykresach.

Dziewczyna siedzi wyprostowana na brzeжку fotela. Zapięta pod szyję angielska bluzka z mankietami, ciemna spódnica z elany, smukłe ładne nogi w cieniotkich pończochach. Mimo prostoty stroju Anna należy do tej kategorii kobiet, które zwracają uwagę. Modna fryzura, maquillage, wypielęgowane dłonie.

Nie jest jednak pewna, czy dyrektor Paweł Szeryn zdaje sobie sprawę, że siedzi przed nim ładna, młoda kobieta.

- Już więcej makulatury nie mogła pani zebrać? - złości się.

Anna milczy. Wie, że te pretensje nie są skierowane do niej.

- A po cholere ten wykres? - dziwi się Szeryn.

- Żeby było trudniej zgadnąć - dziewczyna uśmiecha się. - Główny technolog uparł się, żeby to dyrektor przejrzał, nie miałam na niego sposobu. Uparty jest jak muł.

Szeryn zdecydowanym ruchem odsuwa pozostałą stertę korespondencji.

- Sprawdzone? Można to podpisać? - spogląda na sekretarkę spod ciemnych, nawisłych brwi.

- Można - Anna rumieni się lekko. - Od dawna wie, że Szeryn bardzo jej ufa, ale to codziennie powtarzające się misterium sprawia jej wiele satysfakcji.

Dyrektor z westchnieniem ulgi, szybko kładzie zamaszyste podpisy.

Sekretarka spod przymrużonych rzęs przygląda się mężczyźnie. Bardzo lubi te poranne sam na sum w jego gabinecie. Później zaczyna się piekło.

Czy ty wiesz - zapytuje go w myślach - jaki jesteś przystojny? Jaki męski? Dlaczego ty nie widzisz kobiet wokół siebie? Jakim sposobem w ogóle masz syna. Ty ponury, rzeczowy niedźwiedziu. Tylko plan, produkcja, dewizy. Tyś nie mężczyzna, a skamieniałe wykopalisko; dinozaur, przedpotopowy cudak.

- Co dalej? - Szeryn podnosi oczy na dziewczynę.

- Konferencja w ministerstwie o jedenastej, przedstawiciel handlowy Iranu o dwunastej - w sprawie dostaw, przedstawiciel handlowy z Indii w sprawie przyspieszenia terminu dostaw o

pierwszej, pożegnanie ekipy montażowej wyjeżdżającej na Cejlon - o drugiej, na piętnastą zamówił pan głównego technologa - to już się odwleka od soboty - recytuje dziewczyna zerkając w gruby terminarz. - To wszystko na dziś.

- Ministerstwo i pożegnanie ekipy załatwi mój zastępca, inżynier Jaros - decyduje Szeryn. - Handlowców i technologa da pani do mnie. Wszystko?

- Dzisiaj ma pan maturę syna, dyrektorze - przypomina Anna.

- Pamiętam - uśmiecha się Szeryn.

- Z tego powodu trzeba odebrać ubranie od krawca, jest gotowe.

- Wyśle pani gońca.

- Warto jeszcze raz przymierzyć.

- Nie potrzeba - strzepnął dłonią.

- Plastyczka ma uwagi, co do kształtu nowego prototypu. Denerwuje się, że samowolnie zmieniono jej koncepcje. Chce się z panem widzieć.

- Nie ma potrzeby, powie jej pani, że znam tę sprawę. Sam zadecydowałem o zmianach, zresztą niewielkich, ze względów ekonomicznych.

- Myślę, że jednak pan osobiście powinien jej to wyjaśnić - mówi z naciskiem Anna.

- Nie mam czasu na drobiazgi - niecierpliwi się Szeryn.

- Po co pan w ogóle zatrudnia plastyka i to plastyka takiej miary, jak pani Magdalena? - atakuje sekretarka.

- Jak to po co? - Szeryn jest zaskoczony. - Kształt, forma jest ważna. Maszyna wykonana estetycznie cieszy oczy. Odbiorcy zagraniczni bardzo zwracają uwagę na te rzeczy. Dlatego plastik, właśnie dobry plastik, jest niezbędny w zakładach te co typu. Dlatego toleruję pomysły pani Magdaleny, zgadzam się i nimi, ale do pewnych granic.

- Panie dyrektorze, proszę wybaczyć, że powiem swoje zdanie, ale niesłuchanie ciężko jest pracować, zwłaszcza artyście, w atmosferze lekceważenia i zaledwie TOLEROWANIA jego pracy, gdy imienia mu się koncepcje nie uważając za stosowne nawet osobiście zawiadomić go o powodach takiej decyzji.

Szeryn marszcząc brwi wpatruje się w sekretarkę. Co ją ugryzło?

- Ach ty dyktatorku - myśli z oburzeniem dziewczyna. - Ty chłodny satrapo, kacyku! Jak mało sobie cenisz wszystko, co nie jest twoją specjalnością, jaki jesteś czasami bezwzględny.

- Ma pani rację - zgadza się - mogłem urazić panią Magdaleny. Nie pomyślałem o tym. Naprawimy to, proszę umówić mnie z nią na jutro.

Rozbrojona dziewczyna nie może powściągnąć uśmiechu. Minęła godzina piętnasta.

- Dyrektorze, główny technolog do pana - zawiadamia przez uchylone drzwi, Anna.

Inżynier bezszelestnie zamyka obite skórą drzwi gabinetu. Szeryn gestem wskazuje mu aby usiadł.

Próbki stopów nie podobają mi się - mówi bez wstępów Szeryn. - Ja tych stopów nie zatwierdzę.

- Nie podobają mi się - z sarkazmem powtarza technolog. - To bardzo ogólne stwierdzenie. Pan będzie uprzejmy sprecyzować mniej mgliście, co się panu w nich nie podoba.

- Wszystko - ucina dyrektor.

- To nie jest odpowiedź - wzrusza ramionami inżynier. - Równie dobrze może pan powiedzieć, że ja się też panu nie podobam.

Szeryn zmierzył go oczyma - czy tamten chce wyprowadzić go z równowagi?

- Stopy metali nie odpowiadają normom.

- Ta kombinacja znacznie obniży koszty produkcji, to chyba nie jest panu obojętne?

- Ta kombinacja śmierdzi kryminałem.

- Zaraz kryminałem! Po co pan uderza w wielki dzwon, dyrektorze. Czy nikt nigdy nie używał podobnych stopów? I czy były, powiedzmy, jakieś następstwa... przykrości? - inżynier oględnie dobiera słowa.

- Czy widział pan pękające pod ciśnieniem kotły? - odpowiada pytaniem Szeryn. - A musi pan pamiętać, że z reguły przy takich katastrofach giną ludzie. Ludzie, inżynierze, nie mówiąc już o wielomiliardowych stratach.

-Widziałem - stwierdza sucho technolog. - Zaraz panu dokładnie powiem kiedy... - chwilę namyśla się nie spuszczając wzroku z dyrektora. - Taak... w pięćdziesiątym trzecim roku, panie dyrektorze, pan musi też to pamiętać, myślę, że pan doskonale pamięta. Chodziło o katastrofę w wielkich zakładach pod Krościenkiem...

Twarz Szeryna tężeje - bacznie przygląda się tamtemu, milczy.

- W jakim celu pan to wspomina, inżynierze? - chłodno pyta Szeryn.

- Po prostu odpowiadam na pańskie pytanie.

Do czego on zmierza - myśli Szeryn. Trzeba mu pozwolić mówić, niech się wygada do końca. Co się kryje pod tą mieszaniną pochlebstwa ironii i bezczelności.

- Dobrze, ale jaki to ma związek z proponowaną przez pana zmianą proporcji stopów? - atakuje Szeryn.

- Nieco odległy, ale ma - tamten nie jest zaskoczony. - Pamięta pan, byłem członkiem komisji ekspertów badających przyczyny katastrofy. Jedynym zresztą technologiem w tym zespole. Nikt nie przypuszczał, że powodem mogły być stopy metali... Dlatego tylko jeden technolog został przydzielony i to tylko gwoli formalności... Do moich obowiązków należało, między innymi, sprawdzenie i wydanie opinii.

- Kestem panu szczerze zobowiązany za niezeepsucie ani kariery - mówi lodowato Szeryn, starannie ukrywając wściekłość.

- A ja, że docenił pan moje umiejętności i powierzył stanowisko głównego technologa w swoich zakładach - tym samym tonem rewanżuje się inżynier.

- Wyjaśnił mi pan, że dziesięć lat temu spowodowałem katastrofę. Przyczyny jej już wówczas pan znał i tylko z pan u wiadomych powodów ukrył je pan, osłonił swoim autorytetem rzeczoznawcy i człowieka obiektywnego. Dlaczego wtedy nie zażądał pan ode mnie rekompensaty za „nie zwicnięcie mi kariery”? To jest szantaż i to dość głupi szantaż...

- Jeżeli uważa pan mnie za szantażystę, to powinien pan natychmiast wezwać prokuratora lub milicję. Wystarczy sięgnąć do telefonu, proszę - zachęca spokojnie inżynier. - Aparat ma pan pod ręką - technolog czujnie śledzi dyrektora. W tej chwili odczuwa coś z emocji gracza, który postawił znaczną stawką na niezbyt pewnego faworyta.

- Poradzę sobie bez udziału prokuratora - nonszalancko wyjaśnia Szeryn. - Może nawet byłbym skłonny zastanowić się - cedzi dalej - nad tym pańskim olśniewającym wynalazkiem, co nie jest równoznaczne, że go za twierdzę - zastrzega się szybko - ale proszę przede wszystkim odpowiedzieć na pytanie, które zresztą już zadałem, a które pan pominął, inżynierze. Po co pan chce to robić, dlaczego?

- Stawia pan pytania, których się nigdy nie powinno zadawać. Dlaczego? - powtarza z ironią inżynier. - Takie pytania to specjalność dzieci, a nie dorosłych mężczyzn.

- Ja jednak proszę o odpowiedź na to infantylne pytanie.

- Czy pan lubi żyć - odpowiada pytaniem technolog.

Głęboko osadzone stalowo-szare oczy Szeryna znieruchomiały. Spokój - nakazuje sobie. Spokój! Trzeba to rozegrać do końca. Jeżeli coś jeszcze trzyma w zanadrzu, należy sprowokować go, aby powiedział. Znane niebezpieczeństwo to połowa niebezpieczeństwa.

- Czy lubię żyć? - w zamyśleniu przeciąga sylaby. - Oczywiście! - uśmiecha się szeroko.

- Pojęcie życia, korzystanie z jego pełni, jest różne dla różnych ludzi - wolno wyjaśnia technolog.

- Oczywiście - zgadza się Szeryn. - Interesuje mnie, co dla pana stanowi istotę życia, jego najpełniejszy kształt?

- W tym jestem podobny do pana, dyrektorze - uśmiecha się tamten. - Lubię uznanie dla swojej pracy, swoich umiejętności, lubię coś znaczyć, lubię gdy się ze mną liczą, lubię kobiety...

- ... szansonetki, wino i frukta? - przerywa z ironią Szeryn. - Osobiście moją życiową pasją nie są kobiety...

- To nie musi być liczba mnoga - przerywa tamten. - Czasami jest to kobieta... jedna kobieta - zawieszając głos technolog.

Czy to ma być aluzja? - zastanawia się Szeryn. - Zresztą, nawet W najgorszym wypadku, to nie jest znów taki argument, którym mnie może zniszczyć.

- ... czasami lubię las, rzekę, słoneczny poranek - ciągnie inżynier.

- Nie wiedziałem, że pan jest taki liryczny - parska Szeryn. - I dlatego chce pan to zrobić.

Ależ mój drogi, przecież to nie jest żaden przewrót w technice. Łatanina. Gdzie tu miejsce na uznanie, na rozgłos?

- Nie interesuje mnie rozgłos w takiej formie, dyrektorze. Interesują mnie oszczędności.

- Ach! interes państwa. Chwalebne ze wszech miar. Osobiście mam na to nieco odmienny pogląd. Uważam, że istniejąca dokumentacja jest najzdrowsza dla interesu państwa. Jeżeli pan nie zgadza się ze mną, proszę to przedstawić na radzie technicznej w ministerstwie - bez żalu wysłucham, że jestem oportunistą.

- Przez cały czas nie chce mnie pan zrozumieć - nie daje za wygraną technolog. - Ja nie chcę zmieniać dokumentacji, no jeżeli, to bardzo minimalnie... zupełnie nieważne innowacje.

- Teraz już zupełnie nie pojmuję pańskich intencji - szczerze mówi Szeryn.

- Przy zastosowaniu mojego pomysłu - podejmuje ze spokojem technolog - powstaną oszczędności, ale znów nie tak znaczne, żeby się liczyły dla przemysłu.

- No tak - krzywi się Szeryn - nie otrzyma pan zbyt wielkiej premii za to... - Szeryn teraz udaje, że nie rozumie o co tamte mu chodzi.

- Mnie nie zależy na premii, dyrektorze. Powiedziałem, że te nadwyżki nie liczą się dla przemysłu, ale dla dwóch... no powiedzmy trzech osób liczą się i to bardzo.

- Na co pan wobec tego chce przeznaczyć te nadwyżki? - Szeryn pyta wprost.

- Na umilenie życia - bez zmieszania wyjaśnia inżynier, Szeryn przez moment nie może uwierzyć w to, co usłyszał. Jak on śmiał przyjść do mnie z taką propozycją? - myśli. - Dlaczego ja go jeszcze nie wyrzuciłem za drzwi? - dziwi się swemu opanowaniu.

- Przecież to kryminał, nie mówiąc już o odpowiedzialności moralnej, którą pan niezbyt się przejmuje inżynierze.

- Do więzienia trafiają faceci robiący prymitywne kanty. Ja panu proponuję, panie dyrektorze, kombinację pewną, a nie ordynarną kradzież.

-Zgadzam się z panem. Ten kant jest rzeczywiście niepospolity.

-Nie podzielam pańskiego upodobania do drastycznych określeń.

-Tak... ale jak wyobraża pan sobie realizację?

- Może się pan o to nie martwić.

- Skoro mam w tym brać udział, chcę wiedzieć.

- Pan jeszcze nie powiedział, czy chce w tym brać udział - potrząsnął głową inżynier. - Nie nalegam, pan to niewątpliwie chce przemyśleć.

Po wyjściu inżyniera Szeryn siedzi bez ruchu. Wyciągnięte ręce trzyma na blacie biurka, wpatruje się w nie bezmyślnie. Czuje ogromne znużenie. Tak rodzi się przestępstwo - myśli. - Tak wygląda załóżek afery.

Szeryn chce odłożyć tę sprawę jak jeszcze jeden papier czy wykres - ale to nie jest takie proste. W jego pamięci natrętnie dźwięczą słowa technologa.

Dzisiaj mój syn otrzymuje maturę - przypomina sobie dyrektor i robi mu się nieco weselej.

W domu czekają na niego z obiadem. Lucyna - jego żona - ma twarz napiętą, ze sztucznym wyrazem słodyczy. Szeryn rozumie o co chodzi, znów spóźnił się na obiad.

Po jaką cholerę - myśli Szeryn - ona tak celebrytuje te wspólne obiady. Co by się stało, gdybym zjadł obiad sam, chociażby przy kuchennym stole? Z miłego obyczaju zrobiła rytuał - z rytuału niewolę i cierpi przez każdy kwadrans spóźnienia.

- Nienajlepiej wyglądasz - mówi na powitanie syn. - Masz jakieś kłopoty? - uśmiecha się do ojca.

- Jestem trochę przepracowany, ale to nie ma znaczenia, Tomek.

Szeryn pochyła się nad pełnym talerzem. Machinalnie podnosi łyżkę do ust. Z trudem przetyka zupę. Nie może jeść. Czuje na sobie badawcze spojrzenie żony. Stara się jeść, żeby nie sprowokować dobrze znanej tyrady. O Boże, żeby raz mógł nie jeść, kiedy na to nie ma ochoty, żeby mógł wstać bez słowa i pójść do siebie, żeby go nie nagabywała, nie męczyła swą histeryczną, dociekliwą troskliwością.

- Nie smakuje ci? - wolno cedzi słowa Lucyna.

- Skąd to przypuszczenie? - uśmiecha się z przymusem Szeryn. - Gorliwie podnosi łyżkę do ust. Wreszcie, zniecierpliwiony, odsuwa talerz.

- Nie mam pojęcia, co ty chcesz? - głos Lucyny jest podbity pretensją. - Doskonała zupa pomidorowa. Ja naprawdę nie wiem co ci dawać jeść. Może ty będziesz dysponował obiady gosposi?

- Świetna zupa - broni się Szeryn.

- Mamo - interweniuje syn - ojciec po prostu nie ma apetytu. Zdarza się. Zamiast ubolewać, dałabyś mu setkę wódki. Jak sobie strzeli jednego - to zaraz mu się polepszy, zobaczysz.

- Tomek, wiesz, te nie znoszę tego twego... brukowego żargonu - strofuje matka.

- Mamo, podałaśbyś wódeczności i twojemu dziecku, które zdało już maturę. Taki dygnitarski jednak mógłby nie zdać, no i co byś zrobiła? No, powiedz? - przekomarza się syn.

Niestety, Szerynowa dzisiaj nie jest w humorze.

- Jesteś bezczelny! - unosi się.

- Tak, przed wojną byliśmy lepsi - wzdycha z rezygnacją chłopak.

Drugie danie upływa w przykłej ciszy.

- Czy państwo zaszczyca swoją obecnością rozdanie świadectw? - przerywa milczenie

Tomek.

- Oczywiście - odpowiada ojciec.

- Tylko bądźcie taktowni i na zabawie nie siedźcie godzinami, dobrze? - pertraktuje Tomek.

- Załatwione - ojciec uśmiecha się do niego.

- Przyjęłam zaproszenie Iksów na kolację, właśnie w związku z maturą naszych chłopców - mówi Lucyna. - Pójdiesz?

- Nie mogę, kochanie. Wieczorem mam jeszcze pilną pracę w zakładach - kłamie Szeryn.

Nie, za żadną cenę, nawet za cenę awantury, która zaraz wybuchnie, nie da się zawlec na żadną kolację do Iksów.

Dzwoni telefon. Tomek podnosi słuchawkę.

- To do ciebie - podaje ją ojcu.

Lucyna podejrzliwie łowi lakoniczne zdania rzucane przez męża w słuchawkę telefonu.

- Co ty w ogóle sobie wyobrażasz? - zaczyna, gdy tylko Szeryn skończył rozmowę. - Może mi powiesz, czy ja mam męża, czy...

- Ależ mam - wtrąca się Tomek - o ile jestem zorientowany, masz męża ponad osiemnaście lat. Chyba, że ja urodziłem się przed waszym ślubem, ale i tak osiemnaście lat jak obszył.

- Tomek, wyjdź - krzyczy Szerynowa.

- Pewnie, że wyjdę, a co mam robić? Myślisz, że to przyjemnie słuchać jak się kłócicie? Tato, pójdz na tę kolację - zachęca już w drzwiach - inaczej nie unikniesz piły. - Szybko zamyka drzwi, aby nie słyszeć repliki matki.

- To jest nie do wytrzymania. Ciebie nigdy nie ma w domu. Lata całe żyję jak odludek, tylko dom, dziecko... Tak minęła mi młodość - Lucyna zaciska dłonie. Jest pełna żalu i pretensji. Nie to przecież chce powiedzieć, nie o to jej chodzi - zdaje sobie z tego sprawę, a jednak płyną słowa banalne, złe, monotonne, znane aż do znudzenia, głupie słowa, które nie powinny paść, bo nic nie zmieniają, niczego nie naprawią, nie zbliżą ich już do siebie.

Lucyna mówi szybko, nerwowo, głosem wysokim, na pograniczu hysterii. Nie może się opanować, wbrew sobie brnie dalej pod wpływem przemożnej siły, która zmusza ją do robienia czegoś wręcz przeciwnego niż nakazuje rozsądek. Mówi o pełnej wyrzeczności, zmarnowanej młodości, pieniądzu i drożyznie, niezrozumieniu i braku serca.

Szeryn patrzy na nią i wyłącza uwagę. Słyszy oderwane słowa, ton głosu, ale nie zwraca uwagi na sens tego potoku słów. Milczy. - Nie da się uwikłać w głupią, bezsensowną awanturę.

Usiłuje przypomnieć sobie jak to było dawniej. Lucyna była ładną, szczupłą blondynką, miała gładkie ciało o jasnej karnacji, błękitne oczy o nieco zdziwionym wyrazie i wypukłe, kapryśne usta. „Mierna inteligencja” - powiedział ktoś o niej. To prawda, nie miała najszerszych horyzontów, ale

mu to nie przeszkadzało, przeciwnie, uważał ten mankament za jeszcze jeden jej wdzięk. Była dziewczęca i krucha, wyzwalała opiekuńcze skłonności u mężczyzn, pewnie dlatego, że nie była i nie pozowała na kobietę mądrą i samodzielną, co w czasach jego młodości - zaraz po wojnie - było prawie obowiązującym fasonem wśród młodych dziewcząt.

A potem przyszły trudne lata. Ciężkie nie tylko ze względów materialnych. Trzy ciąży, choroby, komplikacje i w konsekwencji troje martwych, niedonoszonych dzieci. Patrząc jak ona się męczy, nie chciał już dzieci. To tylko dzięki niej, dzięki jej decyzji jest Tomek, ten wspaniały chłopak - jego syn. Poczuł ucisk w sercu na wspomnienie tych dni, kiedy Lucyna leżąc w szpitalu nie mogła urodzić Tomka. Dlaczego nie może wykrzesać teraz dla niej przynajmniej współczucia? Co się stało? Czyżby dlatego, że przedwcześnie zwiędła, że zgorzkniała? Rzeczywiście kobiety w jej wieku wyglądają znacznie lepiej. Lucynie niewiele pomogły gabinety kosmetyczne i masaże, nie, nie to - okłamuje się Szeryn. Ciało, oczywiście jest rzeczą ważną - poprawia się natychmiast, chcąc być obiektywny. Ale te wieczne jazgoty, głupie pretensje coraz częstsze i bardziej bezsensowne. Ten brak wyczucia, intuicji kiedy należy dać mu spokój, niemożność rozróżnienia spraw ważnych od błahych, brak zrozumienia dla jego pasji, pracy... Gdybyż miała jakieś zainteresowania poza domem. Gdybyż miała jeszcze jakiś swój świat poza problemami fryzjera, kosmetyczki, krawcowej i pretensjami o jego czas...

Budzi go z tych myśli szloch. Lucyna płacze. Łzy, rozmazując tusz, spływają jej po twarzy znacząc dwa ciemne ślady na policzkach.

- Nie płacz Lucynko, przecież naprawdę nie ma powodu - perswaduje Paweł. Niezgrabnie ociera jej oczy własną chustką. - Kobieta, która ma zamiar płakać, powinna przed tym zmyć tusz z rzęs - mówi żartobliwie. - Idź, umyj oczy a później umaluj je znów. Ładnie ci z przyciemnionymi rzęsami.

- Bo widzisz, przykro mi Pawle - wzdycha Lucyna. - Ty pracujesz, masz swoje zakłady, swój zawód. Tomek już mnie tak nie potrzebuje... Tak koło mnie pusto... Chyba powinnam zająć się jakąś pracą? Może społeczną? - patrzy na niego pytająco. - Co o tym sądzisz?

Szeryn staje się czujny.

Boże! Jaki ona ma ograniczony repertuar. Czy naprawdę nie pamięta, że używała już tego wiele razy? Co by jej na to pytanie nie odpowiedział, będzie źle. Wzbudzi żal i wymówki.

Zrobisz jak zechcesz, kochanie - mówi ostrożnie. I aby już zakończyć tę nieznośną scenę, obiecuje, że wstąpi do Iksów na godzinę.

- Ale tylko na godzinę - zastrzega się.

- Lucyna uspokaja się zupełnie - zadowala ją ten kompromis. Paweł jednak znów ustąpił.

Później jadą na rozdanie świadectw dojrzałości. Gwar, odświętny nastrój, podekscytowana młodzież. Spotykają znajomych. Lucyna rozpromienia się - jest w swoim żywiole. Prezentuje swą

świetnie skrojoną suknię, swego męża, swój kunsztowny maquillage i fryzurę, swoje nienaganne maniery i pozory inteligencji. Gada, gada, gada...

Paweł wychodzi stamtąd jak z ciężkiej niewoli - czuje ulgę. Nareszcie nie musi udawać szczęśliwego ojca, przykładowego męża, towarzyskiego człowieka, wtedy, gdy rzeczywiście jest tylko udręczonym dyrektorem olbrzymich zakładów, którego chcą wplątać w świństwo.

Trzeba walczyć - zacina zęby Szeryn. Nie, nie dam się zastraszyć, nie dam się złamać, nie pójdę na kant - postanawia. - I nie dam zrobić z siebie męczennika, pozostanę dyrektorem tych zakładów. Nie ma mowy o żadnej rezygnacji. Zmierzymy, się panie inżynierze - myśli o technologu.

Nagle zdaje sobie sprawę, że gdyby pozbawiono go pracy w zakładach, jego życie straciłoby sens. Przywiązał się do nich przez tyle lat. Rozwijały się i rosły w znaczenie razem z nim. Włożył w nie swoją energię, wiedzę, wolę i umiejętności. Kawał czegoś, co w nim było najlepszego. Kawał rzetelnej pracy i pasji. Nie, nie pozwoli sobie tego wydrzeć.

Czuje się niesłuchanie osamotniony. Ten silny, energiczny mężczyzna czuje się słaby i zagubiony.

Nerwy - wyjaśnia sobie. Chciałby się z kimś podzielić zmartwieniem. Z kimś życzliwym, kto zrozumie lub nie, ale odczuje niepokój, strach o niego, nie o jego stanowisko, znaczenie i pieniądze, ale o niego samego.

Lucyna? - ależ skąd. Co za pomysł. Nieustający babski lament i wspomnianie przy każdej okazji - atmosfera lęku i hysterii. Magdalena! - spływa na niego olśnienie. W tym potwornym dzisiejszym młynie zapomniał na śmierć o Magdalenie.

Wydaje mu się, że widzi brązowe skośne oczy Magdaleny i grzywę niesfornych, czarnych włosów, spadających na śniade czoło.

Szeryn niecierpliwym gestem zatrzymuje taksówkę - pogania szofera. Jest ożywiony i podekscytowany. Ogarnia go niepokój, czy zostanie Magdalenę w domu - przecież nie umówił się z nią.

Gdyby sekretarka Anna zobaczyła teraz swego szefa, gruntownie zmieniłaby o nim zdanie.

- Dlaczego Paweł nie dzwoni? Dlaczego nie wspomniał kiedy się z nią spotka, gdy rozstawali się przedwczoraj? Nie, nie sposób pracować, gdy bez przerwy oczekuje się na sygnał telefonu.

Pracownia pogrąża się w letnim zmierzchu. Kontury nielicznych sprzętów nabierają ostrości. Magdalena patrzy na znane kąty, jak gdyby z oddalenia, oczyma obcego człowieka. Rozrzucone kartony, rozpięte na blejtramicie płótno, rozłożony na rysownicy szkicownik. Z kąta patrzą na nią totemy - podarowane jej przez kogoś w czasach, gdy urzekała ją sztuka Czarnej Afryki - w

gęstniejącym mroku wyglądają jak przysypane delikatnym popiołem.

To powinien być jej świat. Cały, pełny. Dlaczego nie może uchronić go od ingerencji tamtego Pawłowego świata, który brutalnie wchodzi kiedy chce, wbrew jej woli, i rozprasza, niszczy harmonię tego?

Magdalena przemierza pracownię drobnymi, energicznymi krokami. Dwadzieścia kroków po przekątnej w jedną, dwadzieścia kroków w drugą stronę.

Pracownia jest wygodna, obszerna - obiekt zazdrości kolegów, którym powiodło się gorzej. Jest znanym i cenionym plastykiem, ma sławę i pieniądze... wszystko to, co ją otacza, to efekt jej pracy...

Mimo otwartych okien jest duszno - wieczór nie rozrzedził jeszcze dziennego żaru lipcowego dnia.

Zimny tusz, kawa i trzeba zabrać się do pracy - rozkazuje sobie. Nachyla się do lustra. Oczy. Oczy ujdą - kiwa do siebie głową, ale ta przedwczesna siwizna nie dodaje ci uroku. Dlaczego nie chodzisz do fryzjera? To trzeba zamalować, zaklepać farbą, dużo czarnej farby. Delikatnie obmacuje palcami twarz: siateczka drobnych zmarszczek jeszcze mało widocznych przecina skronie.

Magdaleno, ty zupełnie o sobie nie dbasz - strofuje się. - Idź do kosmetyczki! - Czytaj Filipka! Kiedy ostatnio byłaś u fryzjera, no przypomnij sobie? Jesteś niechlujna, Magdaleno!

Narzuca na siebie roboczy kitel - mocno ściąga paskiem. Własne odbicie w lustrze nagle przestaje ją interesować. Robi mocną kawę, siada przed szkicownikiem. Łyk kawy, papieros - na białym kartonie układają się delikatne linie. Magdalena wreszcie pracuje.

Świat, w którym ośrodkiem jest Paweł, łagodnieje, odpływa poza jasny krąg światła stojącej lampy, poza prostokąt kartonu, przestaje dręczyć, staje się mało ważny, aż znika zupełnie.

Ostry dzwonek telefonu.

Magdalena brutalnie przywołana tym natarczywym sygnałem mruży oczy. Ociągając się odkłada ołówek - rozdrażniona, niechętnie podchodzi do telefonu. Po drodze obiecuje sobie wyłączyć telefon przed zabraniem się do pracy.

- Słucham? - ton jej jest prawie niegrzeczny.

To dzwoni Paweł.

- Magdaleno, zależy mi na tym żebyś zakończyła projekty wewnątrz przed terminem. Co ty na to?

- To są nierealne żądania. Nie wolno ci ich stawiać - w Magdalenie burzy się wszystko, ledwo panuje nad łamiącym się głosem. - Termin mam zagwarantowany w umowie, nikt nie ma prawa wymagać ode mnie...

- Ależ oczywiście, Magda - łagodni dyrektor. - Nikt tu nie mówi o jakimkolwiek przymusie.

Po prostu chciałem cię prosić, żebyś zrobiła to dla mnie... Chciałbym to mieć z głowy.

Magdaleny ogarnia wściekłość.

- Ja nie zajmuję się produkcją - cedzi kobieta. - Chciałabym żebyś to wreszcie zrozumiał.

Moja praca nie jest na akord, mimo że chętnie poszłabym ci na rękę, abyś TO miał z głowy.

- Nie rozumiem twego rozdrażnienia - szczerze dziwi się Paweł.

- W najlepszym wypadku projekty oddam w terminie. Jeżeli przekroczę termin odtrącisz mi, zgodnie z umową, część honorarium - Magdalena twardo skanduje z dania. - Jeżeli chcesz mieć z głowy te wnętrza, to oddaj je malarzom pokojowym. Zrobią ci szybko przed jakimkolwiek terminem i wiesz co?... o wiele taniej, A teraz dobranoc. Pan mi przeszkadza... dyrektorze.

Magdalena na po wrót siada przed szkicownikiem - drżą jej dłonie. To jest już stanowczo nieznośne, ta bez troska, z jaką Paweł odnosi się do jej pracy. Nie, to jest sprawa, w którą nie pozwoli ingerować nikomu, nawet jemu.

Ślepiec, prymityw, pozbawiona wyobraźni logiczna maszyna elektryczna - Magdalena jest niesprawiedliwa.

Pracuje długo - wreszcie ogarnięta znużeniem odsuwa szkicownik. Czuje się wyczerpana i pusta. Niezdolna do myślenia, do odczuwania czegokolwiek - to nawet nie jest takie przykre, ta obojętność, ten brak reakcji na wszelkie bodźce. Może to właśnie jest szczęście? - leniwie nasuwa się jej pytanie.

Dzwonek do drzwi.

- Proszę! - woła Magdalena, nie ruszając się od stołu.

W drzwiach staje Paweł. Magdalena jest zaskoczona - mocne walenie serca, znika obojętność, ani śladu pustki, Zmęczenie wypełnia się bolesną aż radością, Magdalena dziwi się, że można tak głęboko przeżywać takie zwyczajne zdarzenia.

- Cieszę się, że cię widzę, Pawle - mówi zdawkowo.

Szeryn czuje niejasny żal za tę powściągliwość, o to chłodne opanowanie.

- Bardzo cię chciałem zobaczyć.

Kobieta przygląda mu się przez chwilę i delikatnym gestem, w którym jest czułość i przywiązanie, strzepuje jakiś niewidoczny pył z kłapy jego marynarki.

Pięknie ci dzisiaj łśni siwizna Pawle - śmieje się na powitanie.

Szeryn opowiada o rozmowie z technologiem.

- Co byś zrobiła na moim miejscu, Magdaleno?

- Spuściłabym faceta ze schodów i wezwała prokuratora - bez namysłu odpowiada kobieta.

- To nie jest takie proste.

- Nie wolno ulegać szantażom.

- To piękny frazes, Magdaleno, tylko, że życia nie skwituje się frazesami.

- Czy... tamta twoja przeszłość jest aż tak groźna?

- Mam wielu wrogów... czekają tylko, abym się potknął. Nie znasz potęgi demagogii? Muszę się z tym liczyć.

- Jak możesz się od tego uwolnić, bez niczyjej pomocy? Przecież nie możesz pójść na ten kant, Pawle. Myślę, że nie ma gorszej sytuacji niż uzależnienie się od takiego typu. Skąd wiesz, że po tej jednej kombinacji, nie zażąda od ciebie innej bardziej drastycznej, bo to już będzie współnictwo. Z tego powstanie łańcuch uzależnień ponижających, coraz bardziej podłych... Dlatego nie wolno ulegać szantażom. Boję się o ciebie...

- Co myślisz o Jarosie? - nagle przerywa Szeryn.

- O Adamie? - upewnia się Magdalena. Robi jej się bardzo przykro. Dlaczego Paweł wspomina Adama? Co to ma do rzeczy?

- Co myślisz o jego prawości, no... uczciwości? - nalega Szeryf

- Znałam go jako uczciwego człowieka - cicho mówi Magdalena. - Ale jaki związek ma z tym uczciwość Adama Jarosa?

- Bardzo duży - stwierdza Szeryn. - Przecież technolog nie może działać sam. Musiał wciągnąć do spółki Jarosa. Tak mnie zatkała bezczelność tego typu, że zgłupiałem doszczętnie, Magdaleno - szczerze śmieje się Paweł. - Ubrdałem sobie, jakąś sprawę, której w rzeczywistości nie ma... Nonsens.

- Co zrobisz z technologiem?

Szeryn namyśla się przez chwilę - mruży oczy.

- Wyślę go z najbliższą ekipą montażową, powiedzmy do... Katangi. Oczywiście, jako kierownika zespołu. Posiedzi tam najmniej dwa lata.

- A jeżeli nie zechce się dać wysłać?

Zechce. Zdecyduje o jego wyjeździe rada przemysłowo-techniczna. Uznając go za niezastąpionego fachowca. Po obdarzeniu zaufaniem przez taką instytucję - nie ma już odwrotu, trzeba jechać nawet do Katangi. - uśmiecha się złośliwie Szeryn. - Zresztą nie będę taki okrutny, dam mu lepszy kraj. Wprawdzie okazał się kanalią, ale fachowcem jest naprawdę dobrym.

- Kiedyś przecież wróci z tych zagranic.

- Oczywiście, tylko, że u mnie będzie już inny główny technolog i żadnych wakatów. Dam mu doskonałą opinię i złapie go jak świeże bułeczki każdy zakład tego typu co mój,

- Jednym słowem spławisz łobuza, zero moralne, który przy najbliższej okazji zacznie robić, być może z powodzeniem, podobne, albo jeszcze gorsze łajdactwa niż te, które proponował tobie?

- Masz mi to za złe. Magda? - mówi lekko Szeryn. Nie przejmuje się dezaprobatą dźwięczącą w jej głosie, Czuje się coraz lepiej, coraz swobodniej. Dziwi się, że aż tak mógł się przejmować tą głupią sprawą.

Chce już zakończyć rozmowę na ten temat - uważa rzecz za ostatecznie zdecydowaną, załatwioną. On, Szeryn - zdecydował. Jest mocny. Jeżeli potrzeba, potrafi sobie poradzić w każdych okolicznościach. Teraz chce się cieszyć ciemnoooką kobietą, która czasami zupełnie jest niezrozumiała, ale która go niezmiennie pociąga. Nie wie, co w niej jest takiego, zresztą nie zastanawia się, po co dzielić włos na czworo.

Ważne jest, że jakiś nieznaczny miękki gest jej dłoni, przechylenie głowy, zmrużenie oczu, przyprawia go o dreszcz, że czuje się przy niej silny, młody. Ta kobieta jest potwierdzeniem jego siły, energii, jego osobowości.

Szuka słów, aby jej to powiedzieć - nie znajduje.

- To mi się nie podoba - wydyma usta Magdalena. - W tym jest fałsz i oportunizm.

Zepchnięcie odpowiedzialności na innych i maksymalna osobista wygoda.

- Już druga osoba zarzuca mi dzisiaj oportunizm - śmieje się beztrząsowo Szeryn - oczywiście, każda z innych powodów. Magdaleno, nie mam najmniejszego zamiaru cierpieć za miliony. Nie będę narażał własnej pozycji przez tego człowieka. Nie czuję się powołany do oczyszczania Rzeczypospolitej z karierowiczów i kanciarzy. Wystarczy, że zrobię to na terenie zakładów, za które odpowiadam.

- Pozbyć się go z zakładów musisz we własnym interesie. Wyłącznie we własnym interesie. Ale podawać niczym sztafetę, podrzucać go komuś, jak kukułka, wiedząc, do czego ten człowiek jest zdolny, to co najmniej... aspołecznie...

- Magdaleno, zejdź na ziemię - Szeryn jest zniecierpliwiony niepożądanym przedłużeniem rozmowy na ten temat. - To twoje moralizatorstwo, dobre jest dla estetyzujących pięknoduchów żyjących tylko sztuką. W życiu robi się rzeczy przeważnie mniej doskonałe. W sytuacji, jaka się wytworzyła, nie mogę postąpić inaczej. Nie stać mnie na popełnianie nawet najpiękniejszych szaleństw, bo wywołanie skandalu byłoby nieodpowiedzialnym szaleństwem...

- I tak zrobisz co postanowiłeś. Przecież moje zdanie nie będzie miało najmniejszego wpływu... Ocena oderwanej od życia estetyki. Tylko po co te gładkie słowa?

- Nic tu nie upiększam - złości się Szeryn. - Zdecydowałem, że w taki sposób rozwiążę tę sprawę, ponieważ mam coś do stracenia. Dużo do stracenia i wcale tego przed tobą nie ukrywam. Nie noszę głowy w chmurach - trzeźwo chodzę po ziemi i chcę po niej chodzić nawet kosztem kompromisów.

Magdalena milczy - zaczyna żałować, że tak dobitnie osądziła tę Pawłową sprawę. Równocześnie Magdalena Cyniczna kpi: przyjrzyj się temu kryształowemu człowiekowi, przyjrzyj się wreszcie. Coś mi się zdaje, że ten twój ideał ma brzydkie pęknięcia i rysy. Gdzieniedzie odpada piękna polichromia i wyszczerza się zwykła bura glina.

Kocham zwykłego człowieka - z jego małostkami i jego szlachetnością, nawet z jego

świętstwem i nędzą - a nie gładki, kamienny monument.

Zresztą najłatwiej jest teoretyzować, wygłaszać sądy stojąc z boku. Spróbuj stanąć w jego sytuacji i wtedy zastanów się jakbyś postąpiła. Magdaleno, nie jesteś tolerancyjna - broni przed sobą samego Pawła.

- Kiedy wyjeżdżasz, Magda? - zmienia temat Szeryn.

- Za kilka dni.

- Długo tam będziesz?

- Tydzień... dziesięć dni... nie wiem ile wytrzymam - blade uśmiecha się Magdalena.

Paweł namyśla się. Zostawić to wszystko i wyjechać z nią na kilka spokojnych, słonecznych dni - przecież jemu też się należy coś od życia. Chce tylko kilku dni - z dala od tego jarzma. Upał - myśli Paweł; pusty dom, Lucyna jedzie do Krynicy, Tomek z kolegami... Wyjechać! - ogarnia go nieprzeparta pokusa.

Oczywiście wyjedzie - nic nie słoł na przeszkodzie, Jaros przez ten czas poprowadzi zakłady.

Technolog? - nic pilnego. Nawet lepiej, że to się odwlecze. Teraz nawet rada techniczna nie zebrałaby się w komplecie. - Urlopy. A do tej decyzji powinno być pełne quorum, tak aby nic nie można było zarzucić jemu - Szerynowi.

Kandydaturę technologa oczywiście wysunie Jaros. On, Szeryn, zachowa rezerwę, a nawet będzie trochę przeciwny - nie za wiele, ale technolog i tak wyjedzie montować do Katangi, lub na Cejlon.

Zrobię z niego wała - myśli ze złośliwą satysfakcją Szeryn. - A przy najbliższej sprzyjającej okazji poczuje, co to znaczy szantażować Szeryna, zniszczę go - obiecuje mściwie.

- Czy znajdzie się tam miejsce, dla jednego starszego pana? - uśmiecha się do Magdaleny. - Dla jednego zmęczonego oportunisty?

- Naprawdę chcesz pojechać ze mną? - nie może uwierzyć Magdalena.

- Chcę pojechać! Dlaczego to cię tak dziwi?

II. TELEGRAM

- Zastrześliłeś mnie tato! - oświadcza Tomek, nie przerywając układania drobiazgów w plecaku.

- Czyżby fakt, że chcę kilka dni odpocząć, był aż tak zaskakujący? - nieszczerze dziwi się Szeryn.

- Nie. Tylko to nagłe postanowienie jest zupełnie do ciebie niepodobne. Przyzwyczailem się przez tyle lat do systematycznego ojca, który żyje i działa z planem w rękę, który dokładnie wie, co będzie robił za rok tego samego dnia, powiedzmy... o piątej po południu.

- Naprawdę uważasz mnie za zramolałego pedanta? - z prawdziwą przykrością pyta Szeryn.

- Widzę, że taka opinia wcale ci nie odpowiada - śmieje się Tomek. - Gdzie ty w ogóle jedziesz?

- Do leśniczówki w okolice Wielbarka. Leśniczówka nazywa się Wilgajny i leży nad jeziorem o tej samej nazwie.

- Skąd wytrzasnąłeś tę leśniczówkę?

- Wiesz, że nie lubię modnych kurortów.

- Las i woda, rybki... drobne polowanko? - sonduje Tomek.

- Oczywiście, przecież to Mazury.

- Sam jedziesz? Żadnych kumpli. - chłopak i niedowierzaniem przygląda się ojcu.

Szeryn czuje się nieswojo. Dlaczego on tak wypytuje. Czyżby się czegoś domyślał? Ogarnia go lekki niepokój. Ogląda siebie krytycznymi oczyma tego osiemnastoletniego chłopaka - swojego syna. Robi mu się głupio; no tak, podstarzały facet z siwiejącymi skroniami, z reumatyzmem i początkami nerwicy... Facet na poważnym stanowisku, godny, stateczny, mający żonę i dorosłego syna, a tu naraz... kochanka... - Kobieta o pięknym, dojrzałym ciele. Przecież to pierwsze, co taki szczeniak zauważy - męczy się Szeryn. To śmieszne. Ogarnięty spóźnioną namiętnością niemłody mężczyzna - robi mu się gorąco. Dlaczego śmieszne, nie ma w tym nic śmiesznego - broni się przed wyimaginowaną opinią chłopca.

Dla niego może być śmieszne, niesmaczne, nawet skandaliczne - młodość jest okrutna i surowa, jest przekonana, że miłość, namiętność, to jej przywileje. A żal o matkę? - Szeryna ogarnia lęk.

- Oczywiście sam - stwierdza z udaną swobodą, czujnie śledząc wyraz twarzy syna. - Chcę odpocząć.

- Długo chcesz wytrzymać na tym odludziu?

- Dlaczego wytrzymać? - złości się Szeryn. - Robię to z prawdziwą przyjemnością.

- Tak ci się wydaje dzisiaj. Oceniam się na jakieś trzy dni samotności - później będziesz się urywał z nudów.

- Nigdy się sam z sobą nie nudzę, chłopcze.

- Właśnie! Co ty o tym wiesz? Kiedy ty bywasz sam, przypomnij sobie? W zakładach? W domu? Nie, nie jesteś przyzwyczajony do samotności, do beczynnej samotności na dłużej - stwierdza autorytatywnie. Wciąż przygląda się ojcu z głębokim namysłem,

- Masz jakąś propozycję? - domyśla się Szeryn. Czuje ulgą.

- Zgadłeś. Przyjemną i pożyteczną. Co byś powiedział, gdybym cię odwiedził z kumplami? Weź pod uwagę, że nie każdy syn chce poświęcić trochę wakacji dla ojca; zapamiętaj, jakie masz kochające i nietypowe dziecko. Ty nie będziesz się nudził, trochę nas poutrzymujesz, bo nasze

fundusze są dość skromne...

- Jeżeli chodzi o fundusze, to... - Szeryn skwapliwie sięga do kieszeni.

- Owszem, przyjmę, ale nie o to chodzi. Coś ty taki hojny, tato? - nagle dziwi się Tomek.

- Na ogół nie odmawiam ci pieniędzy.

- ... poza tym, wiesz... poużywamy sobie z chłopakami twego pojazdu - wybąkał wreszcie syn.

- Nareszcie się wyjaśnił ten niesłychany przyływ synowskich uczuć - wzdycha Szeryn. - Już się zaczynałem obawiać czyś nie chory. Aha! Ty mi będziesz zarzynał consula przy pełnym samozaparciu poświęceniu kolegów, a ja nie będę się nudził. Masz rację, w takim układzie nie ma mowy o nudzie... - Szeryn namyśla się przez chwilę - decyduje się. - To już nic poświęć się chłopcze dla starego ojca, dam ci tego consula - jedź z kolegami w Polskę.

- Tato!!! - przez moment chłopak jest olśniony, później chmurzy się i z żalem patrzy na ojca. - Jesteś perfidny staruszek, wiesz?

- Dlaczego? - dziwi się Szeryn.

- Bo dobrze wiesz, że jest nas pięcioro, a twoje pudło jest na cztery osoby... Gdybyś powiedział to miesiąc temu... - mówi z narastającym żalem - a tak...?

- Drobiazg, Tomku. Spławicie jednego kolegą albo koleżankę... Na przykład Dorotę - Szeryn bawi się jego rozterką.

- Czy takie chwytaki sam stosujesz? - Tomek jest zły. - Nie ma o czym mówić - reflektuje się. - Wstąpimy do ciebie, zgoda? Chyba, że jest ci to nie na rękę, to mów od razu.

- Nie wiem jak ja was tam urządzę, gdzie będziecie spali... - broni się Szeryn. - Gdybyś mi zaproponował wcześniej, mógłbym zamówić waru locum...

- Wcześniej! A kto wiedział wcześniej, że ty się w ogóle w lecie ruszysz z Warszawy... A ze spaniem to żaden problem, co ty sobie myślisz, że my będziemy spali pod dachem? No bądź zdrów staruszkule! - Tomek zarzuca plecak na ramię. - Czekają na mnie.

- Kiedy mam was oczekiwać? - zatrzymuje go Szeryn.

- Może za pięć dni, może za tydzień... Nie wiem, czy oni będą zachwyceni tym projektem... zdaje się, że ty też nie...

*

- Dziewczyny, nie próżnować! Która wychodzi na drogę? - pyta Rajmund.

Cała piątka: Dorota, Tomek, Jacek, Anielka i Rajmund - siedzi w przydrożnych krzakach osłaniających zarówno od palącego słońca, jak i od widoku z szosy. Rzadko zdarza się tak upalny poranek. Nagrzana ciszę przerywa niekiedy szum przejeżdżającego samochodu.

- Mały ruch - wzdycha Anielka.

- Nie leń się, tylko wyjdź na szosę. I przybierz obiecującą pozę miłego, wdzięcznego, polskiego dziewczęcia - rozkazuje Rajmund akcentując przesadnie ą i ę.

Dorota z rękami w kieszeniach spodni buja się na szeroko rozstawionych nogach. Smukła, wysoka dziewczyna, z gęstą grzywą bardzo jasnych włosów. Przez chwilę przygląda się Rajmundowi z pogardliwym grymasem.

- Owszem, nieźle się prezentujesz Dorotko - chwali wsparty na łokciu Jacek, zadzierając głowę. - Tylko twój styl... powiedziałbym jest nieco zbyt męski... - wykrzywia się z udaną dezaprobatą. - Dziewczyna kumpel, to dobre między nami, ale...

- Do właścicieli samochodów należy podejść psychologicznie - mentorsko przerywa Tomek. - Musimy sobie zadać pytanie, kto posiada samochód?

- Przeważnie ramole i pryki obarczone rodziną i ischiasem - stwierdza Anielka, układając usta w zabawny ryjek.

- *Fi donc!* Jak się wysławiasz Anielko? - gorszy się Rajmund. - Pamiętaj, że moda na brutalnych autostopowiczów minęła dwa lata temu.

- Na brutalnych i niedomytych - dodaje Jacek. - A brutalne dziewczynki nigdy w tym kraju nie były popularne, nawet w epoce koczobryków zaprzęgniętych w szóstkę dereszy...

- Dlaczego dereszy? - chce wiedzieć Anielka.

- Słuchaj, gdy mówią mężczyźni - wykrzywia się Rajmund.

- ...konkludując - z napuszoną miną przerywa Tomek - samochodami dysponuje starsze pokolenie. Czy sformułowałem to dość wytwornie, Rajmund?

- Ujdzie - kiwa głową tamten. - Więc rozumiesz Dorotko - zwraca się do milczącej wciąż dziewczyny - że musisz zmienić styl. Starsze pokolenie lubi: kobietę wampa, kobietę fatalną, kobietę mimozę, wiosnę, kruszynę, ale na pewno nie cwaniaczkę z łapami w kieszeniach...

- Jesteście głupki i do lego brak wam godności, czyli niegodnoglupki - prycha Dorota.

- Zdaje się, że koleżanka nas obraża? - błaznuje Rajmund.

- Głupki bez wyobraźni, tępe szczenięta i zarażone mieszczaństwem miazmaty - wybrzydza się dziewczyna. - Ani mi się śni, i Anielce też, kręcić kuprem na szosie przed jakimś piernikiem tylko dlatego, żeby nas podwiózł, to po pierwsze...

- Nikt ci nie broni, bardziej cenić swego kuperka. To ładnie, że jesteś dziewczyna godna - wtrąca Rajmund. - Ale dlaczego jesteście głupki i miazmaty? Żądam wyjaśnień!

- Dajcie jej mówić! Dajcie jej mówić! Dajcie jej!!!... - skandują unisono.

- Jak będziecie się wygłupiać, to nigdy nie ruszymy się z tej szosy! - wykrzykuje Dorota.

Na chwilę zapada cisza.

- Słuchajcie zwierzaki - mówi dziewczyna. - Po pierwsze nie macie pojęcia o technice autostopu. Dzisiaj już nikt nie wierzy w samotną turystkę na drodze, żeby nawet przypominała

kwiat lotosu. To stary ograny kawał sprzed wieków. Wszyscy o tym wiedzą, że czym wdzięczniejsza dziewczyna na drodze, tym większa banda wylezie z krzaków. To jest kant i to niesłychanie wlarwia zmotoryzowanych... Biorąc pod uwagę konkurencję - co sto metrów siedzi towarzystwo z książeczkami auto-stopu - należy wymyślić coś bardziej oryginalnego! Skończyłam. Teraz ruszcie resztkami zdegenerowanych szarych komórek.

- Poniekąd jest w tym trochę sensu - łaskawie zgadza się Rajmund.- Tylko dlaczego, Dorotko, znieważasz przy tym mężczyzn? - wypina ostentacyjnie tors. - Zapamiętaj sobie, że prawdziwi mężczyźni takich rzeczy nie lubią.

- Nastawiajmy się na ciężarówkę - jęczy Anielka. - Są mniej atrakcyjne i pakowniejsze. Nie mam ochoty, żebyśmy się dzielili, jeszcze się pogubimy.

Niebawem cała piątka uplasowała się pod drzewem na poboczu szosy. Wypatrują samochodów. Z dala nadjeżdża fiat.

- Zaczynamy, rebiata! - wola Rajmund; lekko trąca struny gitary. Jacek gorliwie męczy instrument, Tomek wtóruje na ustnej harmonijce. Anielka wydziera się niskim altem,

- ...Pamiętaasz laato w Poortofiino? - stara się naśladować ciepły głos Sławy Przybylskiej.

Dorota stoi milcząc, wyprostowana i wysunięta nieco przed grupę kolegów. Dzierży na wysokim kijku sklecony naprędce transparent.

„Szczepiliśmy ospę i nie mamy insektów!” - głosi napis wykonany artystycznie ołówkiem do brwi.

Fiat zwalnia - łagodnie hamuje przed śpiewającą grupą. Chłopcy gorliwie szarpia instrumenty.

- Dorota zagajaj - denerwuje się Rajmund.

Z szoferki wychyla się roześmiany kierowca. Tomkowi wydaje się, że musiał gdzieś go widzieć, że z widzenia go zna. Nie może sobie jednak przypomnieć. Mężczyzna z fiata nie zwraca na niego uwagi - pochylił głowę w stronę Doroty.

- Czy w stronę Wielbarka? - Dorota ruchem głowy odrzuca spadające na czoło pasmo niesfornych, lśniących włosów.

Mężczyzna z fiata przez moment przygląda się tej dziewczynie. Śliczna - stwierdza w myślach.

- Siadajcie - szerokim gestem zaprasza mężczyzna; Dorocie daje miejsce przy sobie

- Dorota, dbaj o transparent - upomina Rajmund.

Mężczyzna jest rozmowny - Dorota stara się go zabawić. Do rozmowy włącza się reszta. Tomek jest trochę markotny - ze względu na wyraźne wyróżnianie Doroty przez kierowcę. Z niechęcią obserwuje jego opalony, mocny kark i śniade dłonie o silnych palcach, obejmujące kierownicę.

- A z Wielbarka dokąd? - interesuje się mężczyzna.

- Nad jezioro Rosy Wenedy - wyjaśnia Jacek.

- To dość niedaleko od Wielbarka - mówi kierowca.

- Około trzydziestu kilometrów od szosy żwirówką, a później to już tylko leśna droga... no, może będzie z dziesięć kilometrów - wyczerpująco informuje Rajmund.

- Piękne jezioro, zupełnie dzikie... - wtrąca Anielka. - Nie ma pan ochoty je obejrzeć? - pyta ze słabą nadzieją.

Tomek szturcha Anielkę w bok - ostentacyjnie puka się w czoło.

- Idiotka - syczy. - Podrywaczka amatorka.

- Znam to jezioro - uśmiecha się kierowca. - Rzeczywiście piękne. Odludzie, spokój. Tylko, że to bardzo niebezpieczne jezioro, radzę dobrze uważać.

W Tomku wzbiera nieuzasadniona antypatia do tego mężczyzny - doszukuje się w jego głosie jakiegoś niemiłego nacisku - rośnie również żal do Doroty, uważa, że jest zbyt kokieteryjna.

- Umieemy pływać - chętnie mówi Jacek.

- Topią się przeważnie ci co umieją pływać - stwierdza kierowca. - Nie należy zbyt preceniać ani swoich sił, ani umiejętności.

Rozstają się z gościnnym fiatem za Wielbarkiem. Cała grupa śpiewa na pożegnanie „Portofino” - jeszcze przez chwilę, gdy samochód niknie za zakrętem.

Tomek nie bierze w tym udziału. Ostentacyjnie ulokował się pod drzewem.

- Coś taki nadęły, uważaj bo pęknie - podchodzi do niego Dorota.

- Przejdź, nie rób tłoku - syczy przez zęby Tomek.

- Obraził się! - informuje Dorota nadchodzących kolegów.

- Przyśniło się biednej dziewczynie - wzrusza ramionami Tomek. Jest zły, że Dorota wciąga kolegów do ich osobistych spraw.

Rajmund porozumiewawczo mruga do Jacka - trąca struny gitary.

- „O Dorota i Tomek, jaak oni się kochają, nie ma w całym kraju pary jak Dorota i Tomm!...” - podejmują wszyscy, a najgłośniej Dorota.

Nad jezioro Rosy Wenedy docierają przed wieczorem. Spokojna ciemna woda lśni w dole, w polodowcowej niecce. Za zwartą ścianę lasu powoli stacza się wielkie, czerwone słońce. Głęboką ciszę przerywają czasami głosy dzikiego ptactwa.

Koledzy w milczeniu idą gęsiego leśną ścieżynką, wspinającą się zakosami w górę, nad samą krawędzią urwistego, bardzo stromego brzegu, porośłego gęstymi zaroślami.

W dole jezioro przybiera już szafirowo-granatowe barwy nadchodzącego zmierzchu.

- Jak tu cicho i pięknie - rozmarza się Dorota.

- Sturlać się tak z tego brzegu, brr! - wzdryga się Anielka, spoglądając ze straciłem w dół.

- Kto ci się każe turlać? - wtrąca Rajmund.

Ścieżka prowadzi coraz wyżej. Na chwilę zatrzymuje ich kładka nad urwiskiem. Daleko w dole lustro czarnej już wody - jakby zabłąkanej w szczelinę - nad tym przerzucone grube drzewo łączące odnogę jeziora z dalszym tropem leśnej ścieżki,

- Uwaga, dziewczyny! - ostrzega Rajmund idący na czele pochodu. Zgrabnie przechodzi na drugą stronę. Za nim przechodzą Dorota i Tomek. Kłopot zaczyna się z Anielką.

- Nie mogę - piszczy wystraszona.

- Przecież to wygodne przejście, przestań histeryzować - perswaduje Rajmund.

- Nie bądź jołop, nie rób przedstawienia - niecierpliwi się Jacek.

Dziewczyna nie może się zdecydować. Naprawdę boi się.

- Nie mogę, co spojrzę w dół, to mi się wszystko kręci - wyjaśnia płacząco.

- Przestań kwiczeć - karci Dorota. - Nie patrz w dół. Przeleż na czworakach - radzi. - Jacek, weź ją za pasek i przytrzymaj.

Zrezygnowana Anielka raczkuje po kłodzie drzewa, kurczowo chwytając się dłońmi chropowatej powierzchni. Jacek przytrzymuje ją za poły wiatrówki.

Po drugiej stronie Rajmund z Tomkiem wyciągają ją na ścieżkę.

- Aleś lebiega! - wykrzywia się Rajmund. - Z takimi talentami na włóczęgę? Nie mogę! - przedrzeźnia niedawne piski Anielki.

Już bez przeszkód docierają nad brzeg wody. Ścieżka łagodnie kończy się piaszczystą łachą, tworzącą kilka metrów wygodnej, ładnej plaży.

Wszyscy są jednomyślni co do tego, że należy tu zostać przynajmniej kilka dni.

- Nie wpadajcie w cielecy zachwyty - przestrzega Rajmund. - Ciekaw jestem, co będziecie mówili jak się skończy koryto... A woda do picia..

- Maminsynek - prycha Anielka. - Woda do picia? Będziemy pili przegotowaną z jeziora.

- Po jedzeniu skoczy się do wioski. Zresztą co się teraz martwić, jeszcze to, które mamy, nie skończyło się.

- Do wioski ponad dziesięć kilometrów na piechotę - studzi zapal Rajmund.

- Proszę koleżeństwa - włącza się Tomek z wiecowym zacięciem - chcę tu przedstawić pewną konkretną propozycję, a właściwie powtórzyć pewne zaproszenie...

- Skrcaj się - domagają się pozostali.

- Mój stary zapewnia nam papu na kilka dni i używanie consula. Siedzi w Wilgajnach, to jest niedaleko stąd.

- Ze sto kilometrów - prostuje Jacek.

- Proponuję, aby po wykończeniu zapasów odwiedzić Szeryna-seniora, a później, w miarę naszych chęci, zmienić okolicę. Na przykład wziąć kurs na Giżycko, Ruciane, Mikołajki? - mówi

Tomek.

- Łatwizna - krzywi się Rajmund. - Nie zgadzam się na okrzyczane szlaki. Ludziów jak mrówek, ciasno i w ogóle owczy pęd. Już odezwał się w was stadny instynkt?

Robi się nieopisany zgiełk. Wszyscy wrzeszczą przesadnie demonstrując oburzenie na epitety kolegi, a w gruncie rzeczy roznosi ich radość istnienia, swoboda i nadmiar energii.

- Uzgodnijmy jakiś plan - domaga się Tomek.

- Precz z planowaniem na wakacjach, żądam wolności! - ryczy Jacek.

- Przestańcie wyć, co robimy ze starym Szerynem!? - chce wiedzieć Tomek.

- Spokój! - ucisza Rajmund. - Trzeba się wypowiedzieć na temat starego Szeryna.

- Już stęskniłeś się za rodziną? - dowiaduje się Anielka. - Musisz się trzymać tatusiowych portek?

- Idiotko! - staje w jego obronie Dorota. - Chce nam dostarczyć atrakcji, chodzi o consula.

- Też mi atrakcja - Anielka udaje zblazowaną.

Zdania są podzielone: Tomek i Dorota są za, Anielka z Jackiem protestują, Rajmund się waha.

- Wózek szczegóła przepiękna - łamie się Rajmund. - Ale tak pod okiem starszego pana?...

Nie lubię...

- Stary Szeryn w dechę gość - gorliwie agituje Dorota. - Można spróbować... Przecież znacie go...

- Czekajcie, jest wyjście! - mówi Jacek, którego również bardzo nęci samochód, a protestował tylko ze względu na solidarność z Anielką. - Tomek odwiedzi starego i na następnym biwaku możemy použíwać consula niekoniecznie pod okiem starszego pana. Żeby Tomkowi nie było smutno, doda mu się Dorotę i w charakterze delegacji wyśle do Wilgajn. Dorota na tym skorzysta dodatkowo, bo będzie miała okazję przyzwyczajając się do teścia.

- Już ja sobie z teściem poradzę bez twego błogosławieństwa - złości się Dorota.

- Boże chroń starego Szeryna! - dramatycznie wzdycha Jacek.

- A twojej babci deserowy talerzyk! Nie wtrącaj się do Szeryna i Doroty - śpieszy z pomocą koleżance Anielka.

Na dwa dni starcza zapasów i entuzjazmu. Trzeciego dnia po południu pozostaje tylko trochę sucharów. Wszyscy są głodni i nikomu nie uśmiecha się wielokilometrowy marsz, ale żal im opuszczać to piękne jezioro.

- Ciągniemy losy - proponuje Dorota.

- Ja nie - protestuje Anielka.

- Jest demokracja i równouprawnienie - zastrzega Tomek.

- Ona boi się tej kładki - interweniuje Jacek. - Chcecie, żeby się dziewczyna wtrąciła do

wody?

Nie szcędzą Anielce cierpkich słów, ale wyłączają ją z losowania. Ułamane zapałki wyciągają Rajmund i Jacek.

- Nigdy nie miałem szczęście do loterii - skarży się Jacek, szykując plecaki. - Jeszcze nigdy nic nie wygrałem nawet na książkowej loterii.

- A broszurę o hodowli kaczek? - przypomina Anielka.

- Wracajcie szybko! - krzyczy Dorota, gdy chłopcy znikają wśród drzew w górze ścieżki.

Tomek idzie sprawdzić wędki - codziennie mają na kolację ryby. Dziewczęta pozostają w obozie. Oczekiwanie dłuży się im - Tomek zaczyna żałować, że nie poszedł do wioski. Dziewczęta siedzą osowiale.

Zbliża się wieczór, gdy z lasu słychać znajome pohukiwanie - ożywiona gromadka biegnie naprzeciw kolegom.

- Tomek, masz telegram! - Rajmund podaje prostokąt papieru. Chłopak przekonany, że to dowcip - wymierza mu w rękę potężnego kuksańca.

- Nic wygłupiaj się! Listonosz z tych Wiskitek szukał cię od wczoraj - Rajmund na powrót wciska mu w dłoń pomięty papier.

- To nieporozumienie - nie może uwierzyć Tomek.

- Przeczytaj, chrabąszczu, i trochę, ponieś to! - Jacek z rozmachem zwała mu na ramię ciężki plecak.

W obozie Tomek rozrywa telegram - rzeczywiście, to jednak do niego.

„Tomek przyjeżdżaj natychmiast do Wilgajn - Ojciec”.

Tomek z niedowierzaniem ogląda adres: Tomek Szeryn, poczta Wiskitki - biwak nad jeziorem Rosy Wenedy. Wszystko się zgadza.

- Ojciec mnie wzywa - wyjaśnia wreszcie.

- Starego trapi obawa, czy jedynak nie wpadł w złe towarzystwo - pokpiwa Jacek.

- Przestań błaznować - obrusza się Tomek. - Musiało się coś stać, inaczej stary nie szukałby mnie po Polsce.

- Jak by się coś stało, to by przyjechał, byłoby prędzej niż zabawa w telegramy - uspokaja Rajmund.

- Od Wiskitek i tak by musiał iść piechotą... - stwierdza Tomek. - A może nic mógł... może jest chory? A może coś z matką? - Tomek zaczyna się niepokoić.

- Dawaj ten papier - Rajmund odbiera mu telegram. Czyta. - Z tekstu nie wynika nic groźnego... Gdzie jest twoja matka?

- W Krynicy - odpowiada Tomek. Namysłą się chwilę, później szybko ładuje jakieś drobiazgi do podręcznej torby.

- Co chcesz zrobić? - pyta Rajmund.
- Jadę do ojca.
- Wariat! O tej porze, poczekajmy do rana - oponuje Rajmund.
- Nie mogę. Mój stary nie jest histeryk, dla dupereli nie bawiłby się w telegramy.
- Rebiata, zwijajmy obóz - decyduje Rajmund.
- Co chcecie robić? - nie wierzy Tomek.
- Zapewnić ci towarzystwo - idziemy z tobą.
- Bez paniki! - mówi stanowczo Tomek. - Nie jestem niemowlak, piastunek nie potrzebuję.

Idę sam, prędzej złapię jakiś pojazd. Siedźcie tutaj... w ciągu dwóch dni albo wrócę, albo was zawiadomię, co ze mną jest - wtedy zdecydujecie co zrobić. W najgorszym wypadku spędzicie wakacje beze mnie.

- Chłopaki, nie puszczajcie tego wariata samego! - jęczy Anielka. Rajmund ma rację, idziemy wszyscy.

- Idę sani i to zaraz. Nie czekam na żadne zwijanie manatków. A ty Anielka nie kwicz, bo nie ma powodu. Chciałbym cię widzieć jak byś lazła przez tę kładkę teraz, w nocy...

- Ja przeprowadzę Anielkę - wtrąca Jacek.

Anielka na wspomnienie kładki jest bliska płaczu - ale bohatercko nie mówi nic o swoim lęku, zaciska tylko rękę na ramieniu Jacka.

- Tomek ma rację - mówi spokojnie Dorota - zostańcie, ja idę z nim.

- Nigdzie nie pójdziesz - Tomek jest wściekły. - Chłopaki - apeluje do kolegów - zachowujcie się jak mężczyźni, a nie jak histeryczne baby. Mam wrażenie, że tu tkwią cztery Doroty, albo cztery Anielki.

Osiemnastoletnim mężczyznom trafia do przekonania apel kolegi tym bardziej, że podoba się im jego szybka decyzja i upór.

- Siedzieć baby! - grzmi Rajmund. - Ostatecznie wybór należy do Tomka. Dobrze, czekamy na ciebie, i nie ruszamy się nigdzie dopóki nie przekażesz wiadomości. Odprowadzić cię?

- Nie trzeba - Tomek przerzuca torbę przez ramię.

- Przynajmniej poczekaj, aż wszędzie księżyc, będziesz miał widniej iść - nieśmiało prosi Dorota.

- Adieu! - żegna się nonszalancko Tomek; stara się nie tracić fasonu, a tak naprawdę to jest mu smutno. Szarpie go niepokój o ojca i żal, że musi opuścić kolegów.

Dorota bez słowa idzie obok Tomka. Chłopak łagodnieje, gdy wychodzą z kręgu migotliwego blasku ogniska i przygarnia dziewczynę do siebie. W milczeniu idą kawałek w górę ścieżki.

- Wracaj, Dorota - mówi chłopak, kładąc dłoń na jej ramieniu.

- Uwważaj na siebie - prosi dziewczyna, gładząc go po rękę. Bezwiednie powtarza odwieczny

gest i słowa wszystkich kochających kobiet, które są niespokojne o los mężczyzny, gdy rozdzielają ich jego niezrozumiałe decyzje.

Dorota jeszcze długo stoi nasłuchując oddalających się kroków, aż milkną zupełnie na miękkim mchu ścieżki. W dole z ciemności przywołuje czerwony punkcik palącego się ogniska.

Tomek idzie szybko wznoszącym się, urwistym brzegiem. Jest bardzo ciemno - czas przed wzejściem pełni księżyca. Ciemność, samotność i las potęgują niepokój o ojca.

Chłopak przyspiesza kroku i niecierpliwie oblicza odległość dzielącą go od Wilgajń.

Byle wydostać się z leśnej drogi - myśli. Na zwirowce już mogą złapać jakiś samochód. Nie jest jeszcze tak późno - około północy powinienem dotrzeć do zwirowki. Tam bazuje jakieś leśne przedsiębiorstwo - przypomniał sobie ciężarówki stojące w lesie. To chyba tartak. Poproszę, żeby mnie podrzucili do szosy. Ostatecznie zrobią to za stowę, jeżeli im wyjaśnię co mnie goni po nocy.

Nabiera otuchy, robi mu się raźniej. Wokół rozgadana, szeleszcząca, leśna noc.

Uważać na tę cholerną kładkę - przypomina sobie Tomek. Według jego obliczeń powinna być już niebawem.

Idzie rozglądając się, poprzedzany wątlutkim kręgiem światła kieszonkowej latarki. Postrzępione gałęzie starodrzewu układają się w fantastyczne i trochę niesamowite figury... las wydaje się obcy i groźny...

Nastrój - uspokaja się Tomek i w tej samej chwili nie rozumiejąc co się stało; słyszy zdławiony krzyk - w następnym ułamku sekundy ze zdziwieniem stwierdza, że to krzyczy on sam, nieludzkim, przerażonym głosem...

Spada gdzieś w dół obijając się boleśnie o kamienie. Osłabłymi nagle dłońmi usiłuje chwycić się czegoś, w rękach pozostają tylko źdźbła traw... Kładka? - przepływa w zwolnionym tempie ostatnia świadoma myśl.

Nie czuje już nic, gdy zamyka «ie. nad nim lustro czarnej wody.

Gdy po chwili znad lasu wynurza się czerwony krąg ogromnego księżyca, z głębi urwiska po czarno-srebrzystej wodzie powoli rozchodzą się coraz dalsze kręgi.

*

- Wracamy, Magdaleno - Szeryn zręcznym ruchem wiosła zawraca kajak w stronę brzegu.

- Mam ochotę popływać - mówi kobieta przerzucając nogi przez burtę łódki.

- Wracamy - powtarza Szeryn. - Słyszysz gong na śniadanie?

W porannej ciszy niesie się od brzegu miarowe *stacatto* wysokich dźwięków.

- Spóźnimy się trochę...

- Nie lubię spóźniać się. Nie można tym ludziom utrudniać pracy... Nie jesteśmy jedynymi gośćmi - Paweł przyspiesza rytm uderzeń wiosła.

- Przecież to niewola, takie ślepe posłuszeństwo wskazówkom zegarka - wzdycha Magdalena.
- Dzisiaj jesteś w anarchistycznym nastroju? - uśmiecha się Szeryn.

Magdalena nie odpowiada - płyną w milczeniu. Woda jeziora marszczy się lekko tysiącem drobnych fal; przy brzegu - na wysokiej skarpie - leśniczówka z brunatnych, smołowanych bierwion na tle ciemnozielonej gęstwiny starodrzewu. Z komina domu leniwie snuje się pasemko przejrzystego dymu.

- Jak na kiczowatej pocztówce - ze zdziwieniem stwierdza Magdalena.
- Co? - nie rozumie Paweł i spogląda przez ramię w stronę kobiety.
- To! - Magdalena szerokim gestem wskazuje krajobraz przed dziobem kajaka.

Łódka lekko osiada na brzegu. Idą teraz wolno pod górę - na moment leśne domostwo znika im z oczu zakryte wzniesieniem skarpy.

- Źle się tu czujesz, Magdaleno?
- Skąd taki pomysł...
- Z obserwacji... Od kilku dni patrzę na ciebie codziennie... Jesteś smutna...
- To... przemijanie...
- Nie rozumiem.

- Poczucie przemijania. Zdaję sobie sprawę, że to niemądre, ale nie mogę się od tego uwolnić. Po prostu obsesja. Tutaj czuję to jeszcze dotkliwiej niż w Warszawie.

- Jeżeli na coś nie mam wpływu, jeżeli jakieś zjawisko jest niezależne ode mnie, nie potrafię się tym martwić... odkładam je po prostu i przestaję o tym myśleć. Dlatego nie dręczy mnie poczucie uciekającego czasu, natomiast cieszy każdy przeżywany dzień. Każdy miły dzień - a jeszcze taki juk te tutaj - przyjmuję jako dar, jak uśmiech losu. Bez przerwy otrzymuję prezenty od życia, Magda. Nie próbowałaś nigdy przyjmować tego w jakiś sposób?

- Próbowałam. Nie wychodzi. To niewątpliwie neurastenia, zdaję sobie z tego sprawę, więc nie jest ze mną jeszcze tak źle... Ale ja tutaj liczę każdą uciekającą godzinę. Liczę ile ich jeszcze zostało do naszego powrotu i te rachuby... ta świadomość rozstania zatruwa mi radość przeżywanych tutaj dni...

- Przecież to nie będzie rozstanie...

- Wiem... jest mi trochę wstyd za te brednie, ale nie zawsze odczucia są zgodne z rozumowaniem, przeważnie te dwie rzeczy działają oddzielnie... A u mnie to już na pewno -zawsze się ze sobą mijają - uśmiecha się blado Magdalena.

- Naszła cię czarna godzina. Minie, Magdaleno - Szeryn wymówił to imię w szczególny sposób: ciepło i pobłażliwie, z dystansu rzeczowego, trzeźwego człowieka. Trochę go ten jej nastrój niecierpliwi, tym bardziej że zupełnie go nie rozumie, że nie jest zgodny z jego nastrojem.

Zajęci rozmową nie widzą stojącego na górze skarpy człowieka. Kiedy wychodzą na

wzniesienie jest od nich o krok.

Magdalena w pierwszej chwili nie poznaje go, patrzy roztargniona, pogrążona cała w jakichś swoich myślach. Szeryn jest niemile zaskoczony, skrępowany obecnością Magdaleny, idącej tak blisko niego, wydaje mu się, że atmosfera intymności między nimi jest uchwytna dla oczu tamtego, prawie materialna. Wraz z uczuciem zażenowania narasta w nim złość.

Czego ten tutaj? - myśli. - Przecież to niewola, przez kilka dni nie mogę być prywatnym człowiekiem. Czy jestem własnością zakładów? To nieznośne. A może coś się stało? - wkrada się niepokój.

Ale przy powitaniu nie uzewnętrznia nic i tych uczuć. Jest swobodny, nawet wylewny - sprawia wrażenie, że niespodziewana wizyta tamtego szczerze go ucieszyła.

Magdalena tłumii przykre zdziwienie i również maskuje uczucie skrępowania.

- Mam wrażenie, że w zakładach wszystko w porządku, Adam - mimochodem stwierdza Szeryn.

- Najzupełniej - przyznaje Jaros.

Szeryn zabiera gościa do siebie, oficjalnie żegna idącą do swego pokoju Magdaleny.

- Do zobaczenia na śniadaniu, pani Magdaleno.

Adam Jaros uśmiecha się zdawkowo i żegna ją lekkim ukłonem.

Magdalena nie schodzi na śniadanie do jadalni. Szeryn dostrzega przez okno - gdy siedzą z Jarosem przy stole - jak Magdalena z blokiem rysunkowym pod pachą szybko przechodzi przez ogród i znika za wzniesieniem skarpy. Nie wie, że ten obraz będzie go prześladował, będzie trwał jak wyrzut sumienia przez wszystkie następne lata jego życia, że już nigdy się od niego nie uwolni.

Nie jadła śniadania, ona prawie ucieka - myśli z żalem Szeryn. - Ona jest jednak nadwrażliwa...

Po śniadaniu zaprasza Jarosa nad jezioro - proponuje, aby zaprosić także Magdaleny. Jaros lekko przygryza wargę - zamyśla się przez chwilę. Wpatrzony w Szeryna czarne, chmurne źrenice, w których nie widać tęczy, denerwują go.

- Chciałem z tobą porozmawiać, Pawle.

- A jednak coś się stało?

- Można to i tak nazwać - wzrusza ramionami tamten.

Wracają do pokoju Szeryna.

- Technolog - stwierdza lakonicznie Jaros, nie zdejmując i dyrektora nieustępliwych oczu.

- I po to gonisz dwieście kilometrów? - ze złością wykrzykuje Szeryn. - Przecież nie jesteś dzieckiem! Czy trzeba cię prowadzić za rączkę, nie umiesz sani sobie poradzić?

- Uspokój się - przerywa Jaros. - Na razie nie pytam o radę. Chcę znać twój pogląd na tę sprawę...

- Na jaką sprawą?

- Słuchaj, Pawle, zachowujesz się niepoważnie - chmurzy się Jaros. - Technolog zwrócił się do mnie z wiadomą ci propozycją, twierdząc, że ty uzależniłeś swą zgodę od mojej decyzji. Dlatego tu jestem,

- I nie wyrzuciłeś go za drzwi?

- O ile wiem. tobie też nie starczyło na to odwagi.

- Nie przyjąłem tej propozycji do wiadomości. Nie uzależniłem również przyjęcia jej od twojej zgody.

- Mogłeś przynajmniej jako lojalny przyjaciel - krzywi się ironicznie Jaros - uprzedzić mnie o tym, jakie zamiary względem mnie żywi technolog. Pozostawiłeś sprawę otwartą i beztrąsko wyjechałeś na urlop... A może tu ucieczka?

- Mylisz się. Nie uważam tego w ogóle za sprawę.

- On przygotował już całą dokumentację, zgłosił się do mnie tylko po podpis - informuje Jaros.

- Podpisałeś?! - nie wierzy Szeryn.

- Uzależniłem to od twojej decyzji. Najpierw podpisuje dyrektor.

- A gdybym podpisał to świństwo, to ty byś na to również poszedł? - z ciekawością sonduje Szeryn.

- To zupełnie inna sprawa - wzrusza ramionami tamten. - Mam do ciebie pretensję, że nie uprzedziłeś mnie o zamiarach technologa, to też oddzielne zagadnienie. Ale chcę wiedzieć, i to od ciebie, co masz zamiar zrobić ze swoim głównym inżynierem, Nie przypuszczam, ażebyś to tak pozostawił.

- Oczywiście, że nie.

- Kierujesz sprawę do prokuratora? -- Jaros znów mierzy Szeryna nieprzyjemnym, kłującym wzrokiem.

- Znam prostsze i mniej skandaliczne sposoby...

- Dlaczego nie prokurator? - dziwi się Jaros. - To najprostszy sposób... Technolog wybiera się do ciebie tutaj, po rozstrzygający autograf, będziesz go miał lada dzień.

- On już tu był - uśmiecha się Szeryn.

- Podpisałeś?

- Nie podpisałem i nie podpiszę.

- Więc dlaczego jeszcze się z nim cackasz? Dlaczego nie powiedziałeś mu wprost. Ciekaw byłeś, jak wypadnie kuszenie mnie? Ja jestem asekurant. dyrektorze - Jaros akcentuje ostatnie słowo.

- Wcale nie myślałem o kuszeniu, jestem pewien twojej uczciwości - to stwierdzenie wypadło

nieco pompatycznie.

- Jesteś pewien, że się nie przeliczyłeś? - uśmiecha się Jaros. - No dobrze, ale jakie plany masz w stosunku do technologa, sądzę, że już je obmyśliłeś, skoro z takim spokojem siedzisz w tym sielskim miejscu.

- Rada Techniczna, Adam. Właśnie miałem cię prosić, żebyś przygotował wniosek na wyjazd dla niego. Wyślemy go na montaż, najchętniej do Katangi... - złośliwy grymas wykrzywia mu usta.

- Nie sądzisz, że prostsze i bardziej fair niż prokurator?

- Bardziej fair - przyznaje chłodno Jaros - tylko że on nie pojedzie do żadnej Katangi, a ty podpiszesz tę dokumentację.

- Widziałeś kiedy Szeryna, żeby się wycofywał z tego, co raz postanowił? - chępliwie mówi dyrektor.

- Podpiszesz - tym samym tonem ciągnie tamten - właśnie przyjechałem prosić cię o to.

- Nigdy nie byłeś zbyt dowcipny - mówi Szeryn, sądząc, że to żart.

- Przywiozłem tę dokumentację. Ponieważ głównemu technologowi nie udało się przekonać ciebie, sądzę, że mnie się to jednak uda.

Szeryn siedzi osłupiały, patrząc ze zdumieniem na plik arkuszy, które wyciągnął i położył przed nim jego zastępca.

- Mówisz poważnie? - nie może, nie chce uwierzyć Szeryn.

- Jak najbardziej.

- Prędzej bym się spodziewał nagłej śmierci, niż tego, że mój przyjaciel okaże się złodziejem - mówi pobladły Szeryn.

- Kto ci powiedział, że jestem twoim przyjacielem?

- Tak sądziłem.

- Z jakiego powodu tak sądziłeś? Czy dlatego, że nigdy nie uważałeś za stosowne być względem mnie lojalnym, czy dlatego, że nigdy się ze mną nie liczyłeś? Czy dlatego, że zawsze, przez lata, twój najdrobniejszy interes był stawiany przed, największym nawet, moim dobrem? Czy dlatego, że krzywdziłeś mnie, na każdym kroku, nie zadając sobie trudu aby się nad tym zastanowić? Szczególny rodzaj przyjaźni. Dla ciebie niewątpliwie bardzo wygodny, ale ja nie czuję w stosunku do ciebie żadnych zobowiązań i dlatego żądam zatwierdzenia tej dokumentacji. Jeżeli czujesz się moim przyjacielem, możesz podpisać to w imię przyjaźni, nie pochwalając samego czynu. Czasami dla przyjaciół ponosi się ofiary, więc poświęć swoje skrupuły, Pawle - kpi Jaros.

- Przecież to niemożliwe, żebyś ty, właśnie ty, chciał być złodziejem. Niemożliwe, żebym aż tak nie znał się na ludziach, żebym się na tobie zawiódł, Adam - w tonie Szeryna oprócz przygnębienia jest prawie błaganie. Prosi tamtego, żeby odwołał swoje żądanie, żeby wyjaśnił że to

kiepski żart.

- Będę złodziejem, a ty pomożesz mi zdobyć te pieniądze.

- Po co ci takie brudne pieniądze... - Szeryn wie, że nie potrafi zapanować nad sytuacją i że zadaje głupie pytania.

- Nie bądź taki patetyczny. Jeżeli o mnie chodzi to uważam, że *pecunia non olet*. A ty? - najwyżej będziesz miał wyrzuty sumienia. Nie pierwsze i nie ostatnie, Pawle, Od wyrzutów sumienia jeszcze nikt nie umarł. A ty wydajesz się świetnie przystosowany...

- Nic z tego, Adam. Zapewniam cię, że ominą mnie wyrzuty sumienia z tego powodu. Nie podpiszę tej dokumentacji.

- Jesteś tego pewien? - wolno cedzi słowa Jaros.

- Oddaję sprawę do prokuratora - mówi stanowczo Szeryn.

- Mam potężne argumenty na to, abyś zrezygnował z pomocy prokuratora - w głosie Jarosa brzmi groźba.

- Krościenko? - Szeryn krzywi się z ironią.

- Krościenko to argument twego głównego inżyniera - wzrusza ramionami tamten. - o moich dowiesz się później, jeżeli nie dojdziemy do porozumienia.

- Szeryna ogarnia niezrozumiały lęk. - Czyżbym na stare lata został tchórzem, którego byle szmata może nastraszyć? - myśli ze złością.

- Potrzebujesz pieniędzy? - spogląda w tamte nieustępliwe źrenice bez tęczywek, które przyprawiają go o taki parszywy strach.

- Dużo pieniędzy - podkreśla Jaros.

- Możesz je zarobić w inny sposób.

- W jaki?

- Obejmij kierownictwo montażu we Francji. Nic muszę ci tłumaczyć, że to korzystna oferta, Załatwię ci największe stawki... premie. Twoje stanowisko w zakładach będzie na ciebie czekało, mogę ci na to dać słowo lub zagwarantować w jaki tylko chcesz sposób... Wiesz sam, że o miejsce w tej ekipie ubiegają się wszyscy inżynierowie.

- Wiem. Trzymasz w szachu tą ofertą co najmniej dwudziestu ludzi. Dwudziestu, którzy chcą się wybić za wszelką cenę i zarobić przy tym. Dziel i rządź, stara dobra dewiza, nie ty ją wymyśliłeś, ale, trzeba przyznać, posługujesz się nią bezbłędnie.

- Nie pragnę nikogo trzymać w szachu. Chcę na ten montaż posłać najlepszych.

- Zawsze uważałem cię za bardzo zdolnego inżyniera. W przeciwnym wypadku nie byłbyś moim zastępcą.

- Ile czasu ma trwać ten montaż?

- Półtora roku. około półtora roku.

- To bardzo długo, gdy ma się czterdzieści lat.

- Nie przesadzaj, Francja to nie Kłaj.

Jaros zaczyna się śmiać cichym, jadowitym śmiechem.

- Jednym słowem chcesz nas spławić, ciekaw tylko jestem, dlaczego technologowi przygotowujesz zesłanie w moskity i malarię, a mnie proponujesz takie luksusowe warunki. Jakie świństwo obmyśliłeś dla mnie? No powiedz? Interesuje mnie to wyłącznie z punktu widzenia psychologicznego. Wiesz, takie studium na temat jednego dyrektora, który dzięki swojej bezwzględności osiągnął prawie wszystko, co chciał...

- Moja cierpliwość i dobra wola mają swoje granice - przerywa Sneryn. - Jeżeli jeszcze umiesz myśleć, to zważ, że nie chcę dopuścić, abyś poszedł do kryminału i mnie w to nie wplątał, a równocześnie daję ci możliwość zarobienia znacznych pieniędzy bez kantu. Chcę cię uchronić od świństwa...

- Skąd w tobie tyle dobroci? - szydzi Jaros. - Czyżbyś miał do mnie słabość?

- Jestem tylko uczciwy i... tolerancyjny, Adam. Potrafię zrozumieć ludzkie słabości, pokusy. Tylko dlatego jeszcze z tobą rozmawiam.

- Uczciwy! A co najzabawniejsze, ty zdaje się w to wierzysz. Jesteś o tym głęboko przeświadczony. Przypomnij sobie tylko w jaki sposób robiłeś karierę.

- Nie kradłem.

- Robiłeś gorsze rzeczy niż kradzież, łamałeś ludzi jak zapałki. Odbierałeś im godność i wiarę w siebie. Demoralizowałeś, produkowałeś taśmowo lizusów. Niszczyłeś moralnie nie tylko tych, którzy ci rzeczywiście zagrażali, ale i tych, których uważałeś za potencjalnych rywali. Bezbłędnie usuwałeś ambitnych i zdolniejszych od siebie.

- Kłamiesz! - Szeryn prawie krzyczy. - Niedaleko szukając, zarówno technolog, jak i ty, dzięki mnie otrzymaliście stanowiska. Poważne stanowiska w moich zakładach. To ja wyznaczałem was do premii, do odznaczeń państwowych. Nigdy nie tłumilem waszej inicjatywy, nigdy nie przeszkadzałem wam w osiągnięciu sukcesów, w możliwościach wybicia się, zarobku, znaczenia. Podle zachowujesz się, Adam, i to po tylu latach współpracy... Dlaczego to robisz?

- Technolog zdaje się otrzymał swoje stanowisko za Krościenko, a ja... ja za Magdalенę. Znam świetny przepis na zostanie zastępcą dyrektora Poważnych Zakładów Przemysłowych. Otóż należy być niezłym fachowcem w obojętnej dziedzinie i mieć żonę, i którą chce spać dyrektor - koniec przepisu.

- Adam, czy ty oszalałeś?

- Nie. Przypomnę ci jak to było - Jaros mówi z lodowatym spokojem. - Byłem zwykłym kierownikiem działu, nie wyróżniałem się szczególnie na tle innych. Magdalena zaczęła współpracować i twoim zakładem... Przypadek, że właśnie ona, ale tu kończy się rola przypadku.

Później proponujesz mi wyjazd za granicę na montaż. Przypomnij sobie. To była rzeczywiście ogromna szansa dla mnie. Poważna, ciekawa praca. Możliwość startu - potwierdzenie swoich umiejętności. Jaki inżynier oparłby się takiej olśniewającej propozycji, takim perspektywom? Kto odrzuciłby taką okazję, która być może już nigdy się nie powtórzy. Przyznaję, olśniłeś mnie, wydawałeś mi się wówczas najlepszym człowiekiem pod słońcem. Pochlebilo mi twoje zaufanie, twoja ocena, twój wybór. Rzeczywiście wtedy miałeś we mnie oddanego człowieka. Orałem przez dwa lata... jak wyrobnik - nie przeczę, świetnie, opłacany. Gdy powróciłem, miałem rangę doskonałego fachowca, znaczne oszczędności, samochód. Czekano na mnie odznaczenie państwowe i awans na twego zastępcę... Nie było tylko Magdaleny.

- Adam, jedyna prawda w tym co mówisz, to fakt, iż Magdalena od ciebie odeszła. Wszystko inne to twór twojej wyobraźni - zaręczam.

- Wierzyłem w to jeszcze, co najmniej przez rok po powrocie do kraju. Chciałem w to wierzyć. Zresztą zrobiliście wszystko i ty, i Magdalena, abym w to uwierzył. To nawet ładnie z waszej strony, że ukryliście przede mną wasz związek. Oboje jesteście niesłychanie delikatni... Staracie się zaoszczędzić ludziom niepotrzebnego upokorzenia. Być może, że wyłącznie przez wyrzuty sumienia, chcąc mi zrekompensować straty moralne, mianowałeś mnie swoim zastępcą.

- Rozumiem, to bardzo ludzkie, że masz do mnie żal o Magdalenę - mówi cicho Szeryn. - Niepotrzebnie tylko imputujesz mi te wszystkie świństwa, które rzekomo zrobiłem, aby ci ją odebrać. To nieprawda, Adam, i ty wiesz, że to nieprawda. Nie chciałem ci jej zabierać i nie zrobiłem nic, nic przemyślanego, aby mieć tę kobietę. Zresztą znasz Magdalenę... jej nie można nikomu odebrać, ani do niczego zmusić... Ciężko mi o tym mówić... nasze uczucia są obopólne.

- I tylko wrodzona uczciwość nie pozwala ci rozwieść się z Lucyną i ożenić i Magdaleną, co? Nie chcesz krzywdzić długoletniej żony? Nie przyszło ci nigdy oczywiście na myśl, że w ten sposób krzywdzisz je obie? - Jaros znowu się śmieje.

- Dość!! - przerywa Szeryn. - Należy skończyć tę rozmowę. Mówimy różnymi językami, nie dojdziemy nigdy do porozumienia.

- Słusznie - przyznaje Jaros. - Podpisz te papierki i koniec. Nie mam ochoty na wyjazdy za granicę, mam do nich uzasadniony uraz. Nie potrzebuję dewiz, wystarczą mi złotówki za to - niedbałym gestem podsuwa papiery Szerynowi.

- Zbieraj się stąd! Jeżeli nie chcesz skorzystać z mojej propozycji natychmiast zawiadamiam prokuratora o szantażu, a te dokumenty - Szeryn błady za wściekłości bierze teczkę, którą przywiózł Jaros - dołączam do swego zawiadomienia jako dowód. Wybieraj!!!

Jaros przez chwilę przygląda się Szerynowi. Żebyś wiedział jak cię nienawidzą - myśli. Jeszcze nie wiesz, że zrobisz wszystko, co będę chciał. Podpiszesz, szybko podpiszesz te papiery, tym samym podpiszesz wyrok na siebie. Sądziś, że chodzi mi o pieniądze, o lewe pieniądze.

Wydaje ci się, że jestem zwykłą kanalią, złodziejem, że naprawdę zależy mi na kancie. Jesteś głupi, nie masz pojęcia, o co rozgrywam z tobą tę partię i nie masz pojęcia jakimi dysponuję atutami. To ja zawiadomię, prokuratora, że dyrektor Szeryn podpisał taką dokumentację. Za jednym zamachem ubędzie dwóch łajdaków: twój główny inżynier i ty - naprawdę nie ma kogo żałować. Złamię ci karierę, zupełnie cię zniszczę, a być może, i to jest bardzo prawdopodobne, że dyrektorem twoich zakładów - na których ci więcej zależy niż n»a wszystkich Magdalenach świata - zostanę ja. Połamię cię, już się z tego nic podniesiesz. Stawiam na twoje zaangażowanie, na twoją słabość i wygram.

- Wybieraj!! - niecierpliwie powtarza Szeryn.

- Mylisz się tym razem, to tylko ty masz wybór. Tym razem warunki stawiam ja - Jaros nachyla się do dyrektora i szeptem mówi mu kilka słów.

Szeryn wlepia w niego znieruchomiałe nagle oczy - panuje nad sobą i niedowierza. Jaros jest trochę zawiedziony, spodziewał się innej reakcji ze strony tamtego. On nie wierzy - myśli.

- Chodź ze mną - żąda Jaros. - Przekonasz się, że mówię prawdę.

Szeryn zachnął się, ale posłusznie idzie za tamtym. Za leśniczówką, w gęstym młodniaku, stoi fiat Jarosa - popielaty piękny wóz.

Z każdym krokiem niepokój Szeryna wzrasta, aż w końcu przeradza się w rozpaczliwą pewność.

Gdy widzi znajomy przedmiot w dłoni Jarosa, drzewa, fiat, Jaros, ruszają w opętany taniec dookoła niego, zapada się w ciemność, a później ze zdziwieniem stwierdza, że drzewa i samochód widzi z dołu, obok jego twarzy, po źdźble trawy pracowicie wędruje mrówka. Znow przeszywa, rozsadza mózg rozpaczliwa pewność, która podcięła mu nogi.

Jaros pochyla się nad nim w milczeniu, podając plastikowy kubek od termosu.

Niepewnym gestem ręki odtrąca tamtą dłoń, Jaros nie upiera się. Milczący, z kamienną twarzą, wpatruje się w Szeryna. Czarne brwi wiszą jak chmura nad jego twarzą podobną teraz do maski.

Myśli Szeryna rwą się, powracają, jedna bardziej nedorzeczna od drugiej. Spokój - myśli z rozpaczą. Spokój. Co robić? - musisz zdecydować się zaraz, bezbłędnie, jeszcze nigdy w życiu nie musiałeś podjąć decyzji tak błyskawicznie i nie wolno ci się tym razem omylić. Chce prosić tamtego o zwłokę, o czas do namysłu.

Przecież to szaleniec - ocenia tamtego. Jestem w ręku niepoczytalnego szaleńca.

- Daję ci czterdzieści osiem godzin do namysłu - mówi Jaros. - Całe dwie doby. Stanowczo odradzam gwałtowne działanie. Pamiętaj, że jestem zdecydowany na wszystko. Przyjadę wieczorem.

Szum motoru - perłowy fiat niknie za drzewami, na las opada cisza. Szeryn zostaje sam.

Siada powoli i ciężko opiera się o drzewo. Targany szalonym niepokojem, skrajną rozpaczą - koncentruje wszystkie siły, stara się myśleć trzeźwo, logicznie.

Natychmiast zawiadomić milicję, prokuratora? - Nie. Ten szaleniec nie działa sam, musi mieć współników. Mogą kontrolować moje zachowanie, jeżeli zorientują się, że poszedłem do władz, mogą stać się rzeczy nieodwracalne. Oblewa go zimny, wstrętny pot przerażenia.

Podpisać te przekłete dokumenty? Oczywiście, podpisałby je natychmiast, zaraz, bez względu na konsekwencje, ale jaką ma gwarancję, że tamten dotrzyma słowa?

Przecież to niemożliwe, żeby nie dotrzymał! Jeżeli jest zdolny do szantażu, to nie można przewidzieć, nie można liczyć, że dotrzyma słowa. Ależ przecież to potworne... nie, to niemożliwe, żeby on posunął się aż do tego... To jednak do niego niepodobne... Jeszcze niedawno uważałeś, że niepodobna do niego jest kradzież, jeszcze niedawno byłeś pewien jego uczciwości - na niej między innymi budowałeś łatwość wypunktowania technologa.

Działać na zwłokę? Iie można? Co to przyniesie?

Trzask złamanej gałązki, szelest kroków po miękkim mchu - Szeryn widzi nadchodzącą Magdaleny. Jej włosy prześwietlone słońcem lśnią rudawo. Patrzy na zbliżającą się kobietę, jakby widział ją po raz ostatni.

Magdalena - sływa na niego olśnienie. Przecież tamtemu chodzi o nią. Jeżeli zrezygnuje z Magdaleny może jeszcze wszystko da się uratować. Okropny, niemęski skurcz ściska mu krtań. W tej chwili dopiero w pełni zdaje sobie sprawę czym dla niego jest ta kobieta. Nowa fala żalu, przy tym burzy się w nim wszystko. Przez całe życie nie nauczył się ustępować, rezygnować z tego, czego pragnął, co uważał za swoją własność. Nie, stanowczo nie jest zdolny do wyrzeczeń. Rzeczy mniejsze należy poświęcić dla większych... - płaczą się jakieś komunały. W Magdalenie jedyna nadzieja... może to złudzenie, ale musi się o tym przekonać.

- Co ci jest Pawle, stało się coś? - kobieta z niepokojem patrzy na jego poszarżającą twarz.

Odkłada szkicownik i siada naprzeciw niego.

- Adam kocha cię - mówi Szeryn.

Przez twarz kobiety przebiega skurcz.

- Specjalnie przyjechał po to, aby ci to zakomunikować?

- Jestem wstrząśnięty i... czuję się winny, tym bardziej że nic ci nie mogę zaofiarować... -

Szeryn płacze się w słowach, wie, że powinien mówić inaczej, wie i nie potrafi. Jednocześnie zdaje sobie sprawę, że zachowuje się fałszywie, podłe, że Magdalena wyczuwa ten fałsz, że w najlepszym wypadku śmiertelnie ją obrazi, upokorzy, narazi na cierpienie, na które nie zasłużyła i że to nikomu nic nie pomoże i nikomu się na nic nie przyda.

Kobieta milczy.

- Postawiłem cię w fałszywej sytuacji, chcę to naprawić, nie chcę ponosić odpowiedzialności

za zmarnowanie życia Adamowi - brnie z uporem Szeryn.

- Jakiej odpowiedzialności? - Magdalena jest oburzona. - Zdaję sobie sprawę, że ja mam trzydzieści cztery lata i pięć lat temu rozwiódłam się z mężem. Ja! Nikt mnie z nim nie rozdzielił, to tylko ja sama. Dojrzały człowiek, człowiek, który od dawna myśli i samodzielnie działa, jest odpowiedzialny za swoje czyny.

- Ale gdyby nie ja, gdyby nie ja...

- Jesteś głupiec - mówi Magdalena. Jest głęboko dotknięta, przepelnia ją wstyd i upokorzenie. Zaciska dłonie, aby się opanować. Zachowaj twarz - nakazuje sobie. Przyszło zerwanie - tak to wygląda. Zachowaj godność - nie poniz się do perswazji i próśb.

- Musimy się rozstać, Magdaleno - stwierdza Szeryn.

- Od tego trzeba było zacząć, po co te żenujące usprawiedliwienia? Nie potrzeba mi pretekstów, ani twoich wyjaśnień... Wysnuło się - to wszystko. - Podnosi się z ziemi, zapomina o szkicowniku i odchodzi.

- Magdaleno! - zatrzymuje ją Paweł. - Wróć do Adama, on cię kocha, on potrzebuje ciebie...

Kobieta odwraca się.

- Pozwolisz, że ja sama zdecyduję, kto będzie moim następnym kochankiem - mówi z żalonym cynizmem.

Powiedzieć jej prawdę? - zastanawia się Paweł. Ale jaka będzie jej reakcja? Nie jest w stanie przewidzieć. Nie mogą ryzykować. - Szerynowi nie przychodzi na myśl, aby zastanowić się, jak byłoby lepiej dla niej. Myśli wyłącznie o sobie.

Kobieta odchodzi nie spoglądając już w jego stronę. Szeryn odruchowo podnosi zapomniany przez nią szkicownik i idzie tą samą drogą w stronę leśniczówki.

Jedno jest pewne, że jak tylko tamten przyjedzie, zawiadomi go o rozstaniu z Magdaleną. - Że nie jest w stanie zmusić jej, aby pokochała innego, to powinien zrozumieć nawet ten szaleniec.

Ale co robi Magdalena? - zastanawia się Szeryn. Niedobrze. Rozmawiałem z nią jak głupiec, jak smarkacz. Z tą kobietą należy postępować szczerze.

Przyśpiesza kroku i dogania ją na leśnej drodze.

- Magda! - Szeryn jest już opanowany. - Wiem, że cię bardzo uraziłem. Przepraszam - daruj mi. Jeżeli to może być usprawiedliwieniem, to... grozi mi nieszczęście...

- Jakie nieszczęście, Pawle?

- Kompromitacja i... utrata zakładów... moich zakładów.

- Nie możesz żyć bez zakładów? - w pytaniu Magdaleny nie ma ironii.

- Nie mogę Magda, to sens mojego życia, mojego istnienia... jeżeli je stracę, stracę siebie - w tonie Szeryna brzmi rozpaczliwa prawda. To wyznanie jest szczerze.

- I masz wybór między swoim dyrektorstwem a mną? Przynajmniej tak ci się wydaje? Ale co

z tym wszystkim ma wspólnego Adam?

- Tak. Mam taki wybór. To nie jest urojenie, a obiektywna prawda.

- Wybrałeś ambicję i znaczenie, tak Pawle?

- Wybrałem ambicję i znaczenie - powtarza twardo Szeryn.

- W czym ci mogę pomóc, żebyś nie stracił sensu życia, żebyś nie stracił siebie? - Magdalena myśli, że oto nareszcie widzi prawdziwego Pawła. Mały żaloszny człowieczek, ludzik, który sprzeda wszystko za ambicję, znaczenie za pozory władzy, zresztą może nawet nie sprzedaje. Po prostu, poświęca mniej ważne dla bardzo ważnego. W tym wypadku jego dyrektorowanie, jego zakłady są tym najważniejszym.

Nagle zdaje sobie sprawę, że idzie obok zupełnie obcego obojętnego jej człowieka, który ją mierzi, do którego nie czuje nic oprócz odrobiny pogardy. Przypadkiem ten człowiek ma rysy i sylwetkę mężczyzny, którego kochała i tylko to boli, ale to podobieństwo nie ma już żadnego znaczenia. Czuje się wolna i bardzo daleka od tego wszystkiego co jeszcze przed godziną było najistotniejsze w jej życiu. Wypełnia ją niedobra, męcząca pustka.

- Porozmawiaj z Adamem, będzie dziś wieczorem - prosi Paweł.

- O czym u nas z nim mówić? - ogarnia ją apatia i zniecierpliwienie. Czego ten człowiek od niej chce?

- Nie wiem, Magdaleno. Zorientujesz się sama. Tylko nie powtórz mu tego, co ci powiedziałem przed chwilą, jeżeli jeszcze możesz sobie życzyć, aby ominęło mnie nieszczęście... - Akcent rozpaczliwej szczeroci w tonie Szeryna wpływa na to, że Magdalena postanawia jednak porozmawiać ze swym byłym mężem.

III. INTRUZI

- „Obudź się, Czarny Ali Babo, strząśnij z brody resztki snuuu” - śpiewa bez przekonania Anielka.

Chłopcy byle jak brzdąkają w struny. Kolejny mijający ich samochód nie zatrzymuje się.

Zrezygnowani usuwają się w skąpy cień przydrożnych krzaków. Mimo wczesnych porannych godzin upał odbiera chęć najprostszego wysiłku.

- Wracamy - mruczy Jacek.

- Jesteście świetni kolesie, nie ma co. Wracajcie. Ja zostaję - postanowienie Doroty jest nieodwracalne.

- Mieliśmy na niego czekać, a nie pętać się do starego - zauważa Rajmund.

- Musiało się coś stać, że nie dał znaku życia - uparcie twierdzi Anielka.

- Jesteście dwie histeryczki - opiniuje Jacek.

- To wypruwaj stąd! Chyżo- nagle denerwuje się Anielka. - Idź namocz się w stawie z Rajmundkiem, a histeryczki już sobie poradzą same. Albo jesteście paczką, albo przypadkową zbieraniną.

- Zdaje się, że koleżanka nas tyranizuje - wtrąca Jacek.

- Jesteście leniwe wieprze, a nie koledzy - dodaje rozdrażniona Dorota.

Solidna awantura wisi na włosku, ale z daleka, widać nadjeżdżającą simkę, więc wszyscy ustawiają się na skraju szosy. Samochód zatrzymuje się.

- W stronę Wilgajn? - pyta ze słabą nadzieją Rajmund.

- Do samych Wilgajn - uśmiecha się znad kierownicy major Korosz, inspektor służby kryminalnej Komendy Głównej Milicji - tym razem na urlopie.

- Tylko tyle was matka miała? Niedobrze. Jak widzicie nie prowadzę autobusu.

- Właściwie to Anielka waży za pół człowieka, czterdzieści dziewięć kilo, śmiech nie waga, no nie proszę pana? To aż nietaktownie wypominać dziewczynie, że taki mikrus - zapewnia Jacek. - A Dorota...

- Pięćdziesiąt jeden - śpieszy z informacją dziewczyna.

Za chwilę major jest przekonany, że tych czworo waży właściwie tyle co dwoje i nie jest zupełnie pewne, czy pasażerów jest aż tylu. Poza tym młodzi ludzie wyglądają na zmęczonych i niesłychanie im zależy na dostaniu się do tych Wilgajn.

- My tam się turlamy nie dla przyjemności - argumentuje Dorota. - zginął nam kolega, ojciec go wezwał i nie wiemy, co się z nim stało. Jak dotychczas, to mamy nie wakacje, a same kłopoty.

- Prysnał jej ukochany... -- konfidencjonalnie przymruża oko Rajmund.

Dorota pomija milczeniem uwagę kolegi. Majorowi podoba się ta czwórka - zaprasza do samochodu. Nie trzeba im tego dwa razy powtarzać.

- Anielka kryj się, jeżeli zobaczysz na drodze hintów - gorliwie instruuje Jacek. - Mogą się przytentegować za nieprzepisowy komplet.

Major uśmiecha się.

- Eee, im też się nic nie chce w taki upał. Milicjant też człowiek i najbardziej lubi nic nie robić - powątpiewa Rajmund.

- Ale zarobić to lubi, oni od mandatów mają procent - insynuuje Jacek.

- Fajowy wózek ta pańska simca, szykowna - zaczyna światową konwersację Rajmund. - Pan na urlop do tych Wilgajn?

- Już tam mieszkam od dwóch dni - stwierdza major.

Po dobrej godzinie jazdy - inspektor przez ten czas został drobiazgowo poinformowany o celu podróży młodych ludzi i ich najbliższych planach, oraz żalu, że musieli opuścić tak cudowny zakątek, jak jezioro Rosy Wenedy - docierają na dziedziniec przed leśniczówką w Wilgajnach.

Szeryn idący z Magdaleną spostrzega jak z simki jego sąsiada - Andrzej Korosz zajmuje pokój niedaleko pokoju Szeryna - wysypują się koleżanki i koledzy Tomka.

Korosz pozdrawia Szeryna, zapytuje o coś Magdalenę. Typowy grzecznościowy zwrot do ludzi, z którymi spotyka się we wspólnej jadalni, i którzy od kilku dni tworzą małą wakacyjną społeczność.

Rozmowa jest błaha i krótka - jak między ludźmi, którzy niewiele się znają, a o ich znajomości zdecydował nie wybór, lecz przypadek.

Szeryn uśmiecha się do nadbiegającej w jego stronę, młodzieży - Korosz wraca do swego samochodu - chce go zaparkować w cieniu pobliskich drzew.

Młodzi ludzie powściągliwie witają Pawła Szeryna - widać, że zależy im, aby w jego oczach wypaść jak najlepiej.

- Po pana telegramie do Tomka - zaczyna Dorota - bardzośmy się niepokoiili, tym bardziej, że obiecał nas zawiadomić, co się z nim dzieje i oczywiście nie zrobił tego. Mamy nadzieję, że nic złego się nie przytrafiło? - Dziewczyna uśmiecha się promiennie, uśmiechem z serii: dla ewentualnych teściów.

Rajmund porozumiewawczo trąca Jacka w bok, ale wpatruje się w Szeryna z równie niewinną miną i podobnym jak u Doroty „eksportowym” uśmiechem.

Szeryn ściąga brwi i milczy.

- Mieliśmy czekać na niego nad jeziorem, ale bardzośmy się niepokoiili. Właściwie to ja i Dorota ... - wyjaśnia Anielka.

- Takie babskie niepokoje - wtrąca Jacek, chcąc nawiązać męski kontakt z ojcem kolegi.

- Bardzo przepraszamy, za tę niespodziewaną wizytę, ale rzeczywiście to przeze mnie i Dorotę - Anielka też ma przyklejony do twarzy „uśmiech na wynos”. Mówiąc robi coś w rodzaju dygu w stronę Szeryna. Wygląda bardzo wdzięcznie z czarną, krótką czuprynką, drobna, zgrabna, obciśnięta wąskimi porteczkami w pepitkę.

- Rzeczywiście, zupełnie nieuzasadnione niepokoje o Tomka - stwierdza lodowato Szeryn.

Z twarzy młodych ludzi znikają uśmiechy - zmroził ich ten odstręczający ton.

Korosz, który to słyszy, myśli z przykrym zdziwieniem, że jego sąsiad jednak zbyt surowo traktuje kolegów swego syna. Nawet jeżeli sprawili mu trochę kłopotu tym niespodziewanym przyjazdem.

Rezolutna Dorota, jak zwykle, pierwsza opanowuje konsternację. Chłodno, dostosowując się do tonu Szeryna mówi:

- Chcieliśmy zobaczyć Tomka. Nic poza tym, proszę pana.

- Tomka nie ma w Wilgajnach - Ton Pawła Szeryna jest prawie niegrzeczny.

- Wobec tego chcemy się tylko dowiedzieć gdzie on jest - wspiera koleżankę Rajmund.

- Postanowiłem, że spędzi wakacje gdzie indziej. W innym otoczeniu - z niemiłym naciskiem mówi Szeryn.

Koledzy Tomka stoją zawstyżeni. Na moment zupełnie tracą pewność siebie - nie wiedzą, jak się wycofać z tej przykrew sytuacji. Czują żal, bo nie znajdują powodu do takiego traktowania ich przez tego człowieka.

- Życzycie sobie coś jeszcze? - ton Szeryna jest już jednoznaczny.

- Dziękujemy panu i... do widzenia - Dorota daje sygnał do odwrotu.

Odchodzą spłoszonym stadkiem z nieszczęśliwymi minami.

- Sklerotyczny piernik - nie wytrzymuje Anielka. Mówi dość głośno aby Szeryn mógł to usłyszeć. Po chwili robi im się nieco lepiej - są wściekli, ale już nie tak zawstyżeni.

Kopnięty ramol! - zaokrąglą Rajmund opinię koleżanki.

Wszyscy wybuchają głośnym, obraźliwym śmiechem - chociaż daleko im do wesołości.

- Stary załatwił nas odmownie - informuje Dorota, gdy mijają Korosza. Zresztą słyszał pan - krótko lecz treściwie.

Major uśmiecha się przyjaźnie. Mówi coś, żeby zademonstrować im swą solidarność, bo szczerze oburzyło go zachowanie Szeryna. Całym sercem jest po stronie tej sympatycznej czwórki.

Na obiad major przychodzi po gongu, tak że wszyscy pensjonariusze są już zgromadzeni przy stole, a gospodyni podaje chłodnik.

Inspektor z lekkim zdziwieniem spostrzega, że przybył jeszcze jeden gość. Obok niego zajmuje miejsca dziewczyna z grzywą jasnozłotych włosów, upiętych w niebotyczny kok. Niedawna jego pasażerka - Dorota. Ale jakiej metamorfozie uległa ta śliczna dziewczyna.

Jest kunsztownie umalowana - może nieco za mocno, ale jeszcze w dobrym stylu. Ten *maquillage* sprawia, że wygląda poważniej niż rano, gdy zobaczył ją pierwszy raz. Bardzo głęboko wycięta biała bluzka odsłania opalone ramiona i bardzo ładny kark. Na przegubie dłoni - bransoletka z miedzianych, pięknie kutych ogniw.

Dorota zachowuje się swobodnie - może trochę za swobodnie - ale tak, że trudno jej coś zarzucić. Po przeciwległej stronie stołu naprzeciw dziewczyny siedzi Szeryn i Magdalena. Sąsiad Korosza udaje, że nie dostrzega umalowanej „światowej” Doroty, która robi wszystko, żeby on z kolei ani na chwilę nie mógł zapomnieć o jej istnieniu.

Major w lot pojmuje sytuację, która zaczyna go niesłychanie bawić. Nikt z pozostałych gości nie orientuje się, o co tu chodzi i nie zwraca uwagi na intencje Doroty.

- Podoba się pani tutaj? - zagaduje Korosz.

- Nadzwyczajnie - skwapliwie potwierdza dziewczyna.

Major rozumie, że Dorota jest mu wdzięczna za zaczęcie rozmowy. Dziewczyna nie czuje się przy tym stole tak pewnie, jak na to chce wyglądać.

- Nadzwyczajnie - powtarza patrząc błagalnie na inspektora. - Takie miłe twarze dookoła... - wykrzywia się w stronę pochylonego nad talerzem Szeryna.

- A gdzie reszta kolegów?

- Widzi pan, to nie jest odpowiednie dla mnie towarzystwo, nie ta sfera. Rozumie pan? - Dorota mówi to ze śmiertelną powagą.

- A wyglądali tak nobliwie - wzdycha major; pojmując intencje dziewczyny i włącza się do gry.

- Też tak sądziłam, ale pomyliłam się. Wyjaśnił mi to mój tatuś. Powiedział, że to nie dla mnie towarzystwo, a ja zawsze słucham tatusia. Widzi pan, jestem taka nietypowa, skromna, młoda dziewczyna. Można powiedzieć wzorcowo-standardowa.

Szeryn jeszcze niżej pochyla się nad talerzem. Major widzi, że obecność Doroty niesłychanie go drażni.

- Mój tatuś jest bardzo kulturalny - szczebiocie infantylnie Dorota. - Poza tym zajmuje bardzo wysokie stanowisko, jest dyrektorem. No i dba o to, abym nie wpadła w nieodpowiednie dla mnie towarzystwo.

- A mamusia? - podobnym tonem pyta major.

- Mamusię mam mniej udaną, wie pan, pusta kobieta - wzdycha dziewczyna.

Magdalena z niesmakiem spogląda na Dorotę - przez chwilę sądzi, że ma przed sobą kompletną idiotkę. Dorota brzydko się do niej wykrzywia i natychmiast przywołuje na twarz uśmiechnięty wyraz słodkiej kretynki.

Major zaczyna mieć obawy, czy dziewczyna nie przeszarżuje. Nie ma ochoty obrazić Szeryna i Magdaleny.

Pod koniec obiadu inspektor lekko cierpnie - boi się, że zaraz wybuchnie skandal.

Otóż gospodyni kładzie przed każdym z gości podwieczorek owinięty w serwetkę - pajdki chleba z czymś, kawałek ciasta.

Dorota miękkiem ruchem kotki zabiera przed nosa Szeryna jego kromki, uśmiecha się bezczelnie.

- Dziękuję panu. Rzeczywiście w pana wieku podwieczorek jest posiłkiem ryzykownym i niewskazany - a później ze swobodą zwraca się do majora. - Proszę na rano poczekać, pokaże mi pan jezioro.

Szeryn jednak jest konsekwentny - dziewczyna nadal jest dla niego powietrzem.

Major czeka na nią - Doroty długo nie ma. Inspektor widzi, że dziewczyna stoi za firanką w oknie i obserwuje dziedziniec.

Major lekko zniecierpliwiony chce odejść - Dorota błagalnie składa dłonie i robi bardzo żalostną minę. Jest w tym goście tyle prawdy, przy tym dziewczyna jest tak ładna, ma tyle wdzięku,

że major pozostaje. Usprawiedliwia się przed sobą, że jako człowiek dojrzały powinien wyperswadować temu młodemu stworzeniu wywoływanie skandalu.

Na schodki werandy wychodzi Szeryn, w tym momencie „młode stworzenie” wypada również na werandę i goni po schodach potrącając Szeryna.

- Przepraszam - woła w locie. Później podbiega do majora i dostosowuje się do jego kroku. Pozwala wolno prowadzić się w stronę jeziora.

Ma na sobie białe skąpy kostium bikini, gładka skóra połyskuje złotawym odcieniem opalenizny. Dziewczyna starła swój makijaż - zachowuje się normalnie.

- Za wszelką cenę postanowiła pani epatować obecnie?

- Postanowiliśmy wypłoszyć stąd starego Szeryna - kiwa głową Dorota.

- Wszyscy jesteście jednomyślni?

- Uhm. Zgadł pan. Szpetnie nam się staruszek naraził.

- Z tym podwieczorkiem, to nie było ładnie - major spełnia swe pedagogiczne postanowienie.

- Nie było - ze skruchą przyznaje Dorota. - Poniosło mnie. Widzi pan, nie mam w prawy w tego rodzaju historiach. Następnym razem pójdzie lepiej.

- Koniecznie musi pani zgrywać słodką kretynkę?

- To idzie według planu. Przy kolacji jestem wykwinną intelektualistką. Odpowiada panu?

- Mianuje mnie pani współnikiem?

- Liczę na posiłki z pańskiej strony. Wie pan, wsparcie i flanki, czy jak to tam nazywają taktycy.

- Dlaczego koledzy pani nie wspierają?

- Koszty, proszę panu. Stać nas tylko na utrzymanie jednej osoby w takich komfortowych warunkach i to niedługo, jeżeli reszty wakacji nic chcemy spędzić w domu. I dlatego muszę się śpieszyć z wypłoszeniem starca, bo jeżeli cokolwiek może nas wypunktować to szczupłość funduszy.

- Losowaliście wśród siebie, kto zamieszka w leśniczówce?

- Wybory. Wybrano mnie jednogłośnie, jawnie i demokratycznie.

- Najwięcej się pani naraził?

- Poniekąd. Ale poza tym mam chyba najgrubszą skórę. Myśli pan, że to przyjemnie robić sobie wrogów ze znajomych? Przecież u Szerynów będę spalona na wieki.

- Można nie robić sobie wrogów, po prostu zrezygnować.

- No wie pan! Przecież starzy wleźliby nam na głowy, gdyby puszczać płazem takie numery. A poza tym stary Szeryn zepsuł nam wakacje. Mógł Tomka nie puścić z nami od razu - to jeszcze mogę zrozumieć. Ale tak? No, niech pan sam powie. Odwołuje, chłopaka, po kilku dniach, a później traktuje nas jak szumowinę. No, niech pan powie, nie należy się staremu szkoła?

Major taktownie milczy.

Dorota zaprasza go do obozu swych przyjaciół.

- Dostanie pan smażoną w lesie rybę. Chłopcy pewnie coś złowili - zachęca serdecznie.

Wita ich hałas i dzikie wrzaski.

- Witaj grandessa! Dawaj sprawozdanie z frontu - otaczają dziewczynę.

- Nieprzyjaciel został ciężko zdenerwowany, ale trzyma się dzielnie. Do kolacji; może zebrać posiłki - włącza się major.

- Pan bohatercko walczył ze mną. Dajcie mu za to najpiękniejszą pod słońcem rybę - żąda Dorota, pociągając nosem.

- Żołd dla pułków najemnych - huknął Jacek, popychając Anielkę.

Żołd okazuje się mniej niż średnich rozmiarów ościstą, lekko przypaloną płotką.

- Dorota jest najdroższą kobietą naszego życia. Nawet pan sobie nie wyobraża ile kosztuje ta dziewczyna - wzdycha Rajmund.

- Leśniczówka? - domyśla się major.

- Za te pieniądze można by wyjechać, wycieczką Orbisu do Złotych Piasków - fantazjuje Jacek.

- Rzeczywiście! Może jeszcze dwadzieścia osób i to na trzy miesiące - prycha Anielka. - Przestańcie Dorocie żałować, bo jeszcze się rozchoruje.

Podczas kolacji Dorotę spotyka ciężki zawód - Szeryn nie zjawił się w jadalni. Major zastanawia się, czy rzeczywiście na jego nieobecność ma wpływ obecność Doroty.

Do stołu siada Magdalena - roztargniona pije herbatę, coś tam skubie ze swego talerza i wychodzi nie zwracając uwagi na otoczenie.

Major myśli, że ta kobieta jest bardzo miła, bardzo smutna, jakby nieobecna. Czuje dla niej sympatię - mówi o tym Dorocie.

Po kolacji dziewczyna z lekką rezerwą żegna Korosza i biegnie do swoich przyjaciół.

- Major idzie do lasu. Z przyjemnością wyciąga się na miękkim, suchym mchu. Wśród drzew upał jest znacznie znośniejszy. Miętko szemrzają liście jeżyn. Major leniwie przygląda się pociemniałym już owocom - nie chce mu się wyciągnąć dłoni aby je zerwać.

Nie słyszy zbliżających się kroków - tylko od razu rozmowę dwojga ludzi; głosy nie oddalają się.

- Chcesz, żebym do ciebie wróciła, Adam? - mówi kobieta.

Major zna ten głos. To mówi jego vis á vis przy stole - Magdalena.

- Kto ci to powiedział? - ton mężczyzny jest ironiczny.

- Paweł Szeryn - odpowiada Magdalena. - Robisz mu przez to jakieś przykrości...

- Coś nowego? - dziwi się mężczyzna. - Skarżył ci się? Czyżby prosił o wstawiennictwo.

Może chce się z tobą rozstać i nie znalazł lepszego pretekstu,

- Może... On dokładnie nie sprecyzował - mówi bezradnie kobieta. - Grozisz mi kompromitacją zawodową, czy coś takiego.

- Trzęsiesz się o jego dyrektorstwo? Czyżby jego stanowisko miało dla ciebie znaczenie?

- Wiesz dobrze, że nie stanowiska mają dla mnie znaczenie. To tylko dla was... pożądacie ich jak dzieci zabawek; władzy, znaczenia, zaspokojenia niezdrowych przeważnie, ambicji. Robicie sobie wzajemnie świństwa, wydajecie wojny nerwów, wszystkie środki wydają wam się dobre, aby tylko otrzymać to co ma drugi. Ja się nie zmieniłam, a ciebie z trudem poznaję, Adamie, zmieniłeś się...

- Rzeczywiście zmieniłem się. Upodobiam się do Szeryna. Zaczynają mnie bawić te jak je nazywasz, zabawki. Dlaczego tę cechę, albo jak wolisz wadę charakteru, zaaprobowałaś u niego, a u mnie ona cię drażni, masz za złe?

- Dlaczego chcesz zdobyć swoje zabawki krzywdą Innych?

- Czyją krzywdą?

- W tym wypadku chyba Szeryna.

- Sądzisz, że on osiągnął to w inny sposób.

- Paweł nie krzywdzi.

- Co ty o tym wiesz - śmieje się cicho mężczyzna, - Po co się ze mną chciałaś spotkać? - pyta z niemiłym naciskiem.

- Chcesz, żebym do ciebie wróciła?

- Gotowa jesteś wrócić?

- Tak.

- Sądzisz, że to może się udać. Sądzisz, że połamane życie można skleić jak rozbity garnek, wystarczy, że ty zechcesz? Ja nie mogę wyrzucić z pamięci tych minionych lat.

- Ja nic nie wiem, Adamie.

- Pod jakim warunkiem chcesz do mnie wrócić?

Kobieta milczy.

- To ja ci powiem. Chcesz ratować Szeryna przed jakimś urojonym niebezpieczeństwem, które rzekomo grozi mu z mojej strony. Masz złudzenia, że powrotem do mnie możesz go uratować. Jedyne czego mogę zazdrościć, to uczucia jakim go obdarzasz. Nie mogę tylko zrozumieć dlaczego, za co go tak kochasz.

- Już go nie kocham.

- Czyżbyś wreszcie zakochała się we mnie? - mężczyzna parska śmiechem.

- Nie.

- To po co chcesz do mnie wracać?

- Jeżeli ci zależy... mnie jest wszystko jedno...

- Nie, Magdaleno, już mi nie zależy, już nareszcie mi nie zależy. Jestem wolny od ciebie.

Pamiętasz jak cieszyłem się każdym twoim rysunkiem? Ba! rysunkiem! Każdą kreską.

- Po co to wspominasz, to nie ma znaczenia.

- Ma. Przynajmniej dla mnie. A teraz nie odpowiada mi już rola męża Fołtasiówny. Naprawdę nie pragnę już żadnego związku z tobą.

- Nareszcie możesz mnie upokorzyć.

- Nie chcę ci wyrządzać przykrości. Odpowiadam tylko na twoje pytanie. Wtedy gdy jeszcze mi na tobie zleżało, gdy byłaś dla mnie daleka i nieosiągalna przez swoją obojętność, marzyłem o takiej chwili, gdy cię będę mógł poniżyć, zdeptać, upokorzyć i wydawało mi się, że gdy to uczynię, będzie mi lepiej. Teraz, gdy wypaliłem się, nie mam do ciebie ani żalu, ani próśb, ani chęci na cokolwiek w związku z tobą. Nie potrafię również przypomnieć sobie barwy wzruszeń, jakie ci zawdzięczam i nie potrafię odczuć, odtworzyć cierpienia, które trwało, gdy odeszłaś.

- Więc dlaczego szukasz zemsty na Szerynie? Przecież źródłem twojej nienawiści do niego jestem ja. Fakt, że odeszłam do niego.

- Nienawiść?! Jak zwykle przesadzasz, Magdaleno. To określenie zbyt na wyrost. To po prostu niechęć. Nie przeczę, że moja niechęć do niego stąd się wzięła. Ale teraz jest już, powiedziałbym, czysta, trwa niezależnie od jej pierwszego źródła.

- Ja nie wrócę do... Szeryna, to już niemożliwe. Ale nie rób mu krzywdy - prosi bezradnie kobieta.

- Oszczędź mi tych wyznań. Twoje plany na dalsze życie naprawdę nic mnie nie obchodzą i nie możesz mieć do mnie o to żalu. Nie wiem, dlaczego zerwałeś z Szerynem, prawdopodobnie i ty sama dobrze nie wiesz... Może do niego wrócisz, a może nie, to naprawdę wyłącznie twoja sprawa. Jesteś wolna, niezależna od nikogo.

- O tak, bardzo wolna, zbyt wolna.

- To konsekwencja twego wyboru, Magdaleno.

- Oczywiście - ton jest twardy, kończący rozmowę; nie ma w nim ani cienia niedawnej bezradności ani próśby. - Do widzenia, Adamie. - Kobieta odchodzi.

Major słyszy szelest jej kroków.

Mężczyzna nie zatrzymuje jej, siedzi jeszcze chwilę, starannie gasi papierosa przygniatając go ziemią i wolno podąża ścieżką w stronę leśniczówki.

Korosz jest wreszcie uwolniony, może opuścić swoją kryjówkę. Idzie w odwrotnym kierunku niż ci dwoje - nie chce się na nich natknąć, aby nie domyślili się, że mieli świadka swojej rozmowy.

Major myśli, że ta kobieta czuje się teraz niesłuchanie osamotniona, że mężczyźni, który był jej bliski opuścił ją. Ale dlaczego na miłość boską usiłowała rzucić się na szyję temu, od którego

kiedyś odeszła? - żenująca, niesmaczna historia. Czyżby rzeczywiście bała się o tamtego? Ale jakąż krzywdę można wyrządzić dorosłemu mężczyźnie? Zabójstwo, szantaż, kompromitacja? - major łapie się na tej myśli i uśmiecha się sam do siebie - znowu odezwał się w nim zawodowy milicjant. Ale w innym świetle teraz widzi surowość Szeryna dla kolegów swego syna. Po prostu byli mu niesłuchanie nie na rękę - chciał ich wypłoszyć. No, tak - krępująca historia.

Trzeba im jutro wyperswadować tę świętą wojnę z Szerynem-seniorem - postanawia major. Troszeczkę też czuje się odpowiedzialny za udzielenie pomocy Dorocie. Schodzi nad brzeg jeziora, ciepła woda zachęca go do kąpieli.

*

- Rajmund, odprowadź mnie do leśniczówki - żąda Dorota.

W obozie dogasa ognisko, żarzące się węgielki rzucają nikły, czerwony blask na twarze przyjaciół. Wszyscy przycichli, nastrój jest minorowy.

- Masz pietra? - dowiadyuje się Jacek.

- Jakoś mi nieswojo, ciemno w tym lesie i w ogóle... do kitu - wzdycha Dorota.

- Sumienie cię męczy - ziewa Rajmund. - Czy nie za wiele dzisiaj narozrabiałaś?

- Chyba za wiele - przyznaje dziewczyna. - ... i wiecie co? To wszystko nie ma najmniejszego sensu...

- Co nie ma sensu? - Anielka udaje, że nie rozumie, co tamta ma na myśli.

- No, ta zabawa z Szerynem. Wychodzi to nachalnie, ordynarnie i głupio... Szczeniackie podskoki w złym stylu.

- Zepsuł nam wakacje - bez przekonania upiera się Rajmund.

- Ostatecznie Tomek nie jest dzieckiem i mógł wyperswadować ojcu takie nagłe, nieuzasadnione zmiany. Widocznie zaaprobował żądania starego. W takim razie sytuacja jest rzeczywiście idiotyczna. Proponuję nie narzucać się i kwita - mówi Dorota.

Zapada milczenie.

- Dygnitarski jedynak - prychna pogardliwie Anielka.

- Przestań wygadywać - obrusza się Jacek. - Miałaś mu dotychczas coś do zarzucenia, to trzeba było mówić w oczy, a nie tak... to gówniarstwo. Ostatecznie wszyscy jesteśmy w jakimś sensie uzależnieni od swoich starych. Więc jeżeli staremu Szerynowi szajba odbiła w lewo i kazał chłopakowi zmienić środowisko, to co miał robić?

- Trzeba mieć charakter - mówi surowo Anielka.

Nie bądź taki kozak - wtrąca Rajmund. - Ciekaw jestem twego charakteru, jakby twoja matka doszła do wniosku, że włączę z nami to nie dla ciebie.

- Phi! Moja stara pozwala mi na wszystko.

- To źle robi - Rajmund jest już zły - bo jesteś nieznośny bachor.

- Odpierwiastkuj się, dobrze? - mruczy Anielka.

- Przestańcie się kłócić - włącza się pojednawczo Dorota. - Zdecydujmy się na coś. No, chłopaki, co będziemy dalej robili?

Koledzy milczą niezdecydowanie.

- Podoba się wam tutaj? - nastaje Dorota, - To zostaniemy, ale dajmy spokój Szerynowi, co?

- Ty też masz babską logikę, Dorka - wymawia jej Jacek. - Wymyśliłaś tę grę z Szerynem, a teraz nagle ci się odechciało.

- Byłam wściekła - usprawiedliwia się dziewczyna - ale już teraz mam dość, a wy nie?

- Ona chyba ma trochę racji - przyznaje Rajmund. - Zabawa jest niewybredna, a poza tym lichy wie, co starzec może zrobić, jak go to wszystko znudzi... no jak myślicie, ruszcie się, nie siedźcie, jak nieboszczki mumie.

Wreszcie, choć niechętnie, wszyscy przyznają, że należy zaniechać zemsty.

- Proponuję, żeby Dorota wytrzymała tam jeszcze jeden dzień, niech stary nie myśli, że nas przestraszył - włącza się Anielka. - Możesz mu już dać spokój i nie robić przedstawienia, a pojutrze ruszajmy stąd. Nie wiem jak was, ale mnie mierzi to towarzystwo. Ramole i piernice zagrybiają to jezioro. Mim wrażenie, że po tej wodzie pływa ischias, reumatyzm i piękny komplet lumbago.

- Ona ma rację - kiwa głową Jacek. - Sam widziałem chronicznie schorowany woreczek żółciowy, który zgubił właściciela, żal było patrzeć.

- To chodź, Dorka - podnosi się Rajmund. - Odholuję cię do tego ORBISU. Już wiesz teraz na czym polega „bastwo”? Na boju, Dorotko, na boju. Kilka sosen parę krzaczków, ciemno, i już masz mojra.

- Nie bądź laki paw - śmieje się dziewczyna.

Rajmund rusza przodem, za nim Dorota. Jest ciemno, migają tylko seledynowe świetliki robaczków świętojańskich. Już blisko jest znajoma skarpa i widać kontury leśniczówki. Wszystkie okna są ciemne.

- Tu wcześniej chodzą spać - wzdycha Dorota,

- Leśniczyna zamyka drzwi? - niepokoi się Rajmund.

- Zamyka - przyznaje dziewczyna.

- Będiesz robiła raban? - krzywi się chłopak. - Niedobrze. Może wrócisz do nas?

- Obędzie się bez rabanu. Nie zamknęłam okna, właśnie z tego powodu jest tylko przymknięte. Ona jak warszawski cieć, i to w starej czynszówce, rygluje chatę o jedenastej.

- To pryskaj, tylko po cichu.

- Chodź ze mną, ten parter jest cholernie wysoki, podsadzisz mnie.

- Dorka pomyliłaś się, ja nie jesieni ciężarówiec, do usług: pierwszy skrzydłowy - wybrzydza

się chłopak, ale idzie za koleżanką.

- Ciiichooo - upomina Dorota. - Jak będziesz tak ryczał, to mi zupełnie popsujesz opinię.

- Zależy ci? U Szeryna i tak już nic nie pomoże i nie zaszkodzi.

Milkną oboje, gdy zbliżają się pod uśpione domostwo. Jak spiskowcy ostrożnie stawiają stopy, aby nie trzasnęła któraś ze świerkowych gałązek zaścielających ziemię z tej strony budynku. Gęsty starodrzew podchodzi tu pod sam dom, niższe gałęzie drzew zaglądają do okien.

Pod leśniczówką przechodzą przy samej ścianie. Wreszcie są pod oknem pokoju Doroty.

Rajmund unosi ją z ziemi. Dziewczyna delikatnie podważa przymknięte okno. Stopą szuka nierówności między spojeniami gładkich bierwion ściany; nie znajdując oparcia, noga omyka się i bezradnie majta w powietrzu.

- Chwyć się za parapet i podciągnij na rękach - niecierpliwym szeptem doradza Rajmund. - Podsadzę cię... No, pośpiesz się, jak długo jeszcze masz zamiar siedzieć mi na ramieniu, niedojdo?

- Ciii - Dorota zakrywa mu usta dłonią i bezszelestnie osuwa się na ziemię. Stoją tak przez chwilę w bezruchu. Dziewczyna nasłuchuje, wstrzymując oddech - jej niepokój udziela się Rajmundowi.

Las jest cichy, czarny, wydaje im się przyczajony i groźny. Na moment tę cisze, mącą świerszcze. Skądś z bliska - na razie nie mogą zorientować się, z której strony - dobiega ni to westchnienie, ni to jęk. I znowu grają świerszcze.

- ... to zbrodnia... - dobiega ich wyraźne słowo. Reszta zdania tonie w świerszczowej muzyce.

Dorotę ogarnia przerażenie. Dygocąc przywiera do Rajmunda i zaciska na jego ramieniu zwilgotniałą nagle dłoń. Chłopak też czuje się nieswojo, ale panuje nad sobą, boi się, żeby Dorota nie zdradziła ich obecności.

- Opanuj się Dorka - syczy przez zęby i pociąga dziewczynę w stronę, skąd dobiegł ich ten szept.

Dziewczyna nie opiera się, idzie posłusznie za kolegą, nie wypuszcza jednak z rozdygotanej dłoni ramienia chłopaka.

Jak dwa cienie przylepiają się do ściany leśniczówki. Pobliski stary wiąz łaskawie kryje ich gęstą ciemnością. Dorocie wydaje się jednak, że widać ich ze wszystkich stron, że są bezbronni, wydani na łaskę tych chrypliwych, złowrogich szeptów, a nade wszystko, że ich oddechy są głośne i że tamci je natychmiast usłyszą.

Szepty są znów niewyraźne, głuży je szum lasu.

- ... Magdalenę... - słyszą następne wyraźne słowo.

Dorota nachyliła się do Rajmunda.

- To ta plastyczka - szepce. Mimo strachu nie może wytrzymać, aby nie podzielić się tą wiadomością z kolegą.

Zniecierpliwiony chłopak mocno zaciska dłoń na jej ręce.

- ... dokumentację... jechać... - to mówi drugi męski głos.
- ... gwarancję... życie jaką dajesz gwarancję za życie - schrypnięty półgłos pierwszego.
- Ciszej - surowo gromi drugi głos.

Zapada milczenie.

- Ktoś morduje Szeryna - dygoce przerażona Dorota. - Róbmy wrzask, Rajmund - szarpie go za rękę.

Poirytowany chłopak zaciska dłoń na jej ustach.

- ... dwie doby... - mamrocze schrypy szept - ... jeszcze nie ma...
- .. ostateczny...
- ... odpowiesz...
- ... bądź rzeczowy...
- ... zostawiam dokument... rano... podpisany...
- ... podpiszę - prawie jęk - ... gwarancję... daj gwarancję...

Cisza panuje teraz niepodzielnie. Stoją tak, nie wiedzą sami minutę czy wieczność. Wreszcie Rajmund pociąga Dorotę i oboje odchodzą od leśniczówki. Szelest mchu pod stopami wydaje się im hałasem, który musi obudzić dom, a już na pewno zaalarmować tamtych dwóch. Pęknięcie suchej gałązki brzmi dla nich jak wystrzał, wydaje się katastrofą.

Kiedy są już w znacznej odległości od domu - mokrzy od potu - czują ulgę.

- Słyszałaś, Dorota, czy ja się mylę? - nie wierzy sobie Rajmund.
- Słyszałam. Też mi się wydawało, że króliki mi się kocą pod globusem ze strachu - potwierdza dziewczyna.

- Co robić? - zastanawia się Rajmund.
- Mam cholernego pietra i zupełną pustkę w mózgu - przyznaje się Dorota.
- Trzeba obudzić Jacka i Anielkę. Naradzimy się - decyduje Rajmund.

Jacek daje się obudzić dość szybko, ale z Anielką jest kłopot. Mamrocze coś nieprzytomnie, opędza od przyjaciół i wali się jak snop z powrotem na posłanie.

- Ona ma sen jak drwal - mówi Dorota, tarmosząc przyjaciółkę.

Zniecierpliwiony Rajmund polewa dziewczynę wodą - Anielka siada na materacu i zaczyna piekielną awanturę. Upływa kilka minut zanim nieco przytomnieje.

- Coście nowego wymyślili, sadyści? - pyta już bez złości szeroko ziewając.
- Jesteśmy na tropie potwornej afery - zagaja Rajmund i opowiada to wszystko, co usłyszeli pod oknem leśniczówki.
- Czy wam się coś ze strachu nie popieprzyło w mózdkach? - powątpiewa Jacek.
- Najpierw usłyszeliśmy, a dopiero później mieliśmy boja; teraz też go mam - stwierdza

Dorota.

Stary Szeryn jest makabryczny drań - opiniuje Anielka. - A kto jest ten drugi?

- Nie mam pojęcia, nigdy nie słyszałem tego głosu. Zresztą on mówił szeptem - wyjaśnia

Rajmund.

- Ja też nie - oświadcza Dorota.

- Piękna rodzinka - prycha Anielka. - Jak z rysunków Adamsa. Aferzyści.

- Jesteś kompletna idiotka - denerwuje się Jacek. - Nikt sobie nie wybiera ojca. A w ogóle jak masz coś mówić, to mów do rzeczy...

- Już nie macie się kiedy awanturować, szczeniaki, co? - Rajmund jest groźny.

- No dobrze, ale co z Szerynem i tym drugim ma wspólnego ta jakaś Magdalena? - chce wiedzieć Jacek.

Ona zdaje się pracuje u Szeryna - mówi Dorota. - Widocznie ta trójka działa razem.

- Zawiadomić milicję i koniec - radzi Anielka. - Trzeba natychmiast zawiadomić milicję.

Sami nic tu nie poradzimy, a możemy wpakować się w nielichą kabałę, jeżeli to wszystko prawda.

- Więc dlaczego Szeryn nie zawiadomił milicji? - zastanawia się Rajmund.

- Bo się boi o własną skórę, o własną parszywą skórę - twierdzi Anielka.

- O własną skórę każdy człowiek boi się do pewnych granic... - nie zgadza się Rajmund.

- Kto ci powiedział, że stary Szeryn to człowiek? A nie stwór człowiekopodobny? - wtrąca dziewczyna.

- Nie możemy odsądzać go od człowieczeństwa, Anielka. Nie mamy takiego prawa.

- Odpustowy humanista - mówi pogardliwie dziewczyna pod adresem kolegi.

- Do diabła z waszymi spekulacjami na temat człowieczeństwa Szeryna - złości się Dorota.

Za mało o nim wiemy, żeby oceniać i nie mamy na to czasu.

- Ręce opadają - zżyma się Rajmund. W taki sposób możemy przegadać do rana, tylko że nic z tego nie wyniknie. Zachowujecie się jak przedszkolaki, nic, tylko głupawe ujadanie.

- Nie wymyślaj nam, Rajmund - ton jest pojednawczy. - Historia jest groźna i niecodzienna.

- Ruszcie mózgownicami, co robić? - mówi z rozpaczą Dorota.

- Już powiedziałam. Milicja - stwierdza Anielka.

- A jeżeli rzecz wygląda inaczej? - rozważa Rajmund. - Zrozumcie, że słyszeliśmy strzępki rozmowy, może wyrwane z kontekstu mają taką groźną wymowę... A w rzeczywistości znaczą zupełnie co innego.

- Wtedy wyjdziemy na balonów - wzdycha Dorota.

- I na szpicli - dodaje Rajmund - co podsłuchują dudze rozmowy.

- Do kitu z milicją - wtrąca Jacek. - Nawet nie wiemy, gdzie tu jest posterunek. Na mój gust najmniej z dziesięć kilometrów. Powiedzmy, że zaraz podrażujemy, to znaczy do pierwszej wioski,

tam się dowiemy gdzie tkwią gliniarze. Najmarniej po dwóch godzinach doturlamy się do władzy. Zaspany kapral każe przyjść rano, a później zaczną się pytania, niedowierzanie, żądania dowodów, podejrzliwość. Kto weźmie poważnie jakieś podsłuchane pod oknem androny. A w tym czasie, kiedy my będziemy się tłumaczyli do siódmych potów, żeby wyrwać się z rąk kaprała, rzeczywistość może stać się nieszczęście, jeżeli dotychczas jeszcze się nie stało.

- On ma trochę racji, żeby angażować milicję trzeba nieco więcej wiedzieć - przyznaje Rajmund.

Wszyscy przycichli - strach Doroty i ponury nastrój Rajmunda przekonał ich do reszty, że natknęli się na poważną, złą sprawę, która przerasta ich siły.

- Trzeba zasięgnąć języka - przerywa milczenie Rajmund.

- Od kogo? - wzdycha Anielka.

- Od Szeryna - odpowiada Rajmund.

- W jaki sposób? - chce wiedzieć Dorota.

- W najprostszy. Porozmawiać i nim.

- Uważaj, jak on zechce z nami rozmawiać - prycha Jacek. - Zdaje się, że wczoraj nie pozostawił nam co do tego cienia wątpliwości. Projekt niewykonalny.

- Jeżeli jest zaplątany w tę makabryczną aferę, a my mu damy do zrozumienia, że jesteśmy zorientowani co nieco, stary może pęknąć. Jestem pewien, że pęknie, jeżeli to prawda, to on powinien być bliski załamania - mówi Dorota.

- W żadnym wypadku nie weźmie nas poważnie. To przyk z rodziny twardogłowych. Dla niego jeszcze za dwadzieścia lat będziemy gówniarzami. - wykrzywia się Jacek.

- Popieram projekt Doroty - mówi Anielka.

- Wiesz jak się nazywa taki projekt po imieniu? - mówi Jacek.

- Jak? - nie rozumie dziewczyna,

- Szantaż - ucina chłopak.

- Mam w dupie jak to się nazywa, nad oceną moralną i nazwami będę się zastanawiał, jak się wyjaśni ta ponura sprawa. Kto jest za projektem Doroty - stanowczo pyta Rajmund.

- Nie miej w dupie ocen moralnych, Rajmund, bo nawet się nie spostrzeżesz, kiedy zostaniesz taką świnią, jak stary Szeryn - poucza Anielka. - A nazwy, rzeczywistość, rzecz w tej chwili obojętna. W dalszym ciągu jestem za projektem Doroty, skoro pomysł z milicją odpadł.

- Zdajcie sobie sprawę, w jaką imprezę się pakujemy... Można łatwo zarobić guza i to nie wiadomo, z jakiej strony. To nie przedstawienie z Szerynem, które w każdej chwili można przerwać, bo Dorce znudziło się i gwałtownie wysubtelniała... - mówi Jacek.

- Koleś, nie wpadaj w trans, mamy pilniejsze zajęcia - przerywa Anielka.

- Dobrze, ale pamiętaj, żebym nie słyszał twoich jęków, że czegoś nie możesz, albo, że się

boisz, albo coś jeszcze i twego stałego repertuaru - upomina Jacek.

IV. ŚMIERĆ PRZYCHODZI NOCĄ

Korosz budzi się nagle i nie bardzo wie co go wyrwało ze snu.

Sen odszedł go zupełnie. Medytuje przez chwilę co robić dalej. Wstaje i wychyla się przez okno. Cisza, pachnący powiew lasu - grają świerszcze.

Jest pora, gdy jeszcze nie wzeszło słońce, a noc już ustąpiła. Delikatna szarość powleka drzewa.

Inspektor dochodzi do wniosku, że warto wyjść nad jezioro. Zabiera płetwy, maskę, z kąta koło drzwi bierze wiosło. Cicho przemyka się pustyni korytarzem. Drzwi wiodące na dwór są już otwarte.

Oczywiście leśniczyna wstaje pierwsza, przed wszystkimi, ale żeby tak wcześnie - myśli inspektor. - Jak ona to robi - dziwi się major - że codziennie wstaje przed świtem.

Okrąża dom i cicho pogwizdując, niezmiernie z siebie zadowolony, idzie w stronę wzniesienia, za którym leży jezioro.

Nagle urywa gwizd i staje bardzo zaintrygowany widokiem, jaki ma przed sobą. Z otwartego okna leśniczówki wystaje mała, kobieca stopa obuta w miękkie, białe mokasynek ściągnięty na podbiciu szeroką gumową taśmą. Potem z czeluści okna. wynurza się druga stópka, para smukłych łydek. Parapet jest niełaskawy dla właścicielki tej pary nóg, więc major ma jeszcze okazję dokładnie obejrzeć ładne, opalone uda i różowe figi obszyte koronką.

Białe mokasynek znajduje wreszcie oparcie na nierówności ściany, dziewczyna przez moment tkwi uczepiona dłońmi parapetu, by potem miękko zeskoczyć na ziemię.

Ale nie koniec na tym; w oknie ukazuje się czarny rozwichrzony łebek i druga dziewczyna, niczym kot, ześlizguje się, z okna, padając na ziemię, zaraz jednak rażno się z niej zbiera..

Major wychodzi spośród drzew,

- Pani Anielka mu lądowanie w nie najlepszym stylu - stwierdza autorytatywnie.

Zaskoczone dziewczęta są wyraźnie speszone.

- Pani Dorota natomiast robi to doskonale i z dużym wdziękiem - ocenia inspektor, przyglądając się dziewczętom. Uderza go ich bladość, głębokie cienie pod oczyma i wyraz napiętego skupienia.

- Wolą panie tę nieco napowietrzną drogę? - chce wiedzieć major.

Dziewczęta milczą i szybko idą w stronę jeziora, widać chcą jak najprędzej odejść od leśniczówki i pozbyć się tego niewygodnego świadka, który nie chce zrozumieć, że jest zupełnie niepożądany.

- Drzwi były już otwarte - informuje major.

- Przez drzwi nudno, pan rozumie, szarzyzna - odzyskuje mowę Anielka.

- Szczególnie jak się odwiedza nie swój pokój - kiwa głową major.

Twarz Doroty powleka śmiertelna bladeść, Anielka zaciska usta i ucieka spojrzeniem w bok.

- A co to pana obchodzi? - wybucha Dorota.

- W dobrych zamiarach, na ogół nie wchodzi się przez okno do cudzego pokoju.

- Widzi pan, starsi panowie nie lubią niepotrzebnego rozgłosu. W tym wieku ludzie bywają rozsądni i dbają o reputację, a jeszcze gdy się jest dyrektorem i do tego żonatym z jędzą... - mówi Anielka wpatrując się w majora okrągłymi oczyma niewiniątka.

- Nie rozumiem? - majora lekko zatkało.

- Czego pan nie rozumie? Przecież to takie proste. Pan Szeryn zaprosił nas do siebie - swobodnie wyjaśnia dziewczyna.

- Na noc, na noc, proszę pana - uzupełnia podobnym tonem Dorota.

- A wychodzimy przed świtem, ze względu na jego reputację, no i własną trochę też. Jasne? - z wyniosłą miną mówi Anielka.

- Jako dobre przyjaciółki nie rozstajecie się nigdy, w żadnych okolicznościach, prawda? - major naśladuje ich ton.

- To jest jeszcze prostsze, *L'amour en trois* - Anielka stara się nadać twarzy zblazowany wyraz.

- A co wy o tym wiecie! - wykrzykuje major i myśli, że zachowuje się głupio, że przez ten naiwny wykrzykownik wypadł i gry, którą mu narzuciły. Dostarczyłem uciechy kozom - myśli,

- Okazuje się, że więcej niż pan - stwierdza Dorota.

- Czego się pan tak wystraszył? - pyta zdziwiona Anielka. - Czyżbyśmy pana zgorszyły? Pan Szeryn przepada za *l'amour en trois* - powtarza ze złośliwym grymasem.

- Przykro nam, że doznał pan takiego wstrząsu - kpi Dorota. - Ale życie nie oszczędzi panu jeszcze wielu znacznie gorszych przeżyć. Pan jest jeszcze bardzo niedoświadczony, młody człowieku.

- Do widzenia. Bye, bye. Musimy odpocząć - ziewa ostentacyjnie Anielka.

- Jesteście kłamliwe i bezczelne kozy - stwierdza bez złości major. - Do tego ponure plotkary...

- Cóż, *c'est la vie*, proszę pana - rozkłada ręce Anielka.

- Jeżeli natychmiast nie powiecie mi co robiłyście w pokoju Szeryna, to postaram się dowiedzieć o tym w inny sposób, ale wtedy za dyskrecję nie ręczę...

- Pan szantażuje, miody człowieku. Fe, to bardzo nieładnie.

- Proszę pana - Dorota poważnieje. - Dlaczego się pan do nas przyczepił jak rzep do psiego

ogona? Czy pan jest opiekunem starego Szeryna albo naszą niańką? A może czuje się pan odpowiedzialny za wychowywanie młodzieży, co? Nie można się tutaj ruszyć, bo zaraz pan „wschodzi” nie posiany. Trzeba mieć odrobinę taktu...

- Myślę, że wykazałem go dość, nie alarmując domu o wyczynie pań. A jeżeli już mowa o takcie... Wchodzicie pod nieobecność właściciela do jego pokoju, na pewno nie w zbożnych celach, gdyż jesteście z nim w konflikcie, a później wygadujecie niestworzone rzeczy o jego namiętnościach. Jeżeli to nazywa się takt, to gotów jestem natychmiast połknąć wiosło.

- Skąd pan wie, że Szeryna tam nie było? - błędnie Dorota.

- Świadczy o tym chociażby fakt, że wychodziłyście oknem nad ranem.

Anielka przykucnęła i patykiem dziobie mech. Trąca Dorotę.

- To już powiedzmy Dorota - mówi z ciężkim westchnieniem - bo jeszcze, pan pomyśli, że rzeczywiście robiłyśmy Bóg wie co.

- Wczoraj złapaliśmy jeża - oświadcza Dorota.

Anielka przygląda się przez chwilę przyjaciółce. W oczach błysk zrozumienia.

- Pilnowaliśmy kiedy on wyjdzie, Szeryn, a nie jeż - ciągnie Dorota. - Wyszedł niedawno, a my skorzystałyśmy z okazji...

- I co z tym jeżem? - interesuje się major.

- Teraz siedzi pod kołdrą u Szeryna.

- Sądzicie, że jeż będzie grzecznie siedział pod kołdrą do wieczora?

- Szeryn jeszcze dzisiaj wróci do łóżka. Na pewno wrócił już - z przekonaniem oświadcza Anielka.

- Jesteście pewne? - niedowierza major.

- Uhm! - kiwa głową Anielka. - Bo on bardzo szybko wyleciał w piżamie. No, mówię panu, balonem go wyniosło... rozumie pan?

*

W jadalni major zjawia się zaraz po gongu. Przy stole miejsca Szeryna i Magdaleny świecą pustką. Gdy major kończy już śniadanie zjawia się Dorota.

- Dzień dobry - pozdrawia burkliwie i z hałasem odsuwa krzesło. Opiera łokcie na stole i nie odzywając się do majora, bez przekonania dziobie widelcem w talerzu.

- Nie smakuje? - inspektor chce sprowokować ją do rozmowy.

- Nienawidzę twarożku - prycha dziewczyna jak rozzłoszczona kotka.

Major traci ochotę na rozmowę z nią.

Z korytarza słychać tupot szybkich kroków - drzwi otwierają się z trzaskiem i do jadalni wpada wystraszona leśniczyna. Krzyczy:

- Ta pani chyba umarła!

Sekunda napiętej ciszy - ludzie zrywają się od stołu,

- Która pani? - dopytują się.

- Pani Jarosowa - przełykając głośno ślinę mówi leśniczyna.

Jadalnia wyludnia się w mgnieniu oka, wszyscy tłumnie kierują się w stronę pokoju Magdaleny.

- Zaniósłam jej śniadanie - opowiada gospodyni - a ona siedzi i nie rusza się... Tylko tak dziwnie patrzy. O Boże, co za nieszczęście! - zanoszą się suchym szlochem.

- Proszę państwa, czy jest wśród nas lekarz? - głos majora panuje nad ogólnym zgiełkiem.

Chwila ciszy, okazuje się, że lekarza nie ma.

- Mam przeszkolenie pielęgniarskie PCK - nieśmiało zgłasza się Dorota.

- Jestem funkcjonariuszem milicji - informuje zebranych major. - Proszę o natychmiastowe wezwanie pogotowia ratunkowego. - Pani Doroto - zwraca się do dziewczyny - proszę ze mną.

Ktoś idzie do telefonu w jadalni - czarnej prostokątnej skrzynki z korbką.

Dorota bez kropli krwi w twarzy idzie w milczeniu za inspektorem. Reszta niepewnie gromadzi się pod przymkniętymi drzwiami.

Pokój jest niewielki, przez uchylone okno zagląda gałąź wiązu. Na starym, obszernym fotelu z przechyloną na ramię głową nieruchomo siedzi Magdalena. Ręce bezwładnie zwisają obok poręczy fotela. Spod przymkniętych powiek patrzą szkliste, niewidzące źrenice.

Inspektor dotyka jej dłoni. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że na nic się tu nie przyda lekarz i pogotowie. Ta kobieta nie żyje.

Major przypomina sobie Dorotę. Ogląda się. Dziewczyna stoi kurczowo uczepiona stołu, kredowo blada - bliska omdlenia.

Inspektor bierze ją łagodnie za rękę i wyprowadza z pokoju.

- Proszę odwołać pogotowie - mówi - niepotrzebne... I proszę się zająć panią - podaje komuś ślaniającą się Dorotę. Sam wraca do pokoju Magdaleny. Ciekawi cisną się za nim.

- Proszę nie wchodzić - major zamyka za sobą drzwi.

Na tapczanie nie ma pościeli. Na stole nakrytym szydełkową serwetą porozrzucone kartony, jakieś szkice, leżą pastele, otwarte pudełko akwarelowych farb. W glinianym siwaku mokną pędzle. Dalej dzbanek z resztką mleka i wysmukła szklanka z przydymionego szkła - na dnie również trochę mleka. Druga, podobna szklanka, napełniona jest do połowy czarną jak smoła kawą.

Inspektor dokładnie zamyka uchylone okno. Niezdecydowany zatrzymuje się przy stole i przygląda szklankom. Wyciąga z kieszeni chusteczkę, owija nią dłoń i ostrożnie podnosi szklankę z kawą. Zapach i konsystencja płynu nie budzą podejrzeń. Zwykła, wystygła, bardzo mocna kawa.

Szklanka z resztką mleka zastanawia majora. Mleko jest gęste - wygląda jak rozpuszczony

gips. Zapachem też mało przypomina mleko.

Major wychodzi z pokoju, zamyka drzwi na klucz. Z kawałka stearynowej świecy nakłada prowizoryczną pieczęć.

Idąc do telefonu ma nedorzeczne uczucie, że Magdalena Jarosowa jest strasznie osamotniona w tym zamkniętym pokoju.

Aparat telefoniczny z korbką jest urządzeniem kapryśnym i trochę trwa zanim major uzyskuje połączenie z najbliższym urzędem pocztowym, żąda „błyskawiczną” z Komendą Wojewódzką w Olsztynie.

- Korosz, inspektor służby kryminalnej Komendy Głównej Milicji - przedstawia się oficerowi dyżurnemu. W kilku zdaniach zawiadamia o wypadku. - Proszę ekipę dochodzeniową, ambulans techniczny... tak z pełnym sprzętem, no i ambulans z medycyny sądowej... tak, trzeba zabrać zwłoki... Aha! Jeszcze poproszę Simplex UKF o dalekim zasięgu... Tutejsza łączność jest kiepska.

W ten upalny poranek pensjonariusze nie rozchodzą się - podekscytowani snują się po dziedzińcu, podchodzą pod okno pokoju Magdaleny, zaczepiają majora.

- Zawał serca? - z niepokojem wymieniają tę częstą chorobę.

- Chyba tak - zbywa ich major.

Wreszcie nadjeżdża samochód techniczny z Olsztyna, zaraz za nim ambulans medycyny sądowej. Przed leśniczówkę wysypuje się ekipa dochodzeniowa z olsztyńskiej komendy wojewódzkiej.

Młody kapitan w rozpiętej koszuli od munduru szuka wzrokiem inspektora - major podchodzi do niego.

- Melduje się kapitan Drozd z grupą dochodzeniową - mówi regulaminowo. - Zabójstwo, nieszczęśliwy wypadek, topielec czy zwyczajne mordobicie - wymienia jednym tchem.

- Zdaje się, że trucizna, kolego - informuje major.

- Uwielbiam trucizny, zwłaszcza w taki upał - wzdycha kapitan.

Oficerowie wchodzą do leśniczówki.

Sanitariusze wynoszą okryte prześcieradłem ciało Magdaleny. Ambulans Zakładu Medycyny Sądowej odjeżdża. Funkcjonariusze milicji zaczynają swoje misterium w pokoju Magdaleny.

- Magdalena Jaros, z domu... trzydzieści cztery lata, rozwiedziona, zawód... zatrudniona, miejsce zamieszkania Warszawa, ulica - głośno czyta dokumenty kapitan. - I co z tego można dowiedzieć się o człowieku, majorze? - krzywi się z dezaprobatą. - Jak żył, czego pragnął, jakiego miał mola? Co myślał, gdy umierał, czy zdawał sobie sprawę, że już przekracza tę granicę? Czy żałował życia w ostatniej chwili?

- Zakładacie, że to samobójstwo, kapitanie? - uśmiecha się major.

- Trochę za wcześnie na hipotezy... - waha się kapitan. - Ale takie odnoszę wrażenie...

Spójrzcie chociażby na to...

Kapitan przykucnął w pobliżu fotela. Na podłodze leży gruby karton, opodal kawałek rysunkowego węgla.

Karton pokrywają bezładne linie. Kilka kresek, to śmiałe pociągnięcia. Sprawiają wrażenie zamierzonej, celowej kompozycji, ale obok rozpoczyna się coraz większa plątanina niezdecydowanych, często zygzakowatych linii; miejscami nakreślonych z naciskiem dłoni, aż kruszył się miękki węgiel, pozostawiając ślad grubych, czarnych krech z siateczką rozprysków, żeby zaraz przejść w nieśmiałe, bezradne, urywające się kreski... Wraz z tą nieporadnością ręki niepodporządkowanie koncepcji jest coraz większe, aż wszystko rozsypuje się w zupełny bezład, chaos. Jej ostatnia kreska jest leciutka, prawie niewidoczna, urywa się nagle, nie prowadzi do nikąd.

- Wiedza o człowieku? - zamyśla się major. Wydaje mu się, że ten karton, ten labirynt czarnych kresek, może powiedzieć więcej o zmarłej niż wszyscy ludzie, których będzie musiał o nią zapytać,

- Rysowała do ostatniej świadomej chwili? - domyśla się kapitan. - Gdyby można było odczytać ten szkic? Gdyby istniały jakieś zrozumiałe znaki, które można by podłożyć pod te linie... taki plastyczny szyfr... jakąż wiedzę o człowieku można by wówczas uzyskać.

Obaj nie mogą oderwać oczu od tego rysunku.

Tak się rozklejać nad jednym zwariowanym szkicem samobójcy? Dlaczego samobójcy? - myśli inspektor. Nie wolno się niczym sugerować, zanim nie uzyska się pełnego obrazu. A co to mnie wszystko obchodzi, to nie moje dochodzenie - złości się na siebie. Niech Olsztyn dba o obiektywizm, ja jestem na urlopie. Ale Korosz już wie, że przerwie urlop i weźmie udział w tym dochodzeniu. - Nałogowiec, kopnięty nałogowiec - wymyśla sobie przez zęby.

- Co takiego? - nie dosłyszał kapitan.

- Weźmy się do roboty. Będziecie mieli coś naprzeciw, jeżeli wam pomożę?

- Ależ skąd - uśmiecha się kapitan. - Wzięło was?

Technik kryminalistyki starannie utrwała na folii odciski palców.

- Dwadzieścia trzy ślady linii papilarnych majorze i wszystkie śliczne. Wyraźne. Zupełnie jak do celów szkoleniowych - mówi ucieszony. - Laboratorium nie przepracuje się przy ich identyfikacji.

- Śmierć musiała nastąpić wieczorem. Tapczan nie został pościelony na noc - mówi kapitan.

- Medycyna sądowa poda nam bardziej precyzyjnie czas zgonu - stwierdza technik.

- Czym się ona otruła? - głośno myśli kapitan. - Trzeba zadzwonić, niech Komenda ponagli zakład medycyny, żeby najpóźniej na jutro dali wyniki sekcji i orzeczenia toksyczne. Na razie nie ma co spekulować. Nie lubię takich wniosków, nie popartych analizami. To później cholernie przeszkadza w dochodzeniu.

- Luminal - mówi inspektor demonstrując białą tabletkę, którą znalazł na stole. - Bardzo kobiecy środek na odbieranie sobie życia - wzdycha.

- Łatwo dostępny - stwierdza kapitan. - Ile ona mogła tego zjeść?

- Sądząc po tej mazi w szklance, bardzo dużo - major ogląda gęsty biały roztwór na dnie szklanki. Konsystencja lasowanego wapna - orzeka.

- Majorze, czyżbym znalazł przyczynę samobójstwa?

Kapitan kładzie przed inspektorem zdjęcie pocztówkowego formatu. Fotografia ma starte, prawie na okrągło kanty, wyraźne ślady noszenia w trochę za małym, jak na jej rozmiar, portfelu.

*

- Kochany mężczyzna - mówi kapitan. - Bo sądząc z wieku to nie jest ani ojciec, ani syn.

- Chyba tak - przyznaje major. Z odblaski patrzą na niego głęboko osadzone oczy Pawła Szeryna.

Przez ramię zagląda oficerom technik, młody, zgrabny chłopak w taksach.

- Panowie - wykrzykuje z naganą. - Jakaż kobieta dzisiaj popełnia samobójstwo dla mężczyzny, nawet najbardziej kochanego, nie ta moda, nie ten styl. Wasze wyobrażenia na ten temat są nie z tej ziemi,

- Jest pan o tym przekonany? - pyta major.

- Oczywiście - z nutą wyższości i pobłażania stwierdza technik. - Wie pan co robią babki? Niektóre idą na wódkę i zalewają się podobnie jak mężczyźni. Naiwniejsze zwierają się przy tym przyjaciółkom, które natychmiast rozgłaszają to gdzie mogą. Ale znakomita większość idzie się przespać z następnym.

- Hurra - cyniczna ocena zastępuje niektórym myślenie - opiniuje kapitan.

Technik wzrusza ramionami i zabiera się z powrotem do swojej pracy.

Major przypomina. sobie nagle, że od rana nie widział Pawła Szeryna. W zamieszaniu, zajęty wypadkiem, zapomniał o nim. Czyżby Szeryn nie wiedział dotychczas o śmierci Magdaleny?

Po porozumieniu się z Komendą Wojewódzką idzie do Szeryna, jego pokój jest zamknięty, na pukanie nikt nie odpowiada.

Żadna ze spotkanych osób nie może poinformować majora gdzie znajduje się Paweł Szeryn,

Major schodzi aż nad brzeg jeziora. Reflektuje się, że takie szukanie nie ma sensu, ponieważ teren, na którym mogą wypoczywać pensjonariusze leśniczówki jest niemal nieograniczony.

Major myśli, że najściślejsze informacje o Szerynie uzyska od przyjaciół Doroty. Jeżeli dziewczęta mogły całą noc czatować na okazję, aby mu podrzucić jeża? - myśli major. - Swoją drogą ci ludzie są bardzo jeszcze dziecinni.

Idzie w stronę biwaku. Namiot ma podniesione boki - w środku ułożone w kostkę koce.

Opodal namiotu poodwracane do góry dnem naczynia. Popiół z ogniska starannie zgarnięty w stożek. Teren wokół obozowiska schludny, wymieciony. Na drzewie suszą się granatowe texasy z marynarskiego płótna i sportowe koszulki. Wokół żywego ducha.

Przecież w taką pogodę - myśli major - nie będą siedzieli w namiocie. Na pewno są na jeziorze. Poza tym jeżeli Dorota powiedziała im o wypadku, a na pewno powiedziała, to ochota na figle z Szerynem mogła im przejść.

Inspektor postanawia zaczekać na spotkanie z Szerynem do obiadu. Jest zniecierpliwiony jego nieobecnością, ale nie chce informować wszystkich, że uważa Szeryna za pierwszą osobę, z którą powinien rozmawiać w sprawie Magdaleny. Związek swój usiłował utrzymać w tajemnicy - mimo tak tragicznych okoliczności należy postępować możliwie delikatnie.

Inspektor wraca i pomaga milicjantom dokończyć oględziny. Dobiega południe. Upał daje się we znaki. W nieruchomym, drgającym powietrzu trudno oddychać. Każda czynność staje się wysiłkiem.

Jest już pora obiadowa - nawet dźwięk gongu brzmi ospale. Żaden z oficerów nie ma apetytu.

- Pić! - prosi kapitan, gdy siadają przy stole.

Leśniczyna stawia przed nimi pękate dzbanki napełnione kompotem, maślanką i zimnym chlebowym kwasem.

- W taki upał najlepiej gasi pragnienia kwas - objaśnia, podsuwając gliniany, obroszony dzbanek, pełen klarownego jasnozłotego płynu.

Leniwie nadciągają pensjonariusze - ciekawie przyglądają się milicjantom. Szeryn nie zjawia się. Pod koniec obiadu, gdy jadalnia zaczyna pustoszeć, przychodzi Dorota. Lekkie skinienie głowy w stronę Korosza - dziewczyna nawet nie siada. Przyniosła ze sobą turystyczne menażki, zabiera w nie swój obiad i sztywna, nachmurzona, bez słowa opuszcza jadalnię.

Przy stole pozostają tylko Korosz i kapitan. Technik poszedł nad jezioro. Leśniczyna zbiera naczynia do emaliowanej wanienki.

- Czy pani zanosila obiad panu Szerynowi? - zwraca się do niej major.

- Tak - kiwa głową kobieta. - Tylko że go nie było.

- Czy orientuje się pani, gdzie on najchętniej chodził, tu w okolicy?

- Nad jezioro, tu za skarpą, zawsze z panią Magdaleną. Ona czasami rysowała, pływali kajakiem aż na wyspę. Tu jest kilka wysepek, ale oni upodobali sobie tę za czwartym meandrem na jeziorze.

- Muszę się z nim zobaczyć - stwierdza major.

Kobieta przygląda mu się w skupieniu.

- Myśli pan, że to przez niego? - nie czeka na odpowiedź. - Może i przez niego... A może się w niej już coś przedtem uzbierało? Coś takiego, z czym nie mogła już wytrzymać? Czasami

wystarczy jedna kropla...

- Kiedy pani ostatnio widziała Szeryna? - pyta major.

- Wczoraj, jak mu zaniósłam kolację.

- A dzisiaj?

- Dzisiaj go nie widziałam.

- Śniadania mu pani nie podawała do pokoju?

- Nie było go od samego rana.

To znaczy od kiedy, która to mogła być godzina? - majora ogarnia niejasny niepokój.

- Śniadania wydaję o ósmej... Około dziewiętej chodzę do gości, którzy nie zeszli do jadalni.

Rano nie byli na śniadaniu: pani Magdalena, pan Szeryn... no i tamten pan, który przyjechał do pana Szeryna. Wyporządziłam mu wczoraj pokój obok pokoju pani Doroty... Ale on na śniadaniu miał być nie na pewno.

- Jak się nazywa ten gość Szeryna?

- Nie wiem. To wszystko załatwiał pan Szeryn. Raz tylko go widziałam jak przyjechał przedwczoraj rano, był na śniadaniu. Zdaje się, że był również wczoraj wieczorem, ale przyjechał po kolacji, a ja po kolacji mam dużo zajęć. Muszę sprzątnąć, pozmywać - mam staranie o dziesięć osób, a poza tym krowy, drób, warzywnik. Nie mam czasu na przyglądanie się letnikom.

- Więc na śniadanie nie przyszły trzy osoby - powtarza major. - W jakiej kolejności zносиła im pani dzisiaj śniadanie, proszę sobie przypomnieć.

- Wzięłam dwa śniadania, bo więcej mi się na tacę nie mieści. Zapukałam do drzwi tego kolegi pana Szeryna. Ale jego nie było, więc poszłam do pani Magdaleny.

- Co było dalej?

- Zobaczyłam ją i... przybiegłam tutaj aż mi się kawa po drodze wylała... Proszę pana! - wykrzykuje kobieta - pomyliłam się, ja dzisiaj zapomniałam podać śniadanie panu Szerynowi. Tak się zdenerwowałam tym wypadkiem, że już później o niczym nie pamiętałam, bo drugi raz ze śniadaniem nie chodziłam.

- Czy pani nie myli się, może pani pukała do drzwi Szeryna a nie do jego znajomego? - wątpi major.

- Nie, proszę pana. Pan Szeryn ma pokój za pokojem pani Magdaleny, jeżeli liczymy od strony jadalni. Więc jemu miałam podać na końcu, zawsze tak robię.

- O której dzisiaj pani wstała?

- Późno - wzdycha kobieta. - O piątej. Zasnęłam.

Major myśli, że to nie leśniczyna dzisiaj rano otworzyła drzwi wejściowe. On wychodził po trzeciej, a drzwi zastał już otwarte.

- Na pewno? Proszę sobie dobrze przypomnieć - nalega.

- Na pewno, proszę pana, przy moich obowiązkach muszę żyć z zegarkiem w ręku - mówi z nikłym uśmiechem.

- Jak dawno oni tu przyjechali?

- Dwa dni przed panem. Dzisiaj mija osiem dni jak tu są.

- W jaki sposób porozumieli się z panią co do warunków?

- Podobnie jak pan. Dajemy ogłoszenia do Sport-Touristu o tym co i za ile oferujemy gościom. Nadszedł list od pani Magdaleny, najpierw miała przyjechać sama. Na kilka dni przed terminem przyjazdu przysłała depeszę z zamówieniem na pobyt dla jeszcze jednej osoby. Nie ma z tym u nas trudności, dom mamy duży.... Ładnie tu, ale brak komfortu, światła, komunikacja też nie najlepsza. Rzadko kto, jak nie ma samochodu, zdecyduje się przyjechać na to odludzie. Żwirówką od szosy jest dwadzieścia pięć kilometrów, a od przystanku PKS około trzydziestu.

- Pan Szeryn przyjechał własnym samochodem? Nie wiedziałem o tym.

- Bo jego samochód stoi w tamtej szopie nad skarpą i od dnia przyjazdu nie był używany. Czy pan obawia się, że panu Szerynowi mogło się coś złego przytrafić?

Major milczy.

- On chyba wie, że pani Magdalena nie żyje - podejmuje leśniczyna - i poszedł gdzieś, żeby to przetrwać sam ze sobą. On wygląda na twardego człowieka, który nieszczęścia musi przeżyć samotnie. Jest takie przysłowie: prześpij się z nieszczęściem, a łatwiej je zniesiesz... Dajcie mu panowie trochę spokoju, on sam do was przyjdzie.

- Ma pani rację - zgadza się inspektor. Razem z kapitanem wychodzą z jadalni. Na razie nie mają nic do roboty. Kapitan idzie nad jezioro, major chce porozmawiać z Dorotą. Na wszelki wypadek - nie spodziewając się, że kogoś zastanie - puka do jej pokoju.

Jest nieco zdziwiony, słysząc jej: - proszę - zza drzwi. Zastaje Dorotę i Anielkę siedzące przy stoliku nad rozstawionymi menażkami. Dziewczęta kończą jedzenie wystygłego obiadu Doroty.

- Proszę niech pan siada - Dorota gestem wskazuje mu krzesło zasłaniając sobą stolik. W tym czasie Anielka sprząta puste naczynia, ustawia je na oknie i przysłania firanką.

- Chce pan pić? - Dorota wskazuje dzbanek z kompotem.

- Przyszedł pan jako uporczywy podrywacz czy jako groźny milicjant - przekornie przekrzywia czarny łebek Anielka.

- Oczywiście jako podrywacz, jak panie moją w to wątpić? - zapewnia major.

- „*A w kwarcire wajennych pałno od majora pa wysze...*” - nuci Anielka z niemiłosiernym akcentem.

- A pani skąd zna parafrazę tej miłej piosenki? - chce wiedzieć major.

- Ma się tych zasłużonych rodzicieli w domu - wyjaśnia nonszalancko - co to od Oki do Mokki. Jasne?

- Tak mało sobie pani ceni ich walkę? Nie przyszło pani do głowy, młoda kobieto, że to co oni robili nad tą Oką to było konieczne, że...

- Litości - przerywa mu Dorota. - Niech pan nie kończy, znamy! Znamy. Zaraz się dowiemy że zręby, że nasze szczęśliwe dzieciństwo, że świetlana przyszłość, że my jesteśmy cyniczni, że nie doceniamy absolutnie wszystkiego łącznie ze świadczeniami socjalnymi, że dla nas tylko twist i technika, że jesteśmy bezideowi...

- Doceniamy nie tylko ich pełną walki młodość, ale nawet trudne dzieciństwo - wpada jej w słowo Anielka. - Tylko niech pan zrozumie, że jak człowiek przez osiemnaście lat wysłuchuje tyrad jacy ci starzy byli geroje, to się człowiekowi odbija bohaterami, a jeszcze jak pan ma ich w rodzinie kilka sztuk? I z każdym rokiem herosów przybywa?

- I jak panu wytykają przy każdej okazji i bez okazji te swoje pozaprzeszłe Termopile? Zupełnie jakby człowiekowi zazdrościli, że nie musi się zużywać tak jak oni, że nie musi nadstawiać głowy - wspomaga koleżankę Dorota.

- Spokojna głowa - przyjdzie czas i na nas. Będziemy robili co do nas należy i jak Boga kocham nie będę miała za złe własnym dzieciom, że mają lepiej niż ja w ich wieku - zaperza się Anielka.

Major powściąga uśmiech.

- Dlaczego panie nie były na obiedzie? - zmienia temat.

- Nudny pan jest - krzywi się Dorota. - Już panu mówiłam, że mamy ograniczone fundusze i w tym Saint Tropez możemy utrzymywać tylko jedną osobę.

- Będziecie głodne - zauważa.

- Niech się pan nie rozczula - prycha Anielka. - Nam to w zupełności wystarczy. Poza tym to dobrze robi na linię.

- Nie jest tak źle - łagodzi Dorota. - Nasi koledzy łowią ryby i przyniosą koryto ze wsi.

- Chłopcy poszli po prowiant? - dowiadyuje się major.

Koleżanki wymieniają szybkie spojrzenia.

- Teraz są na jeziorze. Po uzupełnienie zapasów pójdą wieczorem, chłodniej, a poza tym szkoda dnia. Pogoda taka więcej przepiękna, ryba bierze...

- A was już nie bawi jezioro? - podejrzliwie pyta major.

- Podział pracy - wyjaśnia Dorota. - Mężczyźni starają się o żywność a kobiety muszą uprać desusy i inne imponderabilia, których nie sposób określić... - Anielka składa usta w ryjek.

- Właśnie miałyśmy zabrać się do prania - z lekkim naciskiem oświadcza Dorota.

Major postanowił być nieinteligentny i nie rozumie aluzji - nie daje się splawić.

- Nie przebaczyliście jeszcze Szerynowi? - naprowadza rozmowę na pożądaną temat.

Dziewczęta spoglądają na siebie i robią skruszone miny; major spostrzega, że ten wyraz jest

na pokaz specjalnie dla niego. Podczas całej rozmowy nie opuszcza go wrażenie, że dziewczęta pod pozorem pewności siebie, na siłę robionej nonszalancji, ukrywają niepokój, a nawet lęk.

- Już nam przeszło - przyznaje Dorota.

- Niech pan sobie wyobrazi, że nawet jest nam trochę przykro - Anielka mówi to takim tonem, jakby z góry zakładała, że major nie uwierzy w ich zapewnienia. - Zabawa była trochę... ordynarna.

- Takie zmiany od rana? - dziwi się major.

- Nie może pan zapomnieć tego jeża? - Dorota spogląda w okno, odwraca przy tym twarz tak, że inspektor nie widzi jej wyrazu.

- Rzeczywiście Szeryna nie było w pokoju podczas waszych odwiedzin? - major przenosi badawcze spojrzenie z jednej nit drugą.

- Niech pan nie wierzy w *l'amour en trois* - prosi z bladym uśmiechem Anielka. - Chciałyśmy pana zakłąć w capa... No, bo kto lubi jak go przyłapią na bobrowaniu w cudzym pokoju?

- Oczywiście, że w to nie wierzę.

- Gdyby Szeryn był w pokoju, to nigdy byśmy do niego nie weszły. Przecież piernik narobiłby wrzasku. On nie pochodzi z klanu herosów, zapewniam pana - oświadcza Dorota.

- Uważa go pani za tchórza?

- Uważam go za podagrycznego ramola z zaawansowanym rozmiękczeniem mózgu - odpowiada z rozdrażnieniem Dorota. - Za nic więcej. Z panem jest trudno rozmawiać, wszystko pan bierze dosłownie. Tak sobie powiedziałam, a pan zaraz z tym tchórzem; a skąd ja mogę wiedzieć?

- Szeryn wyszedł wtedy do ubikacji. Wyszedł? - wyprysnął jak z procy! - wyjaśnia Anielka.

- Gdzie wtedy byliście?

- Też pytanie? U Doroty w pokoju - wydyma usta Anielka.

- Skąd wiedziałyście, że on wyszedł?

- Trzepnęła drzwiami, że ha! Pan ma mocny sen, panie majorze, umarłego obudziłby ten hałas.

- Tylko nie Anielkę, ją jest w stanie obudzić jedynie wiadro zimnej wody. Mówię panu, wypróbowany sposób - wtrąca Dorota z wyraźną intencją rozładowania atmosfery.

- Którędy panie do niego weszły?

Dziewczęta nie odpowiadają. Obie z podobnym wyrazem źle ukrywanego strachu patrzą na majora.

- Czy pan nas chce ukarać za tego jeża? - odzywa się płacząco Anielka, drżą jej usta i zaczyna głośno płakać.

Po chwili dołącza się do niej Dorota i major ma koncert na dwa głosy z pochlipywaniem i szlochami.

- Poszalałyście czy co? - denerwuje się major. - Przestańcie ryczeć, ja tylko chcę wiedzieć,

którędy weszłyście do pokoju Szeryna.

- Przez drzwi - pociągając nosem mówi Anielka.

- Dlaczego wychodziłyście oknem?

- Bo nam się wydawało, że on już wraca - oznajmiła grobowym głosem Dorota. - Ładnie byśmy wyglądały, jakby nas przyłapał. Już nigdy, jak będę żyła, nie zrobię takiego numeru.

- Widzi pan, jakiego mamy pecha? Musiałyśmy natknąć się na pana i żeby pan akurat musiał być milicjantem i do tego jeszcze majorem.

- To już idźcie robić tę przepierkę, moje panie - doradza major; chce aby dziewczęta wyszły z leśniczówki.

Dorota chwyta z kąta kolorowy węzełek - Anielka waha się przez chwilę, wreszcie ciekawość bierze górę nad nieufnością do tego wścibskiego podrywacza, który okazał się milicjantem.

- Ona otruła się z miłości? - pyta wlepiając w majora okrągłe czarne ślepka.

- Nie wiem - wzrusza ramionami major. Myśli, że wszelkie wiadomości mają to do siebie, że rozchodzą się błyskawicznie nie wiadomo jakimi drogami.

- Chodź Anielka - ciągnie ją Dorota. - Lepiej o takich sprawach nie wiedzieć.

Dziewczęta zbiegają i werandy - major przez moment obserwuje dwie oddalające się figurki. Powoli okrąża dom. Jest pusto - pensjonariuszom znudziło się wreszcie podglądanie milicjantów. Z kuchni dobiega dźwięk naczyń.

Inspektor podchodzi do okna pokoju Szeryna. Rozgląda się - nie ma ochoty, aby ktoś go zobaczył - wokół tylko szumi starodrzew.

Ostrożnie próbuje podważyć okienną ramę - ustępuje bez trudu. Okno nie jest zamocowane od wewnątrz. Inspektor uchyla oba skrzydła i przez chwilę stoi nieruchomo pod ścianą - nic się nie dzieje, cisza.

Opiera dłonie na zewnętrznym występie okna, podciąga się na rękach i lekko przesadza parapet. Przystaje w kącie nasłuchując chwilę i ogarnia wzrokiem pokój Szeryna.

Panuje w nim nieład. Na tapczanie rozrzucona, zmięta pościel, obok na podłodze ciśnięta chyba w pośpiechu męska piżama. Uchylone jedno skrzydło drzwi starej szafy z kolumnkami prezentuje absolutny chaos panujący we wnętrzu. Zrzucony z wieszaka garnitur, impregnowana wiatrówka zaczepiona o ramiączko jednym rękawem, płatanina koszul, chustek do nosa i innych męskich drobiazgów.

Na stole w nieładzie przybory do golenia, wypatroszony elegancki neseser, jakieś papiery. Zielonkawy flakon leży przechylony na kloszu pełnym owoców. Woń wczesnych jabłek miesza się z ostrym przyjemnym zapachem wody kolońskiej.

Major przypomina sobie o jeżu. Rozgląda się, ale nigdzie nie widać kolczastej kulki. Szuka uporczywie po wszystkich kątach, szpera pod szafą, odsuwa tapczan. Po jeżu nie ma śladu.

Uciekł? - zastanawia się inspektor i nie bardzo wie, czy ma na myśli zwierzątko czy Szeryna. Dlaczego go tak absorbuje nieobecność jeża? Którędy mógł wyjść? Okno było dobrze domknięte, więc nie tędy. Prawdopodobnie, gdy Szeryn opuszczał pokój w takim pośpiechu, zwierzak wymknął się przez drzwi. Tylko czy ten zwierzak w ogóle był tu przyniesiony? - inspektor ma co do tego poważne wątpliwości.

Gdzie jest Paweł Szeryn? Kiedy i dlaczego w takim popłochu uciekł ze swego pokoju? Przecież to wygląda na ucieczkę.

Inspektor opuszcza pokój też przez okno. Teraz tylko potrzeba - myśli - żeby mnie zobaczyły te dwie pliszki, miałyby Nielichą zabawę. Ale nie tylko dlatego bardzo nie chce żeby go dziewczęta zobaczyły w tej chwili.

Idzie do szopy, w której stoją samochody letników. Są trzy: pomidorowy Wartburg, niebiesko-farbkowy Moskwicz i stalowa Syrena. Inspektor chwilę medytuje: tak, stał tutaj zielony Consul - bardzo ładny, prawie nowy wóz - nie ma po nim śladu.

Szuka leśniczyny - leśniczego prawie nigdy nie ma w domu. Las wymaga pracy i starania gospodarza. Leśnik z zamięłowania, często nie wraca do domu na noc.

Gospodynię znajduje koło fermi drobiu.

- Jak wygląda samochód pana Szeryna? - zapytuje major.

- Jasnozielony Consul - odpowiada kobieta; wymienia markę samochodu, tak jakby mówiła o rasie drobiu: Sussex, Cyranka.

Leśniczyna wciąż zadziwia majora ujawniając znajomość rzeczy, o jakie jej nie posądzał.

- Ten Consul zniknął - mówi major patrząc na nią.

Kobieta zastyga z dłonią zanurzoną w ziarnie, ale nie mówi nic.

- Mam podstawy sądzić, że razem z nim zniknął również Szeryn - ciągnie major.

- Wyjechał? - prostuje leśniczyna.

- Powiedzmy, że wyjechał. Mam do pani prośbę - z naciskiem podkreśla major. - Proszę o utrzymanie w tajemnicy wyjazdu Szeryna. Milicji bardzo na tym zależy.

- Rozumiem - mówi kobieta. - Może pan być spokojny, nie jestem gadatliwa ani zbyt ciekawa. Tylko... zaczynam się bać...

- Liczę na pani dyskrecję - jeszcze raz zastrzega major.

Kobieta kiwa głową i z ciężkim westchnieniem wraca do przerwanej zajęć.

Inspektor zastanawia się co ma robić dalej - historia zaczyna być niepokojąca. Wola kapitana i przekazuje mu swoje spostrzeżenia.

- Uciekł? - krzywi się kapitan. - To nieprawdopodobne, naiwne, wprost głupie.

- Też mi się to nie klei... - przyznaje major. - Ale... - opowiada o mimowolnie podsłuchanej rozmowie Magdaleny z jej byłym mężem.

- Można przypuszczać, że przedtem zerwał z nią Szeryn, albo ona z nim, później taka miła rozmówka z tamtym drugim - dziwaczne i niekonsekwentne są kobiety - nagle załamanie, osamotnienie, poniżenie godności, przy tym trochę psychopatii... nagle pustka i klops. Szklanka luminalu. Psychologicznie umotywowane - głośno myśli kapitan.

- Ale dlaczego Szeryn się ulotnił?

- Może już wieczorem zobaczył, że ona nie tyje, przeraził się skandalu i wyprysnął. Zawsze później może powiedzieć, że rozstał się z babką i wyjechał, a co się potem stało, to już nie wie - mówi kapitan.

- Nie ma co, uroczy amant - krzywi się major. - Ale dlaczego nie zawiadomił o swym nagłym wyjeździe gospodyni? Wyglądałoby bardziej prawdopodobnie... Gonię w piętę - zżyma się inspektor. - W jego pokoju pozostały ciuchy, neseser, wszystko.

- Rzeczywiście nasze domysły nie trzymają się kupy - przyznaje kapitan. - Można zostawić kochankę, ale nie marynarkę - ironizuje. - Zamordował?

- I uciekł w popłochu, kierując na siebie podejrzenia? Nonsens! - zaprzecza inspektor.

- Trzeba faceta szukać - stwierdza kapitan.

- Przede wszystkim bardzo dokładnie obejrzymy jego pokój - radzi major. - Ktoś musi pojechać do Olsztyna, postać im nad głową, niech dają natychmiast wyniki sekcji i wszystkich badań. Następnie może się uda zebrać ślady protektorów zielonego konsula - to będzie zadanie dla waszej ekipy. Ja porozumiem się z Warszawą - być może Szeryn mimo małego prawdopodobieństwa takiego założenia wyjechał do domu, więc niech sprawdzą... poza tym numer rejestracyjny samochodu i rysopis Szeryna damy wszystkim posterunkom w kraju. Na razie to trzeba zrobić bez rozgłosu.

- Może przeniesiemy się do Szczytna? - przerywa kapitan. - Tu na tym zadupiu...

- Wydaje mi się, że trzeba pozostać tutaj. Widzicie, jestem tu od kilku dni... byłem świadkiem kilku błahych zdarzeń, nawet zabawnych spięć, ale teraz to daje do myślenia. Tu się coś niedobrego dzieje, tylko na razie nie mogę nic ze sobą logicznie powiązać. Wiecie jak to jest: kasza. Jaki zasięg ma ten wasz Simplex? - niepokoi się nagle inspektor przypominając, że dobrą łączność może mieć tylko przez radiostację. - Są wzmacniacze?

- Są. Ale starczy na Warszawę bez wzmacniaczy - uspokaja kapitan.

Nawet leśniczyna nie domyśla się, że w pokoju Szeryna są milicjanci. Technik, fotograf i kapitan bez szmeru poszukują śladów, szczegółów, które być może pomogą zrozumieć powód nagłego zniknięcia mieszkańca.

Porucznik z ekipy dochodzeniowej goni na złamanie karku simką majora do Olsztyna.

Major wywołuje Warszawę. Nawiązuje łączność - prosi pułkownika Lisa - swego przełożonego i przyjaciela. Wreszcie słyszy jego tubalny bas.

- Gdzie ty jesteś i co się stało, że męczysz swego nieocenionego szefa w taki upał?
- Przerwywam urlop - mówi inspektor. Później krótko przedstawia przebieg wypadków.

Wymienia nazwiska, żąda wyczerpujących informacji na temat letników z leśniczówki.

- Te wszystkie dane niech jeszcze dzisiaj przywiezie porucznik Cieślik.
- Andrzej, oszalałeś? - pyta z flegmą Lis. - Ostatecznie dane możesz mieć niedługo,

przekażemy. Ale Cieślik jest na urlopie, podobnie jak ty.

- Odwołaj go - domaga się inspektor. - Wywiadowca jest mi tu niezbędny.
- Weź sobie z Olsztyna - radzi pułkownik.

- Ja potrzebuję Cieślika - major już się denerwuje. - Heniu - prosi - nie bagatelizuj, ja tu czuję nienajgorszą aferę. Nie utrudniaj mi życia. Gdybyś był świadkiem tego co ja...

- Już dobrze, nie jęcz. Tylko że Cieślik pojechał w Polskę, nie wiem jak szybko go znajdę.

Bądź na odbiorze...

Pułkownik nie ma zwyczaju lekceważenia nawet najbardziej nierealnych z pozoru żądań swych inspektorów. W pięć minut później służba X, czyli tajna służba milicji, uwija się po mieście zbierając wyczerpujące informacje na temat osób, które interesują majora.

Wydział Techniki i Taktyki Walki z Przystępczością pracuje. Jak w precyzyjnej maszynie obracają się odpowiednie tryby - major niedługo otrzyma swe informacje.

W centrali nadawczo-odbiorczej nad drzwiami kabiny Z. płonie czerwone światełko. Mimo że dźwiękochłonne chodniki głuszą szmery, pracownicy przechodzą na palcach obok takich drzwi. To znak, że za nimi trwa dyżurny utrzymujący stałą łączność z jakimś odległym punktem w kraju.

Nie może się zdarzyć, aby ludzie po tamtej stronie czekali. Ostre pogotowie za drzwiami kabiny - cicho szemrze taśma magnetofonowa utrwalając rozmowy.

W tym samym czasie wszystkie rozgłośnie Polskiego Radia co dziesięć minut powtarzają wezwanie:

Obywatel Stanisław Cieślik, proszony jest o natychmiastowe skomunikowanie się z zakładem pracy... Obywatel Stanisław Cieślik... Stanisław Cieślik...

Komunikat ten słyszy również major Korosz, gdy przekręca gałkę tranzystorowego odbiornika w wozie technicznym,

Irena P., kierująca wydziałem służby X w zastępstwie porucznika Cieślika, melduje Lisowi:

- Dyrektor Paweł Szeryn sześć dni temu wyjechał do Leśniczówki Wilgajny, położonej trzydzieści pięć kilometrów od Szczytna. Dotychczas nie zjawił się ani w miejscu zamieszkania, ani w zakładach przemysłowych, którymi kieruje. Zielony consul, numer rejestracyjny... znaki szczególne... nie był widziany od tego czasu na terenie Warszawy.

Przez wszystkie linie milicyjnej łączności płynie polecenie do komend wojewódzkich, które z kolei zawiadamiają powiaty i dzielnice miast.

Po kwadransie posterunki milicji odbierają telefonogramy. Patrole służby drogowej znają już treść komunikatu.

- Uwaga, zielony consul, numer... znaki... dowód rejestracyjny na nazwisko Pawła Szeryna, dyrektora kombinatu...

Telefoto powiela odbitki fotografii Szeryna - dalekopisy wystukują jego rysopis razem z opisem samochodu - rozkaz brzmi:

„Zatrzymać pod jakimkolwiek pretekstem i niezwłocznie powiadomić pułkownika Lisa, szefa służby operacyjnej Komendy Głównej Milicji - nie poszukiwać przy pomocy lokalnych rozgłośni radiowych lub dzienników”.

Porucznik Cieślik podpływa kajakiem do brzegu jeziora. Ma dość Mikołajek, Rucianego. Na tym modnym szlaku panuje tłok jak w Warszawie na Nowym Świecie. Nie ma metra powierzchni wolnej od campingu, biwaku albo chociaż samochodu. Wydaje się, że cała Polska umówiła się tu na spotkanie. Drą się na różne głosy wszelkiego rodzaju radioodbiorniki.

- Gdzie mnie zaniósł - myśli ze ilością. - Z takiego wypoczynku to tylko prosto do Tworek. Perski Bazar...

„Obywatel Stanisław Cieślik proszony...” - dociera do niego wołanie z kilku odbiorników. - ... Stanisław Cieślik... - nie, nie ma wątpliwości, że to o niego chodzi.

- Po cholere wylazłem na ten brzeg? - wzbiera w nim wściekłość. - Żeby to usłyszeć?

Narzuca ubranie i wyprowadza i cienia swój motocykl. Goni do pierwszego urzędu pocztowego.

- Perło wschodu, proszę błyskawiczną z Warszawą - uśmiecha się do telefonistki.

- Mówi niezastąpiony Cieślik. Podobno szef żyć beze mnie nie może? - wola do telefonu, gdy po drugiej stronie słyszy bas Lisa.

- To Korosz usycha z tęsknoty za wami, poruczniku - prostuje Lis.

- Gdzie mam się zgłosić? - poważnie porucznik.

Na Simplexie, przy którym niecierpliwi się major Korosz, zapala się światełko kontrolne i odzywa brzęczyk. Zgłasza się Warszawa - mówi Lis.

- Znalazł się Cieślik, gdzie się z nim umawiasz?

Korosz potwierdza odbiór i namyśla się przez chwilę.

- Prędej - pogania Lis, - Czy ty mnie słyszysz, Andrzej? - niepokoi się.

- Na wyspie za pierwszym meandrem jeziora Wilgajny, licząc od południowego wschodu - określa major. - Kiedy on tu będzie?

- Niedługo, jedzie z Rucianego motorem. Uważaj, przekazuję żądane informacje...

W tym czasie Cieślik wypryskuje spod urzędu pocztowego.

V. ZIELONY CONSUL

Granatowo-czarna noc. Nie widać już gwiazd. Poła najgłębszej ciemności, tuż przed świtem. Niebawem niebo pojaśnieje, szara linia oddzieli horyzont i wtedy już szybko narodzi się dzień.

Jezioro jest ciemne i ciche. W zaroślach lekki szelest trzciny.

Od brzegu odbija łódka - miarowy plusk pracujących wiosł.

- Szybciej - cichy szept na kajaku.

Przyspiesza się rytm uderzeń o lustro wody. Cisza, Dwie pary wiosł niezmordowanie tną powierzchnię jeziora.

- Drugi zakręt - liczy szeptem pierwszy głos.

- Prędeż - pogania drugi - bo nam może zwiać.

- Ciszej - upomina pierwszy szept. - Woda niesie głos jak licho. Licz meandry, żebyśmy nie przeoczyli przystani.

- Licz - parska z przekąsem drugi. - Ciemno jak u Murzyna w d... po czarnej kawie... - zapada milczenie, znów tylko plusk wiosł.

- Trzeci meander - wzdycha ten sam głos, który mówił o Murzynie.

Wreszcie majaczy linia brzegu i kajak lekko osiada na piasku. Wyskakują dwie postacie, cichy syk wypuszczanego powietrza, łódka traci kształt, pozostaje płaski placek. Zwinięty składak zostaje wraz z wiosłami starannie ukryty i zamaskowany w gęstej kępie młodych drzewek.

Teraz dwa cienie przemykają stromo wspinającym się do góry lasem, aby przez gęste, czepiające się ubrania poszycie, dotrzeć do wąskiej przecinki.

- Jest - cieczy się lekko zdyszany pierwszy szept. Opodal majaczy kontur samochodu.

- Ciii - nerwowo ostrzega drugi; oba cienie odchodzą w głąb lasu.

- Wytaczamy? - pyta pierwszy, gdy są już w znacznej odległości od przecinki.

- A jeżeli on się nie ruszy? - waha się drugi.

- Ale jeżeli się ruszy, to wtedy już nie zdążymy za chińskiego boga - przekonuje pierwszy.

- Raz kozie łeb ucieli - z desperacją oświadcza drugi.

Znowu ruszają w stronę skarpy, podkradają się pod szopę. Wąski strumień światła z kieszonkowej latarki prześlizguje się po ścianie pełnej szpar. Dłonie obmacują spojenie desek.

- W porządku - latarka gaśnie. - Wystarczy odharatać cztery dechy.

Ostrożnie, żeby nie narobić hałasu, podważają gwoździe, które spajają deski z poprzecznym drewnianym balem. Gwoździe ustępują nadspodziewanie łatwo - drzewo jest spróchniałe, stoczone przez korniki. Wreszcie ustępuje czwarta deska. Rozsuwają je na boki - ściana szopy zije ciemnym otworem.

- Starczy - decyduje pierwszy szept.

- A jeżeli się nie zmieści? - niepokoi się drugi.

- Coś ty, frajer? Gabaryt metr pięćdziesiąt na metr czterdzieści - z przekonaniem syczy pierwszy.

Niedaleko rozlega się głuchy pomruk i ciszę lasu rozdziera głośny psi jazgot. Jednak cienie nie tracą przytomności umysłu. Cichy gwizd i półgłosem rzucone zawołanie:

- Cygan - w tonie brzmi rozpaczliwa prośba.

Ujadanie urywa się, z radosnym skomleniem toczy się pod szopę wielki, kudłaty kształt.

Pac, pac - psi ogon miarowo zamiata igliwie - później jest ciche, smakowite mlaskanie i wielkie psisko najspokojniej siada opodal szopy, obserwując z aprobatą wszystkie poczynania dwóch cieni, które przyczajają się i nasłuchują - cisza.

- Ładnie byśmy wyglądali, żebym przedtem nie zblatował tego kundla. Wytaczamy - zgadza się.

Znikają w szopie - znudzony pies znika wśród drzew. Powoli, opornie wynurza się z otworu maska samochodu.

- O rany, ale ciężka krowa - dyszy drugi.

- Waga nieco ponad tonę - objaśnia równie zdyszany pierwszy. - Byle przez ten cholerny bal... czekaj.

Świecą latarką - znajduje jakieś deseczki, które podkłada pod koła.

- Uważaj - napomina drugi - żeby się zatrzymał przed pochyłością. Bo jak się stoczy, to na pewno wpieprzy się na drzewo.

- Mniej gadaj - syczy pierwszy.

Wreszcie samochód stoi przed szopą. Obie postacie zgrabnie przytwierdzają deski na ich dawne miejsce. Szopa znowu ma względnie całą ścianę.

Oba cienie ładują się do wozu - zgrzyt przekręcanego kluczyka i motor zaczyna pracować.

- Wyje jak traktor - mówi zdławionym głosem drugi. - Wszyscy się obudzą i zaraz wezmą nas za dupę...

- Zamknij się - rozkazuje pierwszy; ale czuje, że serce podeszło mu do garbika i jego uderzenia są głośniejsze od motoru samochodu.

Ruszają pochyłością skarpy ku przecince. Opada pierwsza fala napięcia - wraz z odprężeniem przychodzi jasność oceny; właściwie ten silnik pracuje cicho, z takiej odległości nie powinien obudzić śpiących mieszkańców.

Mijają tamten wóz i maskują swój samochód ze dwieście metrów dalej w gęstych krzakach. Są zmęczeni, mokrzy od potu.

- Wiesz ile to trwało? - pierwszy spogląda na fosforyzującą tarczę zegarka,

- Wiek i oho! - wzdycha drugi, ocierając spoconą twarz.

- Osiemnaście minut.

- Wyłazimy z samochodu - decyduje pierwszy. - Zawsze zdążymy wsiąść. Jeżeli ktoś słyszał i odkryją aferę, to zdążymy prysnąć w las. Nie możemy dać się głupio złapać.

Ale nie mają czasu na wyjście z samochodu. Wyraźnie słychać szum startującego silnika i trzask łamanych pod kołami gałązek - zaraz też przemyka tuż koło nich kontur samochodu.

Znieruchomieli, wstrzymują oddechy. Nasłuchują cichnących odgłosów oddalającej się maszyny. Ogarnia ich ogromne podniecenie, emocja pomieszana ze strachem.

Ostrożnie ruszają wąską przecinką w ślad za tamtym wozem.

- Włącz światła, przynajmniej pozycyjne - przerywa milczenie drugi.

- Później - pochylony nad kierownicą pierwszy wlepia wzrok w ledwo majaczącą przecinkę.

- Zwieje nam, jak będziesz jechał tak wolno - nalega drugi. - Zapal światła.

- Przestań wreszcie gadać - obrusza się ten co prowadzi wóz. - On też jednie bez świateł.

Gdy mijają zakręt, znów widzą tył tamtego samochodu.

Przed Wielbarkiem dojeżdżają do przejazdu kolejowego w momencie gdy oparła szlaban.

Pociągu Jeszcze nie widać.

- Chole... - Rajmund milknie w pół słowa i niemo wskazuje Jackowi widok po drugiej stronie przejazdu. Jakies sto metrów przed nimi patrol milicji drogowej kontroluje interesujący ich wóz - w tej chwili błogosławią zbawczy szlaban, który odgradza ich od tamtych ludzi w szarych mundurach.

- Mięta z bryndzą - odzyskuje mowę pobladły Jacek.

- Co robimy - zastanawia się gorączkowo Rajmund. Rozgląda się: dookoła las i żadnej bocznej drogi, nawet najnędrniejszej przecinki.

- To na nic - przerywa Jacek - gdyby nawet była droga... Ostatecznie można zawrócić...

- Nie możemy zawrócić, nie wybraliśmy się na przejażdżkę kradzionym samochodem - denerwuje się Rajmund.

- ... ale gliny nas na pewno widzą i gdybyśmy zrobili jakąś gwałtowną woltę mogą ścigać - kończy przerwana myśl Jacek.

- Gdzie ten cap trzyma książkę wozu... - złości się Rajmund.

- Jedziemy prosto na nich - mówi z desperacją Jacek. - Z rachunku prawdopodobieństwa wynika, że jeżeli kontrolują tamten wóz, więc...

- Wypinam się na twój rachunek prawdopodobieństwa - parska Rajmund. - A jeżeli to nas szukają?

- Nie sądzę - potrząsa głową Jacek.

- Wszystko jedno, jeżeli nas zatrzymają bez dowodu rejestracyjnego na to pudło, to leżymy.

Pryskamy, Jacek.

Rajmund zjeżdża na pobocze, w pośpiechu opuszczają samochód, zamykają go dokładnie i znikają w lesie.

- Gliny pomyślą, że właściciel poszedł siusiu - pociesza się Jacek.

- Może zechcą kikować, żeby wlepić mandat? Mam ich w dupie - Rajmund wyrzuca z siebie złość i strach.

Przedzierają się wśród gęstego poszycia szerokim lukiem omijając fatalny przejazd.

- Gówno! - konkluduje Jacek. - Nawet jak zdobędziemy jakieś kółka, to wiesz gdzie ON teraz już może być? Zgubił się.

- Z Wielbarka jest tylko jedna sensowna droga - Rajmund nie traci nadziei.

- A jeżeli pojechał niesensowną? A może zatrzymał się w Wielbarku?

- To jeszcze lepiej, jeżeli w Wielbarku, ale nie wydaje mi się, żeby był taki głupi. Facet ryzykuje własny globus.

- Globus jak globus... - wątpi Jacek - ale kilka lat to na pewno. - Ociera strużkę potu ściekającą mu po twarzy.

- Jakby nie było, będę go szukał do uśmiechniętej śmierci - zacina się Rajmund - a jak go dopadnę, to najpierw skuję pysk, tego tobie nie odmówię.

Zzianiani docierają do Wielbarka - senny upalny ranek. Są bardzo zmęczeni; nieprzespana, pełna napięcia noc daje o sobie znać, jednak uparte postanowienie jest silniejsze od zmęczenia i niepowodzeń. Zacinają się w uporze.

Pytają nielicznych przechodniów o interesujący ich samochód - dowiadują się, że owszem, przejeżdżał przez Wielbark, nie dalej jak przed pół godziną,

Wreszcie kończy się miasteczko - znowu są na szosie.

- Żeby chociaż mieć rower - marzy prawie załamany Rajmund.

- Czekaj, przysiadźmy gdzieś. Trzeba zastanowić się co robimy dalej - mobilizuje się Jacek. - Takie wałęsanie się po szosie nie ma sensu.

- Gówno, ogólny kit, chała - podsumowuje Rajmund i ciężko wali się na trawę w cieniu przydrożnych drzew.

- Nie pękać - podtrzymuje na duchu Jacek. - Ale żeby z samego rana gliny kontrolowały szosy...?

- Chłodniej... - wzrusza ramionami zniechęcony Rajmund.

- Iść na milicję? - waha się Jacek.

- To ostateczność - protestuje Rajmund. - Narozrabialiśmy jak pijane zające, a teraz pójdziemy, żeby pozbiali za nas gówno, tak? Mogą zapytać, i to nie będzie pozbawiono logiki, dlaczego nie przyleźliśmy od razu, nie zabierając wozu... nie bawiąc się w detektywów, a przede wszystkim boję się, boję się, żeby nie zaszkodzić... w końcu to nie dziecko, a dorosły człowiek.

Na szosie słycać warkot motoru - chłopcy ożywiają się, wypatrują z nadzieją. Z daleka widać nadjeżdżającą sylwetkę mężczyzny na skuterze.

- „Osa” - z rozczarowaniem objaśnia Jacek.

- Lepsza dupa na „osie” niż osa na dupie - sentencjonalnie stwierdza Rajmund i nagle rozdziera się z całej siły.

- Peelikaan?!!!

Skuter zwalnia i hamuje tuż przed chłopakami - zdziwiony kierowca przez moment przygląda się zakurzonym obszarpańcom.

- Z nieba nam spadasz chłopie! - podbiega do niego Jacek.

Chłopak na skuterze rozpoznaje wreszcie kolegów w tych wymiętych włóczęgach.

- Cześć! Co się wam przytrafiło? Okradli was, czy co? A gdzie Tomek i dziewczyny?

- Pelikan! musisz nam natychmiast dać swoją „osę” - żąda Rajmund.

- Nie na długo, najwyżej do jutra - prosi Jacek.

- Nikt was w dzieciństwie nie kopnął w ciemiączka? - przeciągając sylaby dowiaduje się

Pelikan.

- Złaż z tej kozy - domaga się Rajmund - pogadamy.

Pelikan trochę niechętnie odstawił skuter i idzie i kolegami w cień.

Rajmund krótko wyjaśnia dlaczego żądają od niego takiej przysługi. Chłopak poważnieje, przez moment przygląda im się podejrzliwie.

- Nie robicie mnie w konia?

- Wariat? Jak będziesz za Wielbarkiem możesz obejrzeć eksponat... Szatan, nie wózek. Chyba blacharze go nie zwinęli...

- Rajmund! daj mu kluczyki - wpada na genialny pomysł Jacek. - Jeżeli trumna stoi, to niech Pelikan odturla ją do Wilgajna.

- Wolę się w to nie mieszać - protestuje Pelikan. - Mielicie szczęście z tym pociągiem, ja mogę go mieć mniej. Jakby mnie przyłapali, to mój stary obedrze mnie ze skóry. Nie zna się na żartach - wzdycha markotnie.

- Nie bądź neptek - kruszy jego wątle skrupuły Jacek. - Podejdiesz spokojniutko, wleziesz w krzaki, zafilujesz, czy horyzont czysty i wtedy... Człowieku, trzeba mieć perspektywę i charakter w nogach - Jacek ugruntowuje chwiejną jeszcze decyzję tamtego.

- Dawaj te kluczyki, Rajmund - załamuje się Pelikan. - Wszystko?

- Ile ty masz forsy, Pelikan?

- Jesteście bez dydków? Mam dwie stowy, cały majątek.

- Cholernie mało - martwi się Rajmund.

- Właśnie chciałem gdzieś popracować - wzdycha chłopak - ale jeżeli taka impreza... Macie

czerwońca - podaje banknot Rajmundowi. - A benzyny macie pełen bak, brałem w Wielbarku.

- Duży rośnij - mówi Rajmund. - A teraz nie zwlekaj, tylko wal Pelikan do Wilgajn i zajmij się dziewczynami. One nie mają ani gronia przy duszy, bo zabraliśmy całą kasę. Dzisiaj mają zapłacone w leśniczówce jeden obiad i jedną kolację. Rozumiesz? Anielka tam egzystuje na waleta. Dziewczyny się wygłodzą, ale trzeba je przynajmniej wesprzeć psychicznie.

- Trudno. Będę wspierał - godzi się bez entuzjazmu chłopak. - Długo mam je niańczyć?

- Nie wiemy - Rajmund lokuje się za kierownicą „osy”, Jacek zajmuje miejsce za nim.

- Rajmund, może ja pojedę z tobą, a Jacek niech podpieszcza dziewczyny? - ożywia się

Pelikan.

- Nie - protestuje Jacek. - Skorośmy razem w to wleźli...

Rajmund naciska starter, dalsze słowa Jacka giną w szumie motoru.

Pelikan tkwi na szosie, smętnie wpatrzony w oddalający się swój nowy skuter.

Gdy koledzy nikną już na horyzoncie, z ciężkim westchnieniem przechodzi na drugą stronę szosy i siada w cieniu drzew. Wypatruje samochodu. Wyciąga otrzymane od Rajmunda kluczyki, przygląda się im, podrzuca na dłoni - znowu ciężkie westchnienie podnosi mu pierś. Wreszcie dźwiga się ze skraju szosy i szybkim marszem wraca w stronę Wielbarka.

*

Las, drzewa, woda - gdzie to było, w jakim życiu? - myśli są natrętne, brzęczą jak utrapione owady. Człowiek z udręką, mozolnie zbiera pierzchające wspomnienia, usiłuje ułożyć je w logiczny ciąg. Nie dają się. Osaczają go ze wszystkich stron tylko wtedy, gdy napływają same, gdy nawiedzają go strzępkami, kapryśnymi urywkami; wtedy nakładają się bez jego woli - jedno na drugie, przenikają, splatają, piętrzą w dziwaczne budowle; powstaje barwna łamigłówka jak w kalejdoskopie. Dziwne słowo - myśli człowiek. Co to jest kalejdoskop? Strzępki pamięci podsuwają dziwaczne kolorowe obrazy, żywe barwy czegoś... Nie... była ciemność...

Nic, żadnego horyzontu, tylko bezmiar ciemnej, połyskującej widmowym blaskiem wody. Woda zaczyna falować, czuje to falowanie. Na razie leży na grzbiecie jednej z tych fal, kołysze go łagodnie... przyływ, odpływ... falowanie narasta, jest coraz mocniejsze, coraz szybsze. Przyjemnie jest tak leżeć na delikatnej miękkiej fali, ale po chwili przenika go niepokój, bo już nie wie, czy on istnieje, czy jest tylko częścią tej spiętrzonej wody. Zatraca osobowość, rozplywa się... ginie... pustka.

Człowiek budzi się z niebytu, nie wie, czy były to sekundy, czy minął wiek, ale teraz nie ma wody i fal.

- Wody - prosi szeptem.

I zaraz czuje, że jednak otrzymał coś do picia. O wargi opiera się coś twardego, jakaś siła

unosi mu głowę. Jednak jestem - stwierdza z ulgą.

W ustach czuje zimny płyn o cierpkim, przyjemnym smaku - zachłannie pije.

- To nie jest woda - oznajmia, jak gdyby zwierzał wielką tajemnicę. - Woda jest... - szept zamiera mu na ustach, Nie, to nie dlatego, że mu brak sił, czuje się mocny jak nigdy, bardzo silny, tylko nie chce mu się mówić, nie ma ochoty na żaden najmniejszy nawet ruch - po co? Tak jest dobrze, najlepiej. Zapada się gdzieś, odpywa w tym ciągłym rytmicznym kołysaniu...

*

„Mamo, przyslij mi natychmiast pieniędzy ile tylko możesz - wszystko ci opowiem, jak się sprawa wyjaśni. A, wierz mi, sprawa jest niezmiernie poważna. Ostatnie dwa złote wydaję na ten list... mój adres...”.

Anielka zwilża językiem brzegi koperty i energicznie przyklepuje ją pięścią.

- Chodź, Dorka - pociąga koleżankę. - Poszukamy tego majora, namotam go, żeby nas podwiózł swoją simką. Może się przy tym coś od niego dowiemy?

- Guzik ci powie - potrząsa głową Anielka. - Ale simka, owszem, niezły pomysł... Nie! - wykrzykuje nagle. - Nie, Dorka, lepiej już odwalmy te osiem kilometrów...

- W obie strony szesnaście - Dorota jest rzeczowa.

- ... może się skapować - ciągnie Anielka - że z chłopakami coś nie tego... Niedawno mówiłyśmy mu, że pójdą nabyć jedzenie wieczorem, no to co, listu nie mogą wrzucić? Nielogiczne.

Dorota przyznaje jej rację. Dziewczęta przechodząc koło szopy, widzą kręcących się tam milicjantów z ekipy dochodzeniowej.

- Już wiedzą - błędnie Dorota.

- Przestań się łamać - obrusza się Anielka. - Przewiduję gorsze rzeczy. Chyba nie będziemy pękać Dorota, co?

- Ja nie nawalę, żeby tam nie wiem co - zaklina się Dorota.

Gdy wychodzą na leśną drogę, najpierw dobiega je szum silnika, a później wynurza się maska samochodu. Dziewczęta paraliżuje zgroza. Stoją nieruchome, jakby wrosły w ziemię, tarasują przejazd - nie, nie ulega wątpliwości, kto jedzie tym samochodem.

Zniecierpliwiony kierowca daje długi, triumfalny klakson - Anielka rozpaczliwie macha rękoma. Dorota przykładła dłonie do ust nakazując ciszę. Wóz staje, nie śpiesząc się, nonszalancko wysiada z niego rosły chłopak. Pobrząkuje kluczykami, okręcając je wokół palca.

- Pelikan? - nie może uwierzyć Dorota.

- Czego się zgrywasz, idioto?! - wpada na niego Anielka.

- Ładnie witasz swego opiekana. Zawsze byłaś wyjątkowa jędza - stwierdza bez złości chłopak.

- Pelikan, trzeba wiać i jakoś zamaskować to pudło, gliny właśnie go szukają, są na podwórku, a ty trąbisz - wyjaśnia bezładnie Dorota.

Cała trójka chyżo ładuje się do samochodu. Pelikanowi trochę drżą ręce na kierownicy. Najprzystojniejsza jest Dorota. Wskazuje mu drogę w najgęściejszy las, gdzie ledwo można przejechać. Tratują krzaki jałowca, gałązki tarniny, gną małe wiotkie drzewka. Wreszcie wjeżdżają w taką gęstwinę, że nie można dalej jechać - kilka metrów przed nimi zagrausza drogę ściana starodrzewu.

- Wiejemy. - Pelikan ociera rześisty pot z czoła.

- Może go trochę przykryć? - zastanawia się Dorota. Prostuje gałęzie jarzębiny nad maską wozu.

- Zmywamy się i to żywo - nalega Anielka. - Jeżeli słyszeli ten klakson... że też musiałeś trąbić, fujaro! Chłopaki nie powiedzieli ci, że to „wypożyczona” karetka?

- Wszystko mi powiedzieli - mówi z naciskiem Pelikan.

Biegną lasem, zdyszani docierają do swego obozowiska,

- Aż nie mogę uwierzyć, że jesteś z nami, Pelikan - cieszy się Anielka.

- Z nieba nam spadasz - klepie go po ramieniu Dorota.

- Już to dzisiaj słyszę drugi raz - oznajmia z flegmą chłopak. - Rajmund mi to powiedział na szosie. - Wszystko wiem - powtarza z naciskiem. - Przyrzekłem kolesiom opiekę nad wami. Mam sto złotych - wyrzuca to wszystko jednym tchem.

- Oddychamy - stwierdza z ulgą Dorota. - Dawaj sześć dych, będziemy miały na jutro zapewnioną leśniczówkę.

- Przywykłaś do komfortu? - krzywi się Pelikan. - Za stówę można przebiedować najmniej trzy dni.

- Pelikan, ja muszę być w tej leśniczówce. Tu się stały straszne rzeczy... Chłopaki o tym nie wiedzą, bo wyjechali w nocy.

Obydwie gorączkowo, jedna przez drugą, trochę bezładnie opowiadają mu poranne zdarzenie. Chłopak jest przejęty nie mniej niż one.

- Pelikan, kopnij się do urzędu pocztowego i zanieś ten list - przypomina sobie Anielka. - Matka chyba nie zostawi mnie bez grosza... Chyba, żeby zostawiła, ale wysłać trzeba.

- Gońca sobie znalazłaś? Nieporozumienie, stokrotko. Mam się wami opiekować; o noszeniu korespondencji nie było mowy - prychnął chłopak, ale bierze kopertę.

- A za pozostałe cztery dychy zrób zapas jedzenia dla siebie - poleca Anielka. - Nam musi wystarczyć to, co dostaje Dorota.

- Tak, cały GS nabędę za te horrendalne pieniądze. Rozejrzę się w wiosce, może najmę się chociażby do rąbania drzewa...

- A może nadam do matki depezę, co, Pelikan? Nie powinna kosztować więcej niż dychę, jeżeli będzie oszczędna w słowach. Depesza robi zawsze większe wrażenie niż list... - zastanawia się Anielka.

- Już jeżeli mamy wydać dychę, a może i więcej, na depezę, to adresat musi być pewny. Musimy wiedzieć na mur, że przyśle pożądane fundusze. Nie ma: to tamto... sytuacja jest podbramkowa - namyśla się Pelikan.

- On ma rację, omówmy kandydatów - zgadza się Dorota.

- Moja piękna mama to wielka niewiada - wzdycha Anielka. - Piekelnie nieźrównoważona. Czy widzieliście kiedyś zrównoważony pierwszy sopran opery? Bo ja nie. No, jeżeli jest w dobrym nastroju, a jeszcze wpadła jej jakaś chałtura, to może przysłać i pieniądze, i moc czułości, zaczynających się od „dziecinko kochana”... Ale równie dobrze może przysłać telegram, że rodzice nie są bankiem, że zmuszam ich do pracy ponad siły... Może gdyby śpiewała altem, byłaby bardziej równa, jak myślicie?

- Mój stary nie przyśle - oznajmia z przekonaniem Pelikan. - On dotąd zawsze ma pieniądze, ale również ma niezłomne zasady.

- Dorota nie może... - uprzedza przyjaciółkę Anielka.

- Nie mogę - stwierdza Dorota. - Dostałam więcej niż matka mogła mi dać.

- Koniec kandydatur - blado uśmiecha się Anielka.

- Nie - ożywia się Pelikan. - Jeszcze są starzy Jacka i Rajmunda.

- No oczywiście, ojciec Rajmunda! - na Anielkę splywa olśnienie. - Że też to nam od razu nie przyszło do głowy.

- Pruj, Pelikan na pocztę, tylko szybko wracaj - rozkazuje Dorota.

- Zobaczę, może chwycę jakieś zajęcie, wtedy tak szybko nie wrócę. Masz tę swoją epistołę - zwraca Anielce jej list.

- Nie zajmuj się do niczego, przebiedujemy jakoś zanim nie przyjdą pieniądze.

vA gdyby mnie nie było, co byście robiły? - puszy się Pelikan.

- To samo - ucina Anielka. - Ale skoro jesteś, to nie podkreślaj, że robisz łachę, tylko się włącz.

Pelikan rusza w drogę do najbliższej wsi - dziewczęta w stronę leśniczówki. Najbardziej je interesuje i napawa niepokojem to, czym zajmuje się milicja. Ale w leśniczówce nic się nie dzieje.

Na dziedzińcu stoi młody mężczyzna w szortach i wyrzuconej na wierzch kolorowej koszulce, przez ramię ma przewieszony worek turystyczny. Rozgląda się wokoło niezdecydowany.

- Można tu dostać spanie i wyżerkę? - podchodzi do dziewcząt.

- Można nawet cztery razy dziennie - kiwa głową Anielka. - Za jedyne sześćdziesiąt zetów dziennie.

- Drenaż - opiniuje mężczyzna i znika w drzwiach leśniczówki. Szybko instaluje się w domu. Otrzymuje pokój na poddaszu. Niebawem przechadza się po dziedzińcu.

Zaczyna z przejęciem śpiewać, ale tam śpiewać! Drze się piekielnie głośno, ile sił w płucach, Rozzłoszczona Anielka wychyla się przez okno.

- Koleś, tu nie opera.

- Rozsadza mnie radość życia i ta... tężyzna - informuje niespeszony przybysz i podejmuje śpiew.

- Jeżeli nie przestaniesz wyć, to zawołam milicję. Są niedaleko - grozi Anielka.

Gość milknie - przez dziedziniec przechodzi major Korosz, zdążając do leśniczówki. Nowy gość ulatnia się z podwórka.

Inspektor przez chwilę niecierpliwi się w swoim pokoju - słyszy delikatne skrobnięcie i do wnętrza wsuwa się nowy lokator leśniczówki.

- Major nie rzuca mi się w ramiona? - dziwi się na powitanie.

- Cieślik, gdzie ja się z wami umówiłem? - chmurzy się inspektor.

- Już mi major małżeńskie sceny urządza?

- Gdzie mieliście czekać?

- Komary. Major tam siedział chociaż godzinę? O! - demonstruje czerwone plamy na rękach,

- Widliszki, wyjątkowo jadowite... Jestem zbyt cenny, żeby zginąć jako pokarm dla komarów.

Major nie jest humanistą.

Korosz nie odpowiada. Rzeczywiście nie przyszło mu do głowy, że ta pierwsza wysepka jest bagnista i otoczona chmarami owadów.

- Nie możecie dać się zdekonspirować...

- A kto powiedział, że tylko w tamtym błocie, rąbany przez widliszki będę zakonspirowany?

Niech się major nie martwi, do pańskich salonów więcej nie zajrzę.

Inspektor umawia się i wywiadowcą i Cieślik ulatnia się bezszmerowo. Niebawem spotykają się w bezpiecznym miejscu. Major w najdrobniejszych szczegółach zaznajamia porucznika ze wszystkim, co dotychczas wydarzyło się w leśniczówce. Powstrzymuje się od komentarzy i nie dzieli się swoimi przypuszczeniami.

- Co mówi medycyna, no i ci szarlatani od ekspertyz? - dowiadyuje się Cieślik.

- Stwierdzają, że śmierć tej kobiety mogła nastąpić między godziną dziewiątą wieczorem a trzecią nad ranem. Bardziej precyzyjnie nie udało się ustalić. A więc mamy sześć krytycznych godzin. Wiecie, co się mogło wydarzyć w przeciągu takiego czasu? W szklance z mlekiem stwierdzono bardzo mocne stężenie luminalu. Ustalono, że masa rozpuszczona w tym mleku odpowiada pięćdziesięciu tabletkom specyfiku. W szklance z kawą nie stwierdzono żadnych trujących substancji, to samo w dzbanku, w którym była resztką mleka.

- Jaką ilość tabletek przyjęła? - przerywa Cieślik.

- Minimalną. Trudno ustalić ściśle ilość, ale stwierdzają, że bardzo niewielką, która ewentualnie mogła spowodować sen. Taki rodzaj snu, jaki sprowadza odpowiednia dawka luminalu, zażyta na bezsenność. No, oczywiście u różnych osobników będzie to się różnie kształtowało: wpływ będzie miał stan systemu nerwowego, serce... więc dla jednego taki sen sprowadzi jedna tabletkę, dla kogoś innego półtorej.

- Od takiej dawki nie może umrzeć dorosły człowiek, przeciętnie zdrowy - wtrąca Cieślik.

- Nie może. Toteż ona nie umarła od luminalu. Stwierdzono, że zgon nastąpił na skutek wstrzyknięcia trzech centymetrów sześciennych morfiny o bardzo silnym stężeniu. Na różnych przedmiotach cała masa wyraźnych śladów linii papilarnych. Kilkanaście śladów odcisków palców denatki zidentyfikowano. Reszta dwóch różnych ludzi, nazwijmy ich A i B. Jeden, nikły zamazany ślad kogoś trzeciego, powiedzmy C. Następnie: mała lekarska strzykawka - znaleźliśmy ją na podłodze - z minimalną resztką morfiny na ściankach, o tym samym stężeniu, która spowodowała śmierć. Pilniczek do otwierania fiolek porzucony na stole, szklane wierzchołki od ampułek w popielniczce, a puste ampułki rozkruszone jak gdyby je ktoś rozdeptał, również na podłodze niedaleko fotela, w którym ona siedziała.

- Odciski palców na strzykawce?

- Nie zidentyfikowane - potrząsnął głową major. - Dalej: pokryty rysunkiem karton, obok fotela w takim położeniu jak gdyby wypadł jej z rąk, kawałek węgla, którym rysowała, również leżał na podłodze.

- Co mówi badanie na temat tego węgla?

- Jak zwykle, nie wiecie? - krzywi się major. - „Stwierdza się, że ten rysunek mógł być wykonany tym węglem” - kropka. Ale czas? Czy ten rysunek nakreślony tym węglem powstał właśnie wtedy?... Ten rysunek robi wstrząsające wrażenie. Wygląda jak zapis uciekającego życia... specjaliści twierdzą, że mógł być zrobiony pod wpływem narkotyku... znowu to „mógł”.

- Wiele przemawia za samobójstwem.

- Tak - zgadza się major. - Kobieta - wprowadzcie niewiele ją widywałem, ale znam się trochę na ludziach - raczej nieskłonna do kompromisów, z charakterem, kocha mężczyznę, który nie jest wolny i który przez lata nie proponuje jej nic innego poza luźnym, dwuznacznym związkiem starannie przez niego ukrywanym. Ona godzi się na to nie chcąc zrezygnować... Później zachodzi jakiś fakt, na temat którego mogę tylko bardzo ogólnie spekulować. W konsekwencji tego zdarzenia kobieta usiłuje powrócić do człowieka, z którym się rozwiodła kilka lat temu. Facet mówi jej wręcz, w dość brutalnej formie, że jej nie chce...

- Kobiety są dziwne, ale mniej niekonsekwentne niż my to sobie wmawiamy - zamyśla się Cieślik. - Może rzeczywiście sądziła, że Szerynowi coś zagraża ze strony jej byłego męża. Pracując

w jednym zakładzie mogli sobie nieliczne świnię podkładać.

- Powiedzmy - zgadza się major. - Więc nagłe załamanie może być z różnych względów, albo kilka przyczyn zbiegło się naraz i determinuje takie rozwiązanie. Dotąd wszystko jest w miarę logiczne, ale tylko dotąd...

- Sposób odebrania sobie życia? Niezdecydowany...

- Babka rozpuszcza pięćdziesiąt tabletek luminalu - każdy wie, że taka dawka jest zabójcza - próbuje go i to akurat w takiej ilości, że sprowadzi sen... Następnie dochodzi do wniosku, że niesmaczny? Albo, że może nie być skuteczny - odstawia. Rozmyśla się... Wstrzykuje sobie śmiertelną dawkę morfiny. A przy tym postępuje z niezwykłą pedanterią. Wrzuca ampułki do popielniczki, odkłada pilniczek... ale już strzykawkę ciska byle jak. Rozgniecenie ampułek może być przypadkowe... później bierze karton i rysuje dopóki węgiel nie wypadnie z martwej ręki?

- Taka dawka morfiny uśmierca w przeciągu niewielu minut. Mogą być odchylenia, ale mniej więcej średnia to kilka, no kilkanaście minut - przerywa Cieślik. - Może nasi specjaliści potrafią określić w jakim czasie może powstać taki rysunek? - mówi pół żartem pół serio.

- Niestety - uśmiecha się inspektor - to indywidualne i prawdopodobnie nigdy nie da się ustalić takich norm.

- Ten rysunek mógł być zaczęty znacznie wcześniej, może tylko ta plątanina niepewnych kresek, to jej przedśmiertne dzieło?

- Hipoteza samobójstwa jest prawdopodobna - stwierdza major.

- Nietypowe, dziwne, ale nie można odmówić pewnych cech prawdopodobieństwa...

- Tylko te ślady palców na strzykawce, dlaczego są takie nikłe?

- Ślad mógł się zetrzeć w zetknięciu z dywanem, nie musiał, ale mógł - obstaje Cieślik.

- Chyba... ale to nie pasuje do jej sylwetki psychicznej - podejmuje swoją myśl major - upozorowanie zabójstwa przez samobójcę...

- Medycyna notuje takie przypadki - mruczy Cieślik. - Niewykluczone. Czy można się bardziej zemścić niż zrobić kogoś na własną śmierć. Brr, szczególne hobby, ale bywa... to mogłoby tłumaczyć te prawie teatralne rekwizyty.

- Hipoteza zabójstwa wiąże się również logicznie - podejmuje po chwili major. - Te wszystkie elementy dramatu, kochanek, były mąż, konflikt, dają osłonę, sugerują, że mogła się załamać i sama pozbawić się życia. Kobieta jest zdenerwowana, idzie do siebie - malarstwo to jej pasja. Bierze blok - rysuje, chce się czymś zająć. Właśnie to zajęcie pomaga jej ochłonąć, pomaga przetrwać kryzys. Może miała nawyk, że brała wieczorem luminal?

- Barbituromanka?

- Powiadam - może. Ostatecznie łykanie najróżniejszych proszków jest dość rozpowszechnione. Może stosowała luminal, gdy nie mogła usnąć? Tego wieczoru zażyła dawkę

nasenną, popiła mlekiem lub kawą i usiadła w fotelu czekając aż przyjdzie ochota na sen... zasnęła. Wszedł morderca, zaaplikował jej zastrzyk morfiny, a resztę wraz z tym gęstym od luminalu mlekiem upozorował. Wtedy można świetnie wytłumaczyć dlaczego te ślady na strzykawce są tak niewyraźne.

- Wiedział kiedy wejść, kiedy ona właśnie uśnie? - powątpiewa Cieślik.

- Mógł wejść wcześniej, nawet z nią rozmawiać. Mogła zasnąć przy nim.

- Wobec tego to musiał być ktoś, przy kim mogła czuć się swobodnie. To musiał być ktoś bliski - orzeka Cieślik. - Wychodząc z założenia, że to morderstwo, nasuwa się pytanie, kto zabił? Sprawców zawsze szuka się najpierw w najbliższym otoczeniu; a więc kochanek i były mąż. Później jest długo, długo nic. Następnie jest dziesięciu pensjonariuszy tego domu nie wykluczając mnie. Gospodarze też się liczą, później są młodziaki biwakujące nad Wilgajkami, a wreszcie jakiś inny nieznany sprawca.

- Motywy?

- Co do Jarosa to na siłę jeszcze mogę znaleźć motywy: Magdalena porzuciła go w tym okresie, kiedy najmniej się tego spodziewał, gdy na taką ewentualność nie był w ogóle psychicznie przygotowany. Jej decyzja była dla niego ogromnym wstrząsem... życiową katastrofą...

- To byłoby zrozumiałe, gdyby zabił ją wtedy, po tym jak wrócił z zagranicy. Ale po upływie kilku lat, gdy już się jakoś pozbierał, oswoił i przywykł do nowej sytuacji? Wreszcie kiedy babka - mniejsza z jakich przyczyn - deklaruje chęć powrotu do niego? Nie, majorze, to się nie trzyma kupy.

- Upraszczenie, poruczniku - nie zgadza się major. - Przyczyny w takim układzie są bardzo ważne. No pomyślcie: kobieta, na której wam zależy proponuje, że porzuci mężczyznę, którego kocha i wróci do was, ale pod warunkiem, że nie zrobicie tamtemu krzywdy, bo ma przekonanie - mniejsza czy słuszne - że chcecie zrobić świństwo. Proponuje mu za to rodzaj okupu - siebie. Ale wszystko to dotyczy TAMTEGO a nie was. Co zrobicie?

- Poniekąd przykro... ale żeby aż zabijać? Zresztą to trudno przewidzieć, reakcji będzie tyle, ilu jest ludzi. Fakt, trudno skorzystać z takiej oferty, to prawie jak handel niewolnikami. Ale majorze, tego wypadku nie da się rozpatrzyć w oderwaniu od reszty. To wszystko chyba się jakoś wiąże i dopóki nie złożymy całości, dotąd wszystkie hipotezy będą nam się sypały... Przejdźmy do Szeryna.

- Nie widzę żadnych przyczyn, dla których Szeryn miałby zabijać tę kobietę - zaprzecza major. - A do tego, żeby miał to robić w taki sposób, w takim miejscu i w takich okolicznościach. Nonsens.

- Może amok, rozstrój nerwowy albo mniej niezwykle przyczyny - oponuje Cieślik. - Pamięta major sprawę tych lekarzy? Dwaj przyjaciele od szczeniaka, babka, lewy romans, zazdrość i koleś

kolesiovi ładuje trzy deka ołowiu w plecy bez żadnych skrpułów z dnia na dzień... Du... przepraszam, libido jest silniejsze od dwóch parowozów, majorze.

- Fakty wyglądają tak: facet przyjeżdża z kobietą. Nawet tu zachowuje pozory. To znaczy o tyle, że mają oddzielne pokoje...

- To może być planowane. We wspólnym pokoju trudniej zabić - przerywa Cieślik.

- Wysłuchajcie do końca - niecierpliwi się Korosz. - to nie będziecie pleść trzy po trzy. Nie trzeba być szczególnie domyślnym, żeby zauważyć, że ta para to na pewno nie małżeństwo. Widać, że przyjechali na kilka dni, i że facet zerwał się ze swojego kieratu, odkładając wszystko na bok... że konwencja, w jakiej żyje, pracuje, jego zobowiązania, nie sprzyjają temu związkowi. Ale kierat nie pozwala o sobie zapomnieć...

- Jak się jest dyrektorem poważnych zakładów, to nie można się po prostu wypiąć i „wybyć” w niewiadomym kierunku, chociaż? Też znajdą - wzdycha Cieślik.

- Więc najpierw wpada jak po ogień główny technolog jego zakładów. Szeryn jest wściekły, bo Magdalena pracowała również w tych samych zakładach...

- Wszystko w rodzinie - wtrąca Cieślik.

- Dzień spokoju i przyjeżdża jego zastępca, do tego były mąż Magdaleny.

- Ależ melanz! Czy ludzie muszą żenić się i kochać na terenie swoich zakładów i to jeszcze po kilka razy? Major widział tego byłego męża?

- Nie. Tego dnia byłem w Szczytnie. Gdy wróciłem, on już wyjechał. Ale po drodze, przy pomocy autostopu poznałem miłą czwórkę młodych ludzi, którzy okazali się kolegami Szeryna juniora. No więc facet zdenerwował się już zupełnie tą trzecią wizytą. Tym razem rzecz była o tyle krępująca, że uważa ich za dzieci i za żadną cenę nie chciał, aby zorientowali się w rodzaju jego związków z tą kobietą. Potraktował ich niegrzecznie - z kolei oni poczuli się dotknięci tą nagłą woltą w jego stosunku do nich i pozostali tutaj, aby go drażnić i epatować - są do dzisiaj.

- Sam bym tak zrobił na ich miejscu - zapewnia Cieślik.

- Ale tutaj coś mi nie pasuje. Gdy ich poznałem, oczywiście pogadaliśmy sobie. Bardzo chwalili Szeryna seniora. Młodzi ludzie na ogół w pochwałach są bardzo powściągliwi, a już jeżeli chodzi o starsze pokolenie, szczególnie rodziców... O nim słyszałem same superlatywy. No jednym słowem: równy gość.

- Ale syna z ich towarzystwa wyłuskał?

- Według ich słów, o ile dobrze zrozumiałem, to miał być jakiś nagły wypadek, Szeryn depeszował do syna.

- Nic prostszego, jak pogadać z tą młodzieżą - radzi Cieślik. - Tylko, że nie widzę związku...

- Ja widzę. Tylko na razie nie rozumiem,, na czym ten związek polega. Znow jest jakaś luka, którą trzeba spiąć. Między innymi dlatego was wezwałem. Chcę, abyście się, nimi zajęli,

poruczniku.

- Z przyjemnością - uśmiecha się Cieślik. - Właśnie tu widziałem takie dwie dziewczyny - niczego. Chętnie zajmę się nimi w pierwszej kolejności.

- Dziewczętami też. Tylko uważajcie, to spryciary. Jak im zadałem kłopotliwe pytanie, to mi urządziły koncert szlochów, i to tak szczerze, że w pierwszej chwili dałem się nabrać.

- Eee, bo major wyrósł z młodzieżowego wieku. Ja jestem notoryczny młody człowiek... Nałogowiec. One już mi, mówiły per: koleś, przestań wyć.

- Wracając do Szeryna. Facet znika z samochodem w dniu śmierci kobiety, z którą żyje bardzo blisko. Nie ma - kamień w wodę. Ale zostawia dowód rejestracyjny swego samochodu i wszystkie osobiste przedmioty, łącznie z ubraniem. Pokój nosi wyraźne ślady splądrowania, jak gdyby ktoś w pośpiechu czegoś szukał - jeżeli weźmiecie pod uwagę, że na własne oczy widziałem te dwie dziewczyny wyłazące oknem dzisiaj nad ranem z pokoju Szeryna, to to trochę daje do myślenia. Historia z jeżem jest kłamstwem, przytomnie wymyślonym na doraźny użytek dla faceta, który je zaskoczył.

- Trochę nieprawdopodobne, że to one splądrowały pokój. Czego mogły tam szukać?

- To też zadanie dla was, poruczniku. Muszę wiedzieć, czego one tam szukały.

- Zrobi się, też mi zajęcie. Takie sikory? - mówi lekceważąco.

- Przestańcie się kogucić, bo one mogą was okpić. Ale wracając do rzeczy. W pokoju Szeryna znalazłem część pewnego dokumentu. Ściśle: pomiętą, końcową stronę dokumentacji technologicznej.

- Co na to fachmani od ekspertyzy? Zdążyli już to obwąchać?

- Ich zdaniem jest to podsumowanie zapisu na jakiś rzadki, bardzo specjalistyczny stop metalu, używanego przy produkcji kotłów znajdujących się pod wysokim ciśnieniem rzędu X atmosfer. Zakłady Szeryna zajmują się wytwarzaniem kompleksowych urządzeń, w skład których wchodzi takie kotły, a więc przynajmniej to jest jasne.

- Gdzie jest reszta dokumentu?

- Zniknął razem z Szerynem - wyjaśnia major. - I na ten temat mam wiele pytań. Ale przede wszystkim, kto go zabrał?

- Podejrzewacie te dziewczyny? Dla nich to przecież nie przedstawia wartości. Chociaż mogły ze złości rąbnąć tę dokumentację, żeby się martwił.

- A może z czyjejś inspiracji? - głośno myśli major. - Nie, ta czwórka nie wygląda mi na to, żeby była zdolna do świadomego łajdactwa.

- Mógł ich ktoś umiejętnie napuścić. Zarówno osiemnastoletni mężczyźni, jak i kobiety w tym wieku znają życie raczej ze strony teoretycznej, stąd ich szczerść, ufność i wszelkie inne piękne cechy, które raczej przechodzą wraz z młodością - wzdycha Cieślik.

- W tej chwili najbardziej mnie interesuje, kto jest sprawcą tego bałaganu w pokoju Szeryna. Czy on sam, czy te dwie dziewczyny, czy jakaś osoba trzecia; prawdopodobne, że inżynier Jaros.

- On najbardziej mógł się interesować tą dokumentacją.

- Wykluczam - podejmuje major nurtującą go myśl - aby Szeryn uciekł, do tego własnym samochodem, bo nie posądzam go, żeby w chwili nawet największej paniki zapomniał o książce wozu. Pierwsze pytanie, kto i w jakim celu zabrał jego samochód?

- Mógł przede wszystkim odkryć śmierć Magdaleny i w pierwszym odruchu przerażenia uciec, a ktoś tymczasem splądrował jego pokój i ukraść samochód, być może celowo, żeby skierować podejrzenia na Szeryna.

- Gdyby tak było to już by ochłonął i zwrócił się do milicji. Jeżeli on sam byłby mordercą - ciągnie inspektor - to by nie zniknął w taki głupi sposób.

- Owszem - mówi Cieślik - w jednym wypadku mógłby zniknąć nawet w bardziej niezwykły sposób. Zabił ją i popełnił samobójstwo. Powiedzmy, utopił się w Wilgajnach. Możliwe?

- Mało prawdopodobne - wątpi major. - Morfina i taki zapas luminalu może wystarczyć na dwoje, nie trzeba fatygować się do jeziora.

- Ja nie twierdzę, że tak było, tylko nie wykluczam i takiej możliwości.

Pozostaje jeszcze jedno: Szeryn został zamordowany. Sprawcą obu zabójstw może być ten sam człowiek. Morderca upozorował ucieczkę Szeryna - w takim wypadku podejrzenia padają na Jarosa.

- Tak. Dyrektor i jego zastępca rywalizujący o miejsce w zakładach i jedną kobietę. Przez wiele lat narastają konflikty, pogłębiają się z każdym dniem, podsycane niemal w każdej godzinie wspólnej pracy. Zakłęty krąg jednego, wąskiego środowiska. To swego rodzaju partykularz. Przy pewnych predyspozycjach psychicznych może doprowadzić do obsesyjnej nienawiści i pragnienia zemsty. Wtedy jedynym rozwiązaniem może być morderstwo. Nawet zrozumiałe jest, dlaczego ją zabił w pokoju, a jego gdzieś zwabił. Trzeba szukać Szeryna - mówi i naciskiem major.

- Radzę szukać również Jarosa. - Cieślik jest przezorny.

- Już go szukają od południa. Ale jeżeli on to zrobił, to tutaj się zjawi. Był widziany w ich towarzystwie - nie przewiduję, aby uciekł.

- Kiedy on. stąd wyjechał?

- Nikt nie wie. Albo wczoraj późnym wieczorem, albo dzisiaj bardzo rano.

- Dokąd?

Major wzrusza ramionami.

- Major ma zamiar na niego spokojnie czekać? - Cieślik jest sceptyczny.

- A co? Rozpiszę listy gończe? - złości się inspektor. - Dlatego że mnie i wam się wydaje, że on MOŻE BYĆ zbrodniarzem. Na razie nie ma ani cienia dowodu.

- Jednym słowem - podkreśla Cieślik - kupa domysłów, kilka wątpliwych śladów, jeden trup rzeczywisty, jeden domniemany i koniec? Kiepski kryminał, majorze. Idę poprzyjaźnić się z tymi dziewczętami.

Ustalają między sobą sposób porozumiewania się i major Idzie do wozu technicznego. Dyżurny z olsztyńskiej ekipy informuje go, że kilkakrotnie wywoływał go pułkownik Lis. Major podnosi słuchawkę Simplexu i łączy się z Warszawą.

- Wysłaliście po ten dokument do Olsztyna? - chce wiedzieć inspektor.

- Już go eksperci maglują od godziny - uspokaja Lis. - Właśnie w tej sprawie chciałem z tobą rozmawiać. Zakład Kryminalistyki miał z nim kłopoty. Po prostu nie mają odpowiedniego specjalisty. Musieliśmy znaleźć biegłego. Widzisz, technologia tego rodzaju stopów to bardzo wąska specjalność.

- Haniu, te rewelacje powiedział mi już Olsztyn, więc szkoda...

- Słuchaj do końca, bo sprawa zaczyna mieć posmak afery...

- Niesłychane... - mówi z przekąsem major.

- Otóż nie wdając się w fachowe subtelności, ta dokumentacja to kant. Istnieje pewien rodzaj stopu, w skład którego wchodzi między innymi metale szlachetne. W zakładach Szeryna ten stop jest dość szeroko stosowany i na niego jest opracowana i zatwierdzona technologia, no, szczególnie: normy, proporcje czego i ile. A ten kawałek dokumentu zmienia to wszystko w bardzo chytrenki sposób, oczywiście na niekorzyść jakości stopu. Rozumiesz?

- Tego nie podejrzewałem - szczerze przyznał major. - Jakie w związku z tym masz propozycje?

- Bardzo proste, tylko chciałem wiedzieć, jak ci się tam rozwija?

- Wcale się nie rozwija - wzdycha major. - Na razie nie mam żadnej koncepcji. Ryż na sypko. Za wiele tropów, albo węch mi się popsuł. Ale co chcesz zrobić?

- Spowodować natychmiastową kontrolę tych zakładów. Inspektorzy Najwyższej Izby Kontroli i nasi biegli. Niech szukają śladu tego dokumentu i oczywiście efektów w produkcji, jakie z niego wynikają. Jeżeli dyrektor miał oryginał, to w zakładach, licząc skromnie, musi być przynajmniej jedna kopia. W ogóle należy obiekt przekopać począwszy od ksiąg finansowych, skończywszy na ostatnim wyrobie, który schodzi z taśmy.

- Tą wiadomością do reszty rozłożyłeś moje hipotezy - skarży się major. - Ale na razie wstrzymaj się z tą kontrolą, zrobi się szum. Przedtem trzeba znaleźć Szeryna i jego zastępcę. Umówmy się tak, że na mój sygnał ty błyskawicznie uruchomisz kontrolę. Zgoda?

- Załatwione - mówi Lis. - Słuchaj dalej: Szerynowa jest w Krynicy sama, bez męża. Gdzie jest jego syn, nie możemy ustalić. Jedyna wiadomość, to że kilka dni temu wyjechał z kolegami autostopem w Polskę. Mieli jechać w kierunku Wielbarka. Informacje uzyskano od pomocy

domowej Szerynów. Ci chłopcy i dziewczęta mają dobrą opinię.

- Jakie wiadomości na temat zielonego consula?

- Na razie żadnych.

- To co ta milicja w Polsce robi, Heniu? - zżyma się inspektor.

- Jak to co? Ściga przestępców, używa pałki, pilnuje porządku, przeprowadza staruszki przez jezdnię... - monotonnie wylicza pułkownik. - Jeszcze?

- Dość - błaga major. - Co wobec tego milicja dowiedziała się o Jarosie, Szerynie i plastycze?

- Opinii jest prawie tyle ilu ludzi. Szeryn raz jest kaczyk i kanalia, innym razem tylko karierowicz i dzierzymorda. Plastyczka znowu jest wyrachowana kurwa, robiąca karierę u boku, a raczej w łóżku Szeryna, a innym razem tylko zwyczajna zdzira. Inżynier Jaros podobno miotany żądzą kariery odstąpił żonę dyrektorowi i z tego powodu awansował na jego zastępcę. To znów, że swoje stanowisko zawdzięcza wyrzutom sumienia, jakie miał Szeryn po odebraniu mu żony, z tym, że nie należy przeceniać sumienia Szeryna, którego ponoć ma tylko nędzne resztki. - To są opinie jednej grupy ludzi, znasz ten typ. Powiedziałbym... ekspertów od cudzej, alkowy. Inni twierdzą, że Szeryn miał swoje wady - któż ich nie ma? - lubił szybkie rewelacyjne efekty, bardzo wymagający, surowy, uparty, ze skłonnościami do dyktatorstwa, ale mądry, świetny fachowiec. Na terenie pracy nie kierujący się osobistymi animozjami. Magdalena utalentowana plastyczka, zresztą nie etatowy pracownik zakładów - babka miała kilka wystaw, zagranicznych też. Świetne recenzje - jednym słowem miała coś do powiedzenia w dziedzinie malarstwa, a zapowiadała się jeszcze lepiej. Samodzielna, z charakterem... jedyna jej słabość to Paweł Szeryn.

- A Jaros?

- Uczciwy, skryty, bardzo ambitny, w tym dodatnim sensie. Mocny człowiek, ciężki w stosunkach z ludźmi - doskonały inżynier. Pozostaje trzecia grupa ludzi, która całą trójkę widzi z aureolą nad głowami. Nałogów poza papierosami nie stwierdzono. Normalni ludzie. Czasami kieliszek, albo nieco więcej wódki... O morfinie lub innych narkotykach - głucho. Nawet eksperci od alkowy nie wpadli na taki koncept, żeby któreś i nich uznać za narkomana.

- A jakieś okresowe leczenie? Chroniczne dolegliwości, w związku z którymi lekarze mogli przepisywać recepty na morfinę? - upiera się inspektor.

- Nic z tych rzeczy, Andrzeju. Szeryn jakieś tam początki nerwicy i na tym koniec. Jaros, poza operacją wyrostka robaczkowego dotąd na nic poważniejszego nie cierpiał. Magdalena - lekka psychonerwica. Jak widzisz, to nie są dolegliwości, na które lekarze aplikują narkotyki.

- Znajomości w świecie lekarskim? nie daje za wygraną major.

- Towarzyskich kontaktów i kręgami lekarskimi dotychczas nie stwierdzono. Widzisz, zarówno Jaros, jak i Szeryn, tkwią w bardzo wąskim mikrośrodku inżynierów i do tego

inżynierów o pewnej specjalności. Nie masz pojęcia, jaki to ścisły, hermetycznie zamknięty krąg.

- Jeszcze bardziej niż milicja? - dziwi się major. - W takich kręgach najczęściej wybuchają konflikty - ciągnie dalej. Atmosfera tęchnie. Latami te same twarze, te same problemy, zagęszczenie ambicji, ambicyjek, rzeczywistych lub urojonych krzywd, które urastają do niepojętych rozmiarów. Wreszcie kiedyś to eksploduje, a czasami przeradza się w katastrofę. Takie mikrokosmosiki powinni ludzie wietrzyć, nawet robić przeciągi dla zachowania zdrowia psychicznego.

- No, Magdalena miała bardzo różne otoczenie - plastycy, architekci, dziennikarze, aktorzy, środowiska twórcze. Oprócz tego inżynierski świat Szeryna.

- Twierdzisz, że żadnych możliwości zdobycia morfiny nie mieli? - powraca z uporem major.

- Nie bądź demagog - obrusza się Lis. - Ja mówię, że nie ustaliliśmy. Jasne?

Major opuszcza wóz techniczny i wolno idzie w stronę leśniczówki Szeryna nie ma, Jarosa nie ma, consula nie ma - myśli ze złością. W ogóle nikogo nie ma. Wszystkich szukam... aha, trzeba do kompletu poszukać Szeryna-juniora, przypomina sobie i przyśpiesza kroku.

Dziewczęta są w leśniczówce - przez otwarte okno dobiega niski głos Doroty, śmiech Anielki i znajomy, męski głos.

W pokoju młodych kobiet porucznik Cieślik rozpala żelazko. Stare, przedpotopowe z „kominkiem” - napełnione węglem drzewnym ogrzewa się i nawet prasuje. Ale przedtem trzeba rozdmuchać żar żeby wszystkie węgielki płonęły. Więc Cieślik rzetelnie rozdmuchuje wąty na razie ogieniek.

- Proszę - podaje rozgrzane żelazko Dorocie.

Major stoi w progu i chwilę czeka zanim go zauważą, ale cała trójka jest niesłuchanie zajęta.

- Przydałaby się deska do prasowania - mówi w przestrzeń Dorota.

- To niby znów ja? - chce wiedzieć Cieślik. - Protestuję... jeżeli myślicie, że się dam zużywać, to gruba pomyłka. Po deskę niech idzie Anielka.

Wreszcie major demonstruje swoją obecność i beztrioski nastrój dziewcząt gaśnie. Cieślik rozparł się w fotelu - udaje obrażonego.

- Może jednak pan pójdzie po tę deskę bo chciałem porozmawiać z paniami - proponuje inspektor.

Cieślik chmurzy się, przenosi wymowne spojrzenie z Anielki na Dorotę.

- Podrywaczki - syczy z pogardą. A do majora: Jeśli pan taki gentelman, to niech pan skoczy po deskę, a ja sobie porozmawiam.

Dorota daje rozpaczliwe znaki Cieślikowi za plecami majora - wreszcie porucznik ociągając się, wychodzi.

- Nowy towar? - major wskazuje na drzwi, za którymi zniknął Cieślik.

- A bo co? - mówi zaczepnie Anielka.

- Rotacja - lakonicznie stwierdza major.

Anielka robi się purpurowa z hamowanej złości. Dorota przygryza usta - milczą.

- A co na to Rajmund z Jackiem? - dowiaduje się nietaktownie major, udając, że nie widzi ich wściekłości.

- Ponieważ poszli do wsi - akcentuje Anielka - to nie mogą równocześnie pomagać nam.

Logiczne?

- Jak wrócą - mówi sucho major - to proszę powiedzieć, że chcę z nimi rozmawiać, tym razem jako milicjant.

Dorota gwałtownie blednie. Anielka bardzo źle usiłuje ukryć strach, okrągłymi oczyma wpatruje się w inspektora.

- Co oni panu złego zrobili? - bardzo cicho pyta Dorota.

- Nic. Po prostu chcę z nimi rozmawiać. Interesują mnie pewne szczegóły...

- To przecież my możemy panu powiedzieć - mówi z gotowością Anielka. Jesteśmy od początku razem na autostopie... Wszystko o sobie wiemy.

- Wy macie krępujący, nawet dla milicji, zwyczaj dostawania spazmów i waporów - krzywi się inspektor.

- Niech pan nie wytyka - przymila się Anielka.

- Gdzie biwakowaliście ostatnio?

- Nad jeziorem Rosy Wenedy - spokojnie odpowiada Dorota,

- Jak długo był z wami Tomek Szeryn?

- Dwa dni. Na trzeci otrzymał telegraficzne wezwanie od ojca. Niepokoił się o starego i poszedł. Resztę pan wie, opowiadaliśmy panu gdy nas pan zabrał z szosy. Skandal, jaki nam stary Szeryn urządził, też pan dokładnie słyszał - mówi Dorota wpatrując się w inspektora.

- Co było w tym telegramie?

- No, że go ojciec wzywa - odpowiada Dorota. - Dokładnej treści nie pamiętam.

- Kto by pamiętał dokładny tekst - wzrusza ramionami Anielka.

- Dokąd go wzywał, do jakiej miejscowości?

- Chyba tutaj... - waha się niezdecydowana Dorota.

- Nie, chyba do Warszawy. Przynajmniej ja tak rozumiałam - twierdzi Anielka.

- No więc gdzie, tutaj czy do Warszawy... A może do Krynicy? - major przygląda się dziewczętom.

- Skądże do Krynicy - żywo protestuje Anielka. - W Krynicy jest pani Lucyna - jego matka, a Tomka wzywał ojciec.

- Puściliście go tak samego? - dziwi się inspektor.

- A co on, niemowlak? - oponuje Dorota. - Gdyby mnie wezwano do domu też nie psułabym wakacji kolegom.

- Czy dlatego, że stary Szeryn dostał fioła, to Tomek musiał ciągnąć nas? - udowadnia Anielka.

Z żalną miną zjawia się Cieślik, taszcząc potężną deskę. Dziewczęta traktują go z ostentacyjną serdecznością - na złość majorowi.

Inspektor nie zwraca na to uwagi, zaprzęta go treść telegramu. Z jakiego powodu przerwał mu wakacje? Czyżby te dziewczyny były tak roztrzepane, że nie pamiętają?

Łączy się z Warszawą i prosi Lisa o sprawdzenie czy Szeryn przed swoim wyjazdem wzywał syna telegraficznie.

Sam siada za kierownicą simki i jedzie do wsi, w której jest poczta, sklep GS-u i oczywiście gospoda. Na poczcie jest jeden interesant rosły, opalony chłopak pochylony nad barierką.

Po okratowanym, zakurczonym oknie sennie łążą muchy. Popstrzone plakaty propagujące karmienie dzieci piersią, zwalczanie stonki, oszczędzanie w PKO - smętnie zwisają ze ścian.

Urzędniczka oblicza półgłosem słowa telegramu.

- Jaki jest adres? - pyta nie mogąc odczytać gryzmołów.

Dryblas wymienia adres.

- Co to jest? - dowiadyje się urzędniczka dziobiąc ołówkiem znak na końcu krótkiego zdania.

- „Tatusiu tysiąc złotych szybko” i wykrzyknik - skanduje głośno cały tekst zniecierpliwiony chłopak.

- Musi być wykrzyknik? - ma wątpliwości urzędniczka.

- Musi - z niezłomnym przekonaniem stwierdza chłopak.

- Płatny jak za całe słowo - lodowato stwierdza kobieta.

- Trudno - mówi chłopak tonem człowieka, który nie ma już nic do stracenia.

Wreszcie telegram jest nadany, młody człowiek wychodzi i major może załatwić swoją sprawę. Okazuje znaczek służby kryminalnej i prosi o sprawdzenie czy Szeryn depeszował do syna.

- Ach! Pan jest z Wilgajn - mówi zduszonym z emocji głosem. - Czy to prawda, że ona otruła się przez kochanka? - głośno przetyka ślinę i pożera majora płonącymi oczyma. Widać, że baba pęka od rozsadzającej ją ciekawości.

Major organicznie nic znosi tego typu kobiet,

- Przyczyny są bardziej skandaliczne... - obiecująco wzdycha inspektor.

- Niech pan powie - błaga babus omdlewającym głosem; na samą myśl, że może być jeszcze większy skandal niż posiadanie kochanka, ogarnia ją ekstaza.

- Ale to tajemnica - droży się major. - Chyba, że pani nikomu nie powie? - załamuje się nagle.

- Nikomu - zaklina się. Nie może spokojnie usiedzieć.

- To wszystko przez list - konfidencjonalnie zniża głos major. - Przez list, którego nie mogła wysłać z tutejszej poczty, ponieważ zawsze jest zamknięta - kończy i głuchym westchnieniem.

Babusa zatkało - mieni się przez chwilę na twarzy - major ma poważne obawy, że udusi się własną złością.

- Może będzie pani uprzejma poszukać tej depezy? - słodziutko prosi major.

- Legitymację proszę - szczechnął bab po odzyskaniu głosu.

Major wyciąga legitymację. Urzędniczka opanowuje irytację. To co przeczytała w legitymacji ostudzi jej pragnienie krwawej zemsty. Łudzi się Jeszcze słabą nadzieją, że może dokument nie jest ważny, lub ma jakieś nieprawidłowości - ale i to zawodzi.

Sprawdza w zaciętym milczeniu rejestr telegramów - niezbyt zresztą obszerny.

- Nie, żadnej depezy pan Szeryn nie nadawał - oznajmia prawie z triumfem.

- Jest pani o tym przekonana? - lodowato pyta major.

- Ależ tak. Tu depeze wysyła rzadko kto, miejscowi prawie nigdy. Jeżeli już, to tylko letnicy. A wszystkich letników w okolicy znam z imienia i nazwiska; nawet tych, którzy nie przychodzą do urzędu...

- W to wierzę - nie ma wątpliwości major.

- Więc głowę daję, że ten pan - tu następuje szczegółowy opis powierzchowności Szeryna - ani ta pani - tu opis Magdaleny jeszcze bardziej szczegółowy - nie nadawali żadnej depezy. Nawet żadnego listu nie wysyłali - trzepie babus pokrępowany świadomością o swojej wszechwiedzy.

Gdy Korosz wraca do Wilgajn oczekuje na niego informacja, przekazana przez Lisa.

Obaj Szerynowie, ojciec i syn wyjechali z Warszawy jednego dnia. Z tą różnicą, że syn rano, a ojciec po południu. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że Paweł Szeryn nie wzywał syna depezą z Warszawy.

Następny do poszukiwań? - biedzi się inspektor. - Co się tu dzieje - ludzie znikają nie wiadomo dlaczego i w jakich okolicznościach. Kto tu kłamie? - Czy te dziewczyny wymyśliły depezę na mój użytek, podobnie jak historię z jeżem? Czy Paweł Szeryn... ale w jakim celu?

Nie. Młodzież nie kłamie. Major przypomina sobie scenę na dziedzińcu, kiedy młodzi ludzie pytali o Tomka, Wyraźnie mówili o depezy, a Paweł Szeryn nie zaprzeczył.

Ale nie ma czasu zastanawiać się dalej nad tą nową sprzecznością, która pogłębia chaos całej sprawy. Otrzymuje sygnał od Cieślika - porucznik żąda natychmiastowego spotkania.

- Co, znaleźliście Szeryna, poruczniku, że robicie taki raban? - major jest sceptyczny i trochę zły. Potrzeba mu było trochę spokoju żeby pomyśleć o tej depezy, która znikąd nie była wysłana.

- Nie. Ja tam zawsze zaczynam od skromniejszych rzeczy - porucznik z trudem powstrzymuje śmiech. - Na początek znalazłem jego samochód.

- Jaki samochód? No, czego chcesz Cieślik? - dowiadyuje się major.

Rzeczywiście porucznik już nie panuje nad sobą i śmieje się inspektorowi w nos.

- Samochód dyrektora Pawła Szeryna. Zielony consul - krztusi się wywiadowca.

- Gdzie?

- Tylko niech majora nie trafi szlag - zastrzega się porucznik. - Bo gdzie bym znalazł drugiego tak rozgarniętego szefa? Naprawdę majorze jestem do was niezwykle przywiązany, mimo wszystko. I żeby później nie było na mnie, że jestem taki bystry... No, krew majora nie zaleje? - upewnia się nieufnie wywiadowca.

- Przestańcie błaznować, powiedzcie wreszcie gdzie?

- Nawet niedaleko. Jakies czterdzieści metrów od przecinki. Pięknie ustawiony pod jarzębiną.

W dobrym stanie, nic nie rozbite - kluczyki w stacyjce.

Przez chwilę zaskoczony inspektor milczy.

- Sądźcie poruczniku, że consul po wyprowadzeniu z szopy został schowany pod tę jarzębinę? - major nie okazuje zdziwienia.

- Kiedy on wcale nie jest schowany, po prostu postawiony i koniec.

- Nie wygląda na to, aby był używany do jakiejś dalszej drogi?

Porucznik wzrusza ramionami i bezradnie rozkłada dłonie.

- Tak na oko... - przeciąga sylaby. - Ten samochód nie wygląda na to, że odbył daleką drogę. Zakurzony, na zderzaku trochę żwiru - to wszystko. Gdybym znał poprzedni zapis licznika... - wzdycha Cieślik.

- A gdybym jeszcze znał tego, kto ten wóz wykradł - krzywi się inspektor - to już wszystko byłoby jasne. Na razie sprawa wygląda tak: ktoś wyprowadził wóz z niezamkniętej szopy i żeby było zupełnie prosto, przez tylną ścianę, po oderwaniu spróchniałej deski...

- To uzasadnione, bo na wrota szopy jest jaki taki widok z budynków gospodarczych leśniczówki - wtrąca porucznik.

- ... później gdzieś nim jedzie, to nie jest zupełnie takie pewne, ale jeżeli, to niedaleko, a następnie pozostawia bardzo blisko miejsca, z którego consula wziął - kończy swoją myśl major.

A w tym czasie milicja drogowa całej Polski ugania się za zielonym consulem na zlecenie pułkownika Lisa - z naciskiem wtrąca Cieślik. - Pułkownik mnie zupełnie nie docenia, nie wie, że całą służbę drogową można zastąpić jednym Cieślikiem. Ja jestem wywiadowca gigant, wywiadowca potęgolo, majorze. Major zwierzy się Lisowi jaki jestem bezcenny? - porucznik robi minę człowieka permanentnie niedocenianego.

Inspektor nie zwraca uwagi na kpiny porucznika.

- Wniosek może być taki - głośno myśli major. - Ktoś bez zamiaru kradzieży wypożyczył samochód Szeryna, niewykluczone, że za jego zgodą.

- Major się myli - stwierdza Cieślik. - Gdyby Szeryn wiedział i zgodził się na wypożyczenie samochodu, dalby temu „ktosiowi” dowód rejestracyjny consula.

- Macie rację - przyznaje inspektor. - Samochód został wzięty bez wiedzy i zezwolenia właściciela. Jedno jest pewne, że ten, kto go „wypożyczył” nie miał zamiaru go ukraść i niespecjalnie mu zależało na ukryciu, sądząc po tym, jak go pozostawiono. Czyżby tymi „ktosiami” była ta młodzież? Czuli się bardzo dotknięci zachowaniem Szeryna w stosunku do siebie... Ale takie numery? Rąbnąć samochód, plądrować pokój, prawdopodobnie w poszukiwaniu dowodu rejestracyjnego... Może, dzięki temu, że nie znaleźli dowodu, konsul został tak blisko? A więc to wszystko działo się nad ranem...

- Ta młodzież źle się bawi, majorze... - mówi z wahaniem Cieślik. - Bardzo źle... Znalazłem nie tylko tego consula. Samochodu zresztą nie szukałem, natknąłem się na niego przypadkiem. Też uległem sugestii, że należy go szukać gdzieś w Polsce, a nie w tym lesie... Zgodnie z waszym życzeniem zająłem się tymi dziewczynami...

- Streszczajcie się! - niecierpliwi się inspektor.

- Znalazłem dokumentację tego stopu - wyznaje wreszcie porucznik.

- Gdzie?!!!

- W pokoju Doroty, ukrytą w jej worku turystycznym, zawiniętą w jakieś damskie szmatki, takie więcej desusowate - dokładnie wyjaśnia Cieślik.

- Zabraliście ten dokument?

- Nie - zaprzecza Cieślik. - Nie znalazłem waszego poglądu na ten temat... Uważam, że należy te papiery zostawić u tej sroki i zobaczyć co z nimi zechce zrobić dalej. Dokument utrwałem na mikrofilmie - podaje majorowi aparat fotograficzny, wielkością i kształtem do złudzenia imitujący pudełko zapalek.

- Przewracaliście łaszki tych dziewczyn? - major jest w rozterce. Nie podoba mu się postępowanie Cieślika, a wobec takiego obrotu sprawy, raczej nie może wyrazić swojej dezaprobaty.

- Cieślik znowu zachował się nieetycznie? - mówi i przekąsem wywiadowca, pojmując intencje majora. - Oczywiście major jest subtelny i esteta, i wachacz fiołków... - A Cieślik jest be i świnią, i stosuje takie nieładne sposoby. Tylko że major każe zaprzyjaźnić się z cwanyimi dziewczynami i to natychmiast, a one i owszem, niedługo poproszą mnie o upranie im majtek, ale Boże broń, nie powiedzą nawet, gdzie poszli ich koledzy - zżyma się Cieślik. - Wykład o etyce zrobicie mi w sposobniejszym momencie. Teraz melduję, że sfalszowany dokument Szeryna jest ukryty w osobistych rzeczach koleżanki jego syna i to jest fakt bezsporny.

- Co z tymi kolegami? - major nie chce komentować wybuchu porucznika.

- Nie ma ich. Nie ma ich ani na jeziorze, ani w obozie, ani nie posili do żadnej wsi.

Dziewczyny kłamią jak najęte przed wszystkimi i nie są usposobione do zwierzeń. Zapewniam was.

- W jakim celu? - głośno zastanawia się inspektor.

- Myślenie to wasz monopol - warczy Cieślik - ja jestem od nieetycznych zajęć. Tego... przepraszam, niech się major nie wścieka - reflektuje się wywiadowca. - Aha, zjawił się tu jakiś trzeci młodzieniec... Jak tylko nadciągnął, to zostałem bezceremonialnie splawiony. Wabi się Pelikan - przewisko oczywiście. Poza tym jeszcze taki drobiazg, też w pokoju Doroty... - Cieślik podaje inspektorowi pomięty list Anielki.

- Poważna sprawa, która ma się wyjaśnić? - komentuje major przeczytany tekst.

- I zupełny brak pieniędzy - podpowiada Cieślik.

- Uporządkujmy fakty - mobilizuje się major. - Między godziną dziewiątą a trzecią rano umiera plastyczka, w tym czasie wyjeżdża gdzieś jej były mąż, który nie wiadomo po co odwiedza parę kochanków, w tym samym czasie ginie jej kochanek, ginie jego samochód, w tym samym czasie koleżanki syna dyrektora plądrują pokój tego dyrektora, zabierają sfalszowany dokument, który może być podstawą afery gospodarczej w zakładach produkujących na eksport... Przedtem, w jakimś nieokreślonym, czasie coś się dzieje z synem dyrektora. Koledzy są przekonani, że go odwołał ojciec. Ojciec nie zaprzecza, ale okazuje się, że z całą pewnością po raz ostatni widział syna w dniu, kiedy obaj wyjeżdżali i z całą pewnością nie porozumiewał się z nim później.

- Pod wpływem przyjazdu byłego męża dyrektor nagle zrywa z kochanką. Albo ona z nim - dodaje Cieślik.

- Kobieta ma jakieś niesłychanie mgliste obawy i usiłuje pertraktować z byłym mężem aby ochronić kochankę przed przykrościami ze strony tego człowieka. Jakiej rangi mogły być te przykrości, skoro babka z charakterem, z całą pewnością nie przywiązana do Jarosa, robi mu taką propozycję - uzupełnia major. - Sprawa zaczyna mi wyglądać bardzo ponuro...

- Czyżby Jaros, wykorzystując niechęć młodych ludzi do Szeryna, posłużył się nimi przy kradzieży dokumentu? - biedzi się Cieślik.

- Niewykluczone, chociaż nie bardzo mogę w to uwierzyć - stwierdza major. - Według warszawskich ustaleń, żadne z nich nie znało Jarosa. Biorąc nawet pod uwagę łatwość, z jaką w tym wieku zawiera się nowe znajomości, to nie było okazji, żeby zdążyli się zaprzyjaźnić. Tak wygląda sprawa od strony młodzieży. A teraz Jaros; nie sądzę, żeby był tak lekkomyślny - nawet jeżeli założymy, że zdążył poznać to młode towarzystwo - aby powierzał zdobycie i zachowanie takiego kompromitującego dokumentu mało znanym... dzieciom.

- Nie przesadzajmy z tymi; dziećmi, majorze.

- W każdym, razie nie partnerzy do afer gospodarczych.

- Więc co? Szeryn dał im na przechowanie, albo poprosił dziewczęta, żeby ukradły mu ten dokument? - namyśla się Cieślik.

- Szeryn nie wszedł z nimi w żadne pertraktacje z podobnych przyczyn co i Jaros, a być może miał jeszcze dodatkowe powody... Zajmujcie się w dalszym ciągu tą młodzieżą, poruczniku. Chciałbym wiedzieć, co one zrobią z tym dokumentem!

Major wraca do wozu technicznego. Musi poinformować Lisa o odnalezieniu zielonego consula.

Henio robi chryję - myśli z przykrością major.

Pułkownik akurat jest na odbiorze - ma dla inspektora nowe wiadomości.

- Skierowałem do ciebie patrol milicji drogowej z Wielbarka - mówi pułkownik - który dzisiaj około piątej rano zetknął się z consulem... Znaki rejestracyjne Szeryna...

- Heniu, odwołaj poszukiwania tego wozu, znalazł się - aksamitnie prosi major.

- Gdzie? - chce wiedzieć pułkownik.

- Nawet niedaleko, w lesie - wyznaje major.

- Pięknie działasz, nie powiem - lodowato cedzi pułkownik. - To może Szeryn też ci się zawieruszył na jakiejś polance? Weź to pod uwagę - na tym kończy się reprimenda Lisa.

Zapowiedziany przez pułkownika patrol rzeczywiście zjawia się niebawem. Major bez słowa zabiera z sobą milicjantów i prowadzi ich do szopy, w której na powrót ustawiono już zielonego consula.

- Poznajecie, ten? - pyta lakonicznie.

- Ten sam - przyznają bez wahania milicjanci. - Znaki też się zgadzają - stwierdza sierżant.

Odpowiadają, w jakich okolicznościach zetknęli się z tym samochodem.

- Porządnie postawiony i pozamykany. Typowy ksiutenwagen... No, wie major, na ksiuty do lasu... - odpowiada sierżant na pytające spojrzenie inspektora. - Sądziłem, że jakaś para wyszła na samotność we dwoje... Nie mam ani obowiązku, ani chęci przeszkadzać... - tłumaczy się sierżant.

- Skontrolowaliśmy akurat fiata... - pomaga koledze plutonowy. - Przez te upały największy ruch na szosie jest albo bardzo rano, albo wieczorem. Więc mamy zmienione godziny służby...

Wiadomość o poszukiwaniu tego samochodu otrzymaliśmy później.

- Jaki to był fiat? - ożywia się inspektor.

- Sześciuosobowy, najnowszy model, tysiąc trzysta. Cacko nie wózek. Znaki rejestracyjne, zaraz... - sierżant sięga do raportówki i recytuje numer, godzinę kontroli, zerkając do notesu.

- Kto jeszcze był w wozie? - dopytuje się major.

- Ten facet był sam - wyjaśnia sierżant. - Jakiś ogorzały rybak. W wozie miał chyba z pięć wędek i cały rybacki kram. Jeden bambus to nawet wystawał przez okno.

VI. WIECZORNY GOŚĆ

Pelikan rozgrzebuje patykami popiół ogniska.

- Telegram kosztował prawie trzy dychy, za resztę, zjadłem obiad. Od rana nic nie miałem w ustach - usprawiedliwia się chłopak. - Ale i tak jestem głodny jak cholera. Żeby chociaż michę kartofli i zsiadłego mleka - rozmarza się przetykając ślinę.

- Zaraz Dorota nadpłynie z kolacją - pociesza go równie głodna Anielka. - Miała wziąć dużo chleba.

- Phi! Jedna kolacja na troje? Nie mogłyście przynajmniej złapać jakiej ryby? - Pelikan wstaje i myszkuje wśród pustych menażek. Znajduje paczkę sucharów i natychmiast pakuje spory suchar do ust, chrupiąc zapamiętale.

Anielka wyrywa mu napoczętą paczkę.

- Zostaw to natychmiast, głodomorze! - piszczy ze złością.

Pelikanowi udaje się wyrwać z rąk dziewczynie jeszcze jeden kawałek.

- Nie wstyd ci żałować człowiekowi, który na ciebie wydał ostatnie sto złotych? - wypomina z wypchanymi policzkami.

- Idioto! To jest przeznaczone dla naszego gościa, przecież on też musi jeść. Mamy jeszcze tylko trzy jajka dla niego i to wszystko - Anielka jest bliska płaczu. - A teraz będziemy musieli zostawić mu to, co przyniesie Dorota. Figę dostaniesz, a nie kolację.

Pelikan przestaje żuć - patrzy na Anielkę zakłopotany.

- No, czego się wytrzeszczasz? - oburza się dziewczyna,

- Na śmierć zapomniałem, że jest jeszcze jedna morda do michy - mówi ponuro Pelikan.

- Nadchodzi Dorota, niesie menażki i kromki chleba owinięte w serwetkę.

- Pelikan zeżarł suchary! - skarży Anielka.

- Nie dostanie ani kawałka, chleba - lodowato - decyduje Dorota. - Coś ty najlepszego zrobił? - pyta rozżalona.

- Przestańcie lamentować - wykrzywia się chłopak. - W ogóle to wszyscy jesteście zwariowane towarzystwo, a przy was jeszcze ja zarobię po dupie. Wpadniecie ani chybi...

- To odpierwiastkuj się koleś i chroń swój zadek - prychna Anielka. - Nikt cię tu nie prosił.

- A kto mi się rzucał na szyję i szczebiotał: Pelikanku, Pelikanku... - przedrzeźnia chłopak.

- Spokój, do jasnej cholery! - krzyczy rozdrażniona Dorota. - Anielka, przestań labidzić, a ty nie powinienesz zjadać ostatniego jedzenia. Opiekun od siedmiu boleści.

Milkną na chwilę - Anielka zastanawia się, czy ma się obrazić na Pelikana. Dorota wtyka im do rąk po kromce chleba.

- Ostatecznie nic się nie stało - perswaduje Dorota. - Mamy jajka i resztę sucharów, a gościowi damy naszą kolację. Jutro na pewno przyjdzie przekaz na pieniądze...

Pelikan odpycha jej dłoń z chlebem.

- Już się nadał? - łagodzi dziewczyna. - Nie obrażaj się na chleb. Mój brat ma takie zwyczaje, ale on ma dziesięć lat. No, Pelikan, nie bądź primadonna.

- Kto tu się poza Anielką obraża? - broni się chłopak. - Schowaj ten chleb, przyda się później. Teraz trzeba pomyśleć, żeby zarobić.

- Idziesz się najać do pracy? - nie wierzy Anielka.

- Próbowałem tam we wsi - mruży niechętnie chłopak. - Nikt nie chciał nawet słuchać.

Widocznie nie wyglądam, na takiego, co potrafi pracować. Czy ja zresztą wiem? Nikt nie miał dla mnie zajęcia i koniec.

- Co chcesz zrobić. Pelikan? - zapytała Dorota.

- Coś taka niedomyślna, stokrotko?

- Siódme nie kradnij - protestuje Dorota. - Wystarczy już tego, cośmy dotychczas zdziałali...

Jutro na pewno stary Rajmunda przyśle flotę. Jestem pewna, że nie zostawi nas na lodzie.

Przebiedujemy. Jeszcze nikt nie umarł z głodu przez dwa dni, Pelikan.

- Właśnie, bieda w tym, że to stary Rajmunda - podkreśla chłopak. - Nawet jeżeli te pieniądze przyjdą jutro, to ich nie dostaniemy do ręki, bo odebrać może tylko Rajmund. Kape?

Dziewczętom wydłużają się miny - żadna z nich nie pomyślała o tym wcześniej.

- Nie mamy już ani grosza? - upewnia się Anielka. - Szarpnę pierwszy sopran, może będę miała szczęście.

- Ani dydka - rozwiewa jej nadzieję Rajmund.

- Gość musi dostać jeść - kategorycznie stwierdza Dorota.

- On ma pieniądze - podpowiada Anielka bystro łypiąc czarnymi ślepkami.

- To już lepiej, żeby poszedł Pelikan - decyduje Dorota.

Chłopak ogląda wędki, wybiera mocne wędzisko i kilka metrów grubej żyłki.

- Anielka, przynieś trochę żab - rozkazuje tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Dziewczyna pomrukuje coś niezbyt pochlebnego pod nosem, ale nie ociągając się zbiega nad jezioro. Wraca po chwili i z wyrazem hamowanego wstrętu podaje Pelikanowi plastikową, przezroczystą torebkę, wypchaną żabami.

- Schowaj to do kieszeni - poleca chłopak nawijając na kołowrotek żyłkę. - Będziesz mi podawała po jednej.

- Oszalałeś? - Anielka kurczy się z odrazy. - To takie obrzydliwe! - piszczy żałośnie.

- Anielka musi z tobą iść? - interweniuje Dorota.

- Musi - ucina chłopak. - Ktoś musi odebrać połów i filować na horyzont, nie? Nie mogę mieć równocześnie oczu ze wszystkich stron.

- To zabierz od niej te żaby - mówi spokojnie Dorota - bo inaczej ona będzie do niczego.

- Och, tak, Pelikanku - rozdzierająco prosi Anielka. - One się tak kręcą w kieszeni... Moje

spodnie są za obcisłe, i żaby mogą się podusić...

Pelikan uwalnia Anielkę od żab - jednego płaza bierze w rękę, resztę upycha w kieszeni.

- Nigdzie się nie ruszaj, Dorota - poleca dziewczynie. - Rozpal ognisko, wykop gdzieś na stronie głęboki dołek i nastaw dużo gorącej wody. Chodź Anielka.

Odchodzi wielkimi krokami w stronę leśniczówki - Anielka posłusznie drepcze za nim. Zataczają duży krąg i z daleka obchodzą zabudowania. Zatrzymują się na skraju lasu. Kilkanaście metrów przed nimi widać kurniki, poidła i całe kurze gospodarstwo leśniczyny - otoczone wysokim płotem z siatki.

Gospodyni zwołuje trzepocący się drób i szerokimi gestami rzuca ziarno. Pelikan nawleka na haczyk okazałą zieloną żabę.

Anielka odwraca głowę, żeby nie widzieć tej operacji - jest okropnie nieszczęśliwa, w tej chwili nienawidzi Pelikana, drobiu i wszystkiego dookoła - dzielnie walczy z ogarniającymi ją mdłościami.

Wreszcie kobieta wychodzi za ogrodzenie zamykając za sobą furtkę. Czarny, kudłaty pies biegnie koło niej w podskokach.

- Uważaj, Anielka - przypomina Pelikan.

Chłopak wybiega zza osłony drzew i z zacięciem rasowego miotacza ciska przynętę przez krawędź ogrodzenia.

Pac! - wielka żaba ląduje w sam środek większego zgromadzenia kaczek.

Z przerażonym kwakaniem ptaki niezdarnie pierzchają, kolebiąc się na krótkich łapach.

Pelikan rozwija żyłkę i chowa znowu między drzewami.

Żaba tymczasem leży na dziedzińcu i zaczyna budzić zainteresowanie łakomych ptaków. Podniecone kwaczą głośno i przekrzywając łby, wolno zbliżają się do znaleziska. Wreszcie jakaś duża kaczka zdobywa się na odwagę, wyprzedza stado i podbiega blisko. Uderza dziobem na próbę. Stwierdza, że to jadalny i nie najgorszy kąsek - łączywie chwytą łup. W tej chwili ośmielona reszta kaczek, rzuca się ku towarzysze. Wielka kaczka widzi co się święci i zachłannie połyka żabę, gdy nagle jakaś siła wyrywa ją ze stada i ciągnie w stronę ogrodzenia.

Pelikan nawija żyłkę, holuje omdlałą ze strachu kaczkę aż pod sam płot. Wreszcie ptak rozpaczliwie bijąc skrzydłami zawisa na krawędzi siatki. Kaczki podniosły niemiłosierny wrzask.

- Goń Anielka i zabierz ptaka - rozkazuje Pelikan. - Nie mogę jej ciągnąć przez płot, żyłka może nie wytrzymać.

Dziewczyna zagryza wargi i kilkoma susami dopada siatki, wspina się po niej ze zręcznością kota i za chwilę, zdyszana, z trzepoczącą kaczką pod pachą, potyka się na jakimś korzeniu i rozciąga jak długa na krzaku jałowca.

Pelikan unieszkodliwia kaczki i podnosi podrapaną Anielkę - pociąga ją za osłonę drzew.

Najwyższy czas. Do ogrodzenia zbliża się leśniczyna zaniepokojona widocznym zamieszaniem, jakie robią kaczki.

- Jeżeli ona policzy te zwierzęta - szepce przerażona Anielka. - Chodźmy już, Pelikan - prosi.

- Ja i tak dzisiaj nic nie będę mogła przelknąć - wstrząsa się z obrzydzenia.

- Musi być jeszcze jedna - upiera się Pelikan. - Więcej na taki numer nie pójde. A przynajmniej do jutra muszę zapewnić koryto dla czterech osób.

- Jeszcze w tyciu nic nie ukradłam - skarży się Anielka.

- A ty myślisz, że ja stale utrzymuję się z kradzieży drobiu? - mruczy Pelikan ponury jak gradowa chmura.

Chłopak czeka aż odejdzie gospodyni i znowu powtarza operację. Na żabę połakomił się okazały kaczor, połyskując pysznym granatowo-zielonym upierzeniem.

Tym razem - oceniając jej nastrój - Pelikan nie wysłał Anielki po zdobycz. Ściąga kaczora z płotu sam. Wpycha oba ptaki pod bluzę, wyrzuca z kieszeni resztę niepotrzebnych żab i pociąga dziewczynę w las - ściga ich znowu rwetes podniesiony przez kaczki.

Anielka nieco przychodzi do siebie.

- Idziemy po kartofle - decyduje Pelikan; to zarządzenie znowu przygnębia dziewczynę.

- Wracajmy do obozu - prosi z rozpaczą.

- Zamknij się, fiołku parmeński - syczy zdenerwowany Pelikan. - Trzeba było w ogóle nie brać udziału w tej całej imprezie i wyperswadować chłopakom. A teraz nie kapryś... Te kartofle już nam, nie pomogą i nie zaszkodzą na opinii, jeżeli dobiorą się do całej afery.

Po drodze na polance zasadzonej kartoflami wyrrywają w środka kartofliska kilka krzaków. Ziemniaki są jeszcze małe, jak włoskie orzechy. Pelikan napycha kieszenie.

W obozie panuje idealny spokój. Dorota pochylona nad płonącym ogniskiem dorzuca do niego gałęzie. Ogień z sykiem ogarnia suche drewnienka, strzela w górę chybotliwym płomieniem.

- Jak to dobrze, że już jesteście - wzdycha z ulgą, gdy Pelikan z Anielką wychodzą z cienia drzew.

Anielka rozluźnia pasek i różowawe kartofle sypią się i głuchym łoskotem wokół jej nóg.

- Pozbieraj to natychmiast - złości się Pelikan. - Tego nikt nie ma prawa zobaczyć.

- Przykra jest egzystencja złodzieja - wykrzywia się Anielka, ale posłusznie zbiera ziemniaki.

- Przestańcie robić grób rodzinny na szesnaście osób i dwie kaczki - apeluje Pelikan, gdy nieco przyszedł do siebie. - Jacek z Rajmundem załatwiają poważniejsze rzeczy... No, dziewczyny, mówcie coś, nie mogę wytrzymać w takiej atmosferze - skarży się chłopak.

- Ostatecznie - namyśla się Anielka - jak tylko dostaniemy, pieniądze to się kupi takie dwa ptaki i odda.

Kociołek szemrze nad ogniskiem ze smolnych, trzaskających gałęzi. Spod pokrywki

rozchodzi się smakowity zapach.

- Niedawno wydawało mi się, że już w życiu nic nie wezmę do ust - ze zdziwieniem stwierdza Pelikan i głośno przetyka ślinę.

Dorota rozdziela prowiant przyniesiony z leśniczówki na trzy sprawiedliwe porcje i podaje kolegom.

- Turla się nasz nowy znajomy - zawiadamia Anielka, wskazując w kierunku jeziora.

Od brzegu idzie Cieślik trzymając za skrzela wielkiego okonia. Zbliża się do biwaku - niepewnie przystaje opodal ogniska.

- Ryba - oznajmia i potrząsa okazałym okoniem.

- Piękna sztuka - chwali Pelikan i robi mu miejsce przy ognisku.

- Usmażymy? - Cieślik ciska swą zdobycz na murawę.

- Można - zgadza się Dorota. - Pelikan, oczyść tego zwierza.

- Ale zapachy - Cieślik pociąga nosem z lubością i rozsiada się obok Anielki.

- Kolacja dla kolegów - wyjaśnia dziewczyna. - Pan też dostanie kawałeczek - obiecuje Cieślikowi.

Usmażyli też okonia. Ryba jest soczysta, lekko przesiąknięta zapachem jodłowego dymu. Dorota odkłada dwa kawałki do menażki Zdobycz porucznika wystarcza dla wszystkich i tylko Pelikan z Cieślikiem zjadają jeszcze po udku kaczki, właściwie też nie z głodu, ale dlatego, że nie mogą oprzeć się nęcącym zapachom.

Ściemnia się na dobre, a Cieślik nie zdradza ochoty do odejścia. Dorota zastanawia się, jak spławić z biwaku tego miłego, ale kłopotliwego w ich sytuacji chłopaka.

Porucznik orientuje się, że jego towarzystwo z jakichś względów jest bardzo nie na rękę młodym ludziom, ale nie rusza się od dopalającego się ogniska, którego już nikt nie podsyca.

- Idźcie spać dziewczęta - mówi z naciskiem Pelikan. - Dobrze się składa, kolega was odprowadzi... ja nie będę musiał się wlec do tej leśniczówki. Muszę jeszcze założyć wędki - zwraca się do Cieślika tonem wyjaśnienia. - Będzie świeża ryba na śniadanie.

- W tej menażce jest mięso - wskazuje Dorota - tu kartofle, a tu okoń.

- Co, jeszcze masz ochotę dzisiaj to zjeść? - zagaduje Cieślik.

- Zaraz głodni koledzy nadciągną - wyjaśnia ze śmiechem Anielka. - No to chodźmy - pociąga Cieślika za rękę.

Porucznikowi nie pozostaje nic innego, jak odejść z biwaku razem z dziewczętami, mimo że miał zamiar doczekać się powrotu tamtych dwóch chłopaków.

- Może w nocy pojedziemy na ryby? - proponuje Pelikanowi.

- Coś ty, koleś? - Pelikan potężnie ziewa. - Taki zażarty rybolap to ja nie jestem. Ciao! - macha im ręką i przeciągając się, znika w namiocie.

Dziewczęta wracają do leśniczówki osowiale, małowówne. Nie dają się wciągnąć w rozmowę. Porucznik ocenia, że one jednak zbyt demonstracyjnie ziewają, udając nagle zmęczenie i przemożną senność.

Gdy niedaleko już domostwa przecinają leśną drogę, Dorota nagle przystaje.

- Chyba fiat? - ożywia się niespodziewanie. Podniecona przebiega kilkanaście metrów dzielących ich od majaczącego konturu samochodu. Anielka też porzuca Cieślika i pędem podąża za przyjaciółką - zaciekawiony porucznik przyspiesza kroku.

Ogląda fiata i od niechcienia rzuca strumień światła z kieszonkowej latarki na znaki rejestracyjne wozu. Nie ma już wątpliwości do kogo należy ten stojący pośród lasu samochód.

- Przyjechał ktoś znajomy? - pyta bez większego zainteresowania.

- Nie... ładny wózek - bąka Dorota odciągając ich od samochodu.

- Uwielbiam piękne automobile - zwierza się Anielka, akcentując ostatnie słowo. - Jutro postaram się poznać właściciela... Mam chęć przejechać się tym fiatem.

- Idziemy spać - ziewa Dorota, przypominając sobie, że obie są niesłychanie zmęczone.

*

Zza skarpy idzie mężczyzna, szybko przecinając na ukos dziedziniec zbliża się do leśniczówki. Major cofa się w głąb werandy. Przez otwarte okno jadalni dobiega brzęk naczyń i szmer głosów. Pensjonariusze jedzą kolację.

Inspektorowi jest bardzo na rękę, że ten zbliżający się człowiek przyjechał w porze posiłku - przed domem jest pusto.

A może on celowo wybrał ten czas? - zastanawia się major. - Stara się mieć jak najmniej świadków.

Mężczyzna wbiega po stopniach werandy, mija majora i kieruje kroki do drzwi pokoju Szeryna.

- Inżynier Jaros? - zatrzymuje go major i nie czekając na odpowiedź tamtego: - Pan pozwoli do mnie - szerokim gestem otwiera drzwi.

Tamten zdziwiony waha się przez chwilę.

- Spieszę się... - bąka zdezorientowany. - A w ogóle co pan sobie życzy.

- Służba kryminalna - mówi major.

Reakcja tamtego jest zaskakująca. Blednie gwałtownie wpijając w inspektora czarne źrenice, w których widać strach, usta wykrzywia mu grymas wściekłości - robi ruch zdradzający chęć natychmiastowej ucieczki. Wszystko to trwa moment. Opanowuje się prawie natychmiast, nie znika tylko żółtawa bladość, powlekająca mu twarz.

- Słucham pana - posłusznie wchodzi do pokoju majora.

- Chciałem panu zadać kilka pytań - zwleka inspektor. Prosi inżyniera żeby usiadł - częstuje go papierosem. Wygrywa swoją przewagę nad tamtym przedłużając moment zaskoczenia. Ale Jaros jest już opanowany, przyjmuje papierosa, zaciąga się - wydmuchuje smużkę dymu i bez zniecierpliwienia czeka na pytania.

- Kiedy pan ostatnio widział swoją byłą żonę? - zaczyna inspektor.

- Wczoraj.

- A dokładnie?

- Wczoraj około siódmej po południu rozmawiałem z nią... Ale proszę, mi wyjaśnić przyczyny, dla których to pana interesuje - ton Jarosa jest chłodny.

- W jakim celu przyjechał pan do pani Magdaleny? - Inspektor kładzie nacisk na to imię.

- Po prostu odwiedziłem ich - Jaros ze sztucznym uśmiechem akcentuje „ich”.

- Teraz też pan przyjechał w odwiedziny? - major ostentacyjnie okazuje niedowierzanie.

- Pana to dziwi? - wzrusza ramionami tamten.

- Mnie to bardzo interesuje - wyjaśnia inspektor.

- Zawodowo? - Jaros sili się na ironię.

- Pani Magdalena nie żyje - sucho stwierdza Inspektor.

Jaros w osłupieniu wpatruje się w majora, chwyta powietrze jak do krzyku - zastyga na moment, dłonią wykonuje gest jak gdyby odpychał od siebie jakąś niewidzialną przeszkodę. Wrywa mu się westchnienie ni to rozpaczy, ni to ulgi.

- Pan jest jednym z ostatnich, którzy widzieli ją żywą - nie daje mu ochłonąć major.

- Przecież była zupełnie zdrowa... - w głosie Jarosa słychać szczere zdziwienie. - Wypadek? Ale jaki wypadek? Co może spotkać młodą, zdrową kobietę na takiej głuszy? Utonęła?! - prawie krzyczy.

Inspektor nie odpowiada.

- No, niechże pan powie! - Jaros ledwo panuje nad sobą. - Dlaczego pan mnie dręczy?

Utonęła!!

- Umarła po wstrzyknięciu dużej dozy morfiny.

- Przecież ona nie była narkomanką, nie była morfinistką, to kłamstwo!

- Ja nie powiedziałem, że była morfinistką - wyjaśnia major. - Została otruta dużą dawką morfiny. Otruta.

- Czyżby zabił ją ten przebiegły jezuita? - wrywa się Jarosowi.

- O kim pan mówi? - podchwytuje major.

- Nie, nie - broni się tamten. - Ta wiadomość spadła na mnie tak nagle... Nie jest pan delikatny, nie oszczędza pan ludzi, nie zrobił pan najmniejszego wysiłku, aby mnie; jakoś przygotować... W przeciwieństwie do pana, śmierć nie jest dla mnie zjawiskiem codziennym,

rzemiosłem. Niespodziewana, zaskakująca śmierć bliskich ludzi... - wyrzuca gorączkowo, jednym tchem bezładna zdania.

- Pan kochał swoją żonę? - obcesowo pyta inspektor.

Jaros zaciska szczęki - niecierpliwie wybiera z paczki następnego papierosa - chce się opanować.

- To nie ma nic do rzeczy. Moje wynurzenia w tej mierze nie pomogą panu w schwytaniu mordercy - mówi wreszcie nieswoim, chrypliwym głosem.

- Ocena należy do mnie. Proszę odpowiadać na pytania - żąda major.

- A wybór na co zechcę odpowiedzieć, do mnie - zacina się Jaros.

Major myśli, że obrał złą drogę - powinien uwzględnić cechy tego człowieka. Uwzględnić jego upór, skrytość, szorstkość w sposobie bycia.

- Rozumiem - zaczyna po chwili - że jest panu ciężko. Rozumiem, że pan cierpi...

- Niech pan tylko nie dorysowuje tła - przerywa tamten. - Nie przeczę, był czas, gdy kochałem tę kobietę, ale to było bardzo dawno... Od pięciu lat nie jesteśmy małżeństwem.

- Ach tak, rozumiem - zgadza się inspektor.

- ... nie trzeba zaraz gorącego uczucia, żeby się przejąć tragiczną śmiercią człowieka, którego się znało, z którym przeżyło się kawał życia - wyjaśnia Jaros.

Major odnosi wrażenie, że tamten zbyt gorączkowo go przekonuje - że chce zatrzeć wrażenie, jakie zrobił swoją gwałtowną, rozpaczliwą reakcją na wiadomość o śmierci Magdaleny.

- Przyjaźniliście się państwo?

- Zbyt ściśle określenie - broni się Jaros. - Poza stosunkami zawodowymi, łączyły nas dość luźne kontakty towarzyskie.

- Przyjechał pan do Wilgajn dla podtrzymywania tych luźnych towarzyskich kontaktów?

- Przyjechałem do Szeryna. Nie spodziewałem się, że zastanę tu Magdaleny.

- W jakim celu?

- Bez określonych przyczyn, poza tym, że obaj bardzo lubimy łowić ryby.

- Więc dlaczego nie został pan tutaj? Wilgajny obfitują w ryby.

- Właśnie ze względu na Magdaleny. Wydawało mi się, że moja wizyta speszyła ją.

- Sądzi pan, że dzisiaj wieczorem już by pan jej nie krępował?

- Szeryn umówił się ze mną na dzisiaj. Przywiozłem mu nawet wędki, o które prosił.

- Nie miał własnych?

- Takich, jakie przywiozłem, nie miał.

- Skąd je pan przywiózł?

- Zabrałem ze sobą z Warszawy.

- Dzisiaj był pan w Warszawie?

- Ależ nie. Dzisiaj byłem nad innym jeziorem. Odpoczywałem.

- Od jak dawna ma pan urlop?

- To nie jest urlop. Po prostu kilka dni odpoczynku. Obrona przed upałami.

- O ile się orientuję, jest pan zastępcą Szeryna. Taki równoczesny urlop dyrektora i zastępcy nie koliduje z waszymi obowiązkami?

- Nie jestem jedynym zastępcą - krzywi się Jaros. - Poza tym właśnie jutro mam wracać do Warszawy.

- Gdzie się pan zatrzymał na tych kilka dni odpoczynku? Gdzie spędził pan dzisiejszy dzień?

- Wynająłem pokój w tej leśniczówce.

- Tutaj był pan tylko wczoraj i do tego bardzo krótko. Wyjechał pan albo późnym wieczorem, albo nad ranem...

- Wyjechałem nad ranem, jeszcze była szarówka - koryguje Jaros. - Nie jestem w stanie podać panu godziny, nie sprawdzałem - uprzedza ewentualne pytanie inspektora,

- Chcę wiedzieć, gdzie pan był przez cały wczorajszy i dzisiejszy dzień - mówi major.

- Lubię włóczyć się... Nie miałem stałego miejsca. Przenosiłem się nad różne jeziora.

- W jakich okolicach?

- Wielbarka, Szczytna. Odwiedziłem Ruciane...

- Kiedy pan opuścił Warszawę?

Jaros wymienia datę. Inspektor myśli, że ten człowiek ruszył na odpoczynek równo w dwa dni po wyjeździe z Warszawy obu Szerynów.

- Proszę możliwie dokładnie powiedzieć, nad jakimi jeziorami pan był i umiejscowić to w czasie. Gdzie pan jadał posiłki. Może spotkał pan kogoś znajomego, może jakichś innych ludzi, którzy mogą sobie pana przypomnieć.

- Poza patrolem milicji, dzisiaj rano, nikogo - wyjaśnia Jaros.

- Lubi pan Szeryna? - zmienia temat major.

Inżynier przez chwilę przygląda się Koroszewi z mieszaniną zdziwienia, pobłażania i ironii.

- I tak i nie... - mówi z namysłem. - Ale tego „nie” proszą nie interpretować, jako niechęci do szczęśliwszego rywala, byłby pan w błędzie. W tym czasie, gdy Magdalena nawiązała ten dość pospolity romans z naszym wspólnym szefem, nie interesowała już mnie jako kobieta. Drażnią mnie pewne wady Szeryna, ale ponieważ ma on także wiele zalet, więc raczej lubię go. Poza tym zżyliśmy się ze sobą. Pracujemy w tych samych zakładach i w jednym zawodzie, który obu nas pasjonuje, blisko dziesięć lat... To bardzo wiąże.

- Może pani coś powiedzieć o Szerynie sprzed dziesięciu lat? O jego pracy, życiu?

- Nie znalazłem go wówczas - ucina Jaros.

- Czy zna pan ludzi, którzy mogliby o tym powiedzieć?

- Nie znam - znów ta stanowczość tonu. - Ale najprościej będzie zapytać o to samego Szeryna. Nie sądzę, aby chciał cokolwiek ukrywać w tak dramatycznych okolicznościach... Nie sądzę, aby miał coś do ukrycia - precyzuje po namyśle.

- Oczywiście - zgadza się major. - Tylko że Szeryna nie mogę w tej chwili o nic zapytać i nie wiem jak długo jeszcze nie będę mógł...

- Coś się stało z Pawłem? - ponownie łamie się zachowywany z trudem pozorny spokój Jarosa.

- Gdy się dowiedział o wypadku, ciężko zachorował - kłamie inspektor.

- Gdzie on jest? Chciałbym go zobaczyć!

- Szpital w Olsztynie.

- Co mu jest?

Major myśli, że w pierwszym rzędzie interesuje tego człowieka miejsce, w którym znajduje się Szeryn. A jeżeli Jaros wie, gdzie obecnie przebywa jego dyrektor? To dobrze udaje.

- Nie wiem dokładnie... Ma silną temperaturę - jest nieprzytomny. Lekarze biedzą się nad diagnozą.

Inżynier przygląda się majorowi z głębokim niepokojem. Wydaje się, że walczy ze sobą, aby nie powiedzieć czegoś, co gwałtem, prawie wbrew jego woli ciśnie mu się na usta.

- Paweł ciężko to przeżył - Jaros mówi bardziej do siebie niż do majora.

- Ciężko - potwierdza major. - No cóż, nawet najsilniejszych ludzi potrafi złamać nagłe nieszczęście.

- Chciałem pana prosić o przerwanie tej rozmowy - podejmuje i wahaniem Jaros. - Jestem wstrząśnięty i bardzo źle się czuję... Pragnę odpocząć i przyjść do siebie.

- Proszę bardzo, to nie jest nasza ostatnia rozmowa - zastrzega inspektor. - Proszę sobie przypomnieć dokładnie, gdzie pan bywał przez ostatnie dwa dni.

- Ja nie zabiłem Magdaleny - mówi Jaros. - Nie potrafię wyliczyć się z czasu co do godziny... Nie żyłem z zegarkiem w ręku, nie mogłem przewidzieć takiej sytuacji, przewidzieć nawet w najkoszmarniejszym śnie. Jestem do dyspozycji, reszta należy do pana. Mogę tylko wskazać wszystkie miejsca, gdzie się zatrzymywałem i drogi, którymi jeździłem.

Major już nie nalega. Mężczyźni wychodzą. Na korytarzu panuje mrok. Inspektor bierze naftową lampę zdobną w staroświecką umbrelkę z koralików i oświetla inżynierowi drogę.

Nagle z piekielnym rumorem wytacza się ze schowka blaszane wiadro, a szczotka na długim kiju pada na trzymaną przez majora lampę. Szkło pryska - płomień gaśnie. Rozchodzi się woń nafty, która ścieka majorowi na ubranie.

Jaros niezdecydowanie zatrzymuje się na korytarzu. Nic nie widzi w tej nagłej ciemności.

Uchylają się drzwi, jedne, drugie, z kuchni nadbiega leśniczyna. Major jest wściekły - chwyt

gospodynię za rękę i odpycha ją w kierunku skąd przyszła.

- Co się stało? - pyta naraz kilka wystraszonych głosów.

Z wnęki zawieszanej łowickim pasiakiem, w której jest nagromadzony najróżniejszy gospodarski sprzęt, odzywa się spłoszone kocie: Miauu!

- Koty - mówi- z ulgą leśniczyna. - Czasami tam wchodzą - usprawiedliwia się przed ludźmi stojącymi w uchylonych drzwiach.

Jaros już nie zwraca uwagi na to zamieszanie - zamyka za sobą drzwi, swego pokoju. Major skwapliwie podnosi wiadro, szczotkę i umieszcza ją na powrót we wnęce. Wściekły wymierza na ślepo mściwego kuksańca.

- Miauuu! - jest to najbardziej autentyczny i najpiękniejszy koci wrzask, jaki kiedykolwiek w swoim życiu wydał porucznik Cieślik, kierownik Warszawskiego Wydziału Służby X.

Pensjonariusze znikają we drzwiach swych pokoi.

Inspektor czeka chwilę w korytarzu, uchyla drzwi swego pokoju, zapaloną kieszonkową latarkę pozostawia na stole. Następnie ostrożnie, żeby nie narobić hałasu, zabiera z wnęki blaszane wiadra.

Pociąga za rękaw wrośniętego w ścianę, nieoddychającego Cieślika. Gdy obaj lądują wreszcie w pokoju inspektora, Cieślik przekornie gasi latarkę.

- Niech się major nie wścieka - prosi pojednawczo. Ciasno tam, chciałem zmienić nogę, bo mi zdrętwiała... Więc jak się przewrócił ten cholerny kubeł, to musiałem majora zgasić szczotką... Też pomysły żeby wyłączyć na korytarz ze światłem. Gentlemeneria kiedyś majora zgubi... Że się te letniki pałętają z lampami i czym tylko chcecie - niektórzy mają nagrobne kaganki, inni choinkowe świeczki, tylko jeszcze zimnych ogni nie widziałem... I tak cud, że jeszcze tej chałupy nie sfajczyli... No dobrze, ale oni są obywatele i nie muszą się znać na naszych trudnościach, ale żeby major mi życie obrzydzał?

- Już nie znaleźliście innego miejsca do obserwacji? Ile razy jeszcze będziecie się ratować kocimi miaukotami?

- A gdzie mam siedzieć? Pod klepką od podłogi? - złości się Cieślik. - Jeszcze takich cholernych warunków pracy jak żyję nie miałem. To jedyny zakamarek w całym domu.

- Dziewczyny wróciły do leśniczówki?- domyśla się inspektor.

- A wróciły, wróciły - stwierdza melancholijnie Cieślik. - Kolega Pelikan po długiej wycieczce kajakiem na wyspę kima w obozie, a po kolegach Jacku i Rajmundzie nie ma ani śladu... O ile mnie oko nie myli, to jestem prawie paserem...

- ?

- Na kolację była kradziona kaczka... Zjadłem udko... świetna w smaku. - Cieślik skromnie spuszcza oczy.

- Sprowadziliście fiata? - major taktownie nie chce słuchać o pochodzeniu i losie kaczek.

- Oczywiście, przecież ja zgaduję wasze polecenia drogą telepatii, na odległość. Zawartość: kilka wędek, jeden bambus nawet ciekawy, dwa spinningi i cztery fiołki... - Cieślik robi efektowną pauzę.

- Morfiny? - przerywa podniecony major.

- Co major z tą morfiną? Dlaczego morfiny? - niewidocznie dziwi się Cieślik.

- Poruczniku, nie mam czasu na dowcipy -niecierpliwi się major.

- Evipanu. Cztery fiołki a pięć centymetrów sześciennych każda.

- Evipanu? - powtarza rozczarowany major.

- Co major jakiś taki... mało bystry dzisiaj? Najpierw ta iluminacja na korytarzu, a teraz... No, evipan, chirurgiczny środek nasenny. Narkoza! Tylko że to się daje dożylnie a nie w masce na morduchnę. Przyjemnie się zasypia, a pacjenci jeżeli wyżyją, nie wynoszą urazów do współczesnej medycyny. Proste?

- Wiem co to za środek, przestań trzepać, Cieślik. Tylko w jakim celu on to ze sobą wozi?

- Może handluje? Specyfik niemiecki, przynajmniej w takim języku jest nadruk na etykiecie.

Aha, jeszcze był tam mały sterylizator i strzykawka.

- Ciekawe - zamyśla się major.

- Niezmiernie - zgadza się Cieślik. - Major jeszcze coś życzy? Bo ja muszę na swoje kocie stanowisko. Przywiązałem się do tamtejszych pajęczyn, a szczególnie wzrusza mnie taki jeden pająk - krzyżak. Jeśli rano się nie zamelduję, to znaczy, że ta gadzina pożarła mnie. Twardy zawodnik.

- Może ulokuję się gdzieś w lesie? - major niezdecydowany przygląda się wywiadowcy.

- Niech major idzie spać. Major jest antytalent wywiadowczy. Jestem ja, są chłopaki z olsztyńskiej ekipy, przynajmniej żaden nie zrobi numeru z lampą. Jak się major zacznie kręcić do reszty może nam popsuć nabożeństwo.

Dom jest cichy, gdy wywiadowca lokuje się na powrót w pechowej wnęce. Ale teraz, gdy nie ma wiader, może usiąść możliwie wygodnie. Zaczynają powoli ciec monotonne minuty, żywego z natury Cieślika - męczy bezruch.

Cieślikowi przychodzi na myśl, że znacznie wygodniej i bezpieczniej można byłoby dyżurować w pustym pokoju Szeryna. Waha się chwilę, rozważa wszystkie argumenty za i przeciw i bezszelestnie zmienia swoje locum.

Pokój wydaje się szczytem komfortu po godzinach spędzonych beczynnym w ciasnej wnęce. Porucznik z westchnieniem ulgi wyciąga się w fotelu, rozprostowując zdrętwiałe nogi.

Zapala papierosa i rozkoszuje się przez chwilę względną swobodą.

Księżyc przesuwają się powoli. Błada widmowa smuga ogarnia teraz miejsce, w którym siedzi

wywiadowca. Zdegustowany Cieślik przenosi się na sąsiedni fotel.

Z jeziora niesie się stonowany lasem, delikatny głos żabiego chóru. W przerwach grają świerszcze - cisza.

Ledwo dosłyszalny, ostrożny skrzyp drzwi gdzieś na korytarzu. I znowu cisza przepleciona staccatem rechotu żaby-solistki. Na korytarzu lekki, prawie niedosłyszalny szelest. Odgłos ten tłumii przeciągły, chóralny odzew żabiego koncertu. Znowu szelest, tym razem bliższy.

Cieślik wyteża słuch, klnąc żabie zgromadzenie, które nagle zaczęło przeszkadzać.

Ulotny szmer powtarza się znowu - zamiera, aby po chwili na-powrót zmać ciszę. Wydaje się, że są to ostrożne, czające się kroki. Po miękkim chodniku korytarza ktoś stawia stopę - nasłuchuje - aby za moment zrobić następny krok.

Po chwili porucznik nie ma już wątpliwości, że ktoś bardzo cicho skrada się na korytarzu i, sądząc z kierunku narastających szmerów, w stronę pokoju Szeryna.

Cieślik podnosi się z fotela - przypomina sobie usytuowanie pokoi. Tak, pokój, w którym teraz rezyduje, jest na końcu. Dalej nie ma już drzwi.

Szmary urywają się. Porucznik wyczuwa czyjaś obecność pod drzwiami. Słyszy wstrzymywany oddech, odczuwa napięcie, w jakim ktoś, kto stoi za tą cienką przegrodą, za chwilę odważy się ująć klamkę.

Wywiadowca przeżywa moment paniki - w spętanych galopie biegną myśli. Z desperacją ogląda się za jakąś kryjówką.

Dać dyla oknem? - Rumor jak diabli, obudzę cały dom. Szafa? - pewnie skrzypi. A jeżeli ten zza drzwi przyszedł, aby w niej czegoś szukać - nie będę miał odwrotu. Pudło tapczanu? - to samo co szafa. Można odłączyć sprężyny, ale na, to trzeba czasu, poza tym hałas plus bety, w których można się udusić.

Porucznik nie ma wyboru ani czasu do namysłu - jednym kocim, bezszelestnym susem ląduje pod stołem.

Błyszcząca mosiężna klamka delikatnie się porusza.

Cieślik ma jeszcze tylko tyle czasu, aby obciągnąć nieco i zahamować falowanie frędzli serwety, która obfitymi fałdami otacza solidny, dębowy stół do połowy jego wysokości.

Skurczony porucznik przywarł do masywnej dębowej nogi.

Pod naciskiem niewidocznej dłoni, klamka opada aż do oporu - drzwi bardzo wolno uchylają się, prześlizguje się przez nie jakaś postać. Czyjaś ręka z wielką ostrożnością przymyka drzwi. Ktoś zamiera w bezruchu i stoi chwilę, nasłuchując.

Cieślik wstrzymuje oddech - przez frędzle serwety widzi tylko nogi tamtego.

Zapali jakieś światło czy nie? - hazarduje się wywiadowca. - Jeżeli zapali, to przepadłem, chyba że jest niewidomy.

Nie pal, jolopie bo cię będę musiał złapać - perswaduje w duchu tamtemu.

Ale się urządziłem - złości się na siebie Cieślik, trzymając w objęciach stołową nogę. - Tak się wkopać z własnej nieprzymuszonej woli. Wygody ci się zachciało, żalosna kreaturo. Ale będzie zabawa: kierownik służby X znaleziony pod stołem. A przy tym nawalę dochodzenie - męczy się porucznik. - Jeżeli ten typ już tu wlaź, to nie powinien teraz się dowiedzieć, że ma świadka.

Przybysz nie zapalając jednak światła - zaczyna ostrożnie myszkować po pokoju. Najpierw podchodzi do stołu i nachyla się nad nim. Cieślik nie oddycha - stopy tamtego są odległe tylko o kilkanaście centymetrów.

Znad stołu dobiega szelest przewracanych kartek.

Grzebie się w papierach - konstatuje wywiadowca. Ochłonął już nieco z pierwszej paniki i zaczyna rejestrować sposób zachowania się tamtego.

Czegóż, ach czegóż szukasz, serdeńko? - przemawia do niego w myślach. - Co ci się zawieruszyło w cudzym pokoju? A gdyby tak - zastanawia się, żeby się nieco rozerwać, bo tamten ciągle jeszcze szpera na stole - nagle stół ci odjechał, co?

Wykop w kochę - ocenia odległość stóp przybysza, obutych w zamszowe mokasyny - i ekspresowy odjazd stołu w kierunku okna, szybka wolta mebla blatem na „serdeńkę”, cały ten kram łąduje na nim, jaskółka w szybę i już mnie nie ma.

- Nie - reflektuje się wywiadowca - to ostateczność, gdyby mu się zachciało zajrzeć pod ten szacowny mebel, to wtedy realizuję plan jak wyżej.

Porucznik już ochłonął - otrząskany w setkach najróżniejszych dziwnych przeważnie sytuacji, już nieźle się czuje w swojej wątpliwej kryjówce. Gdyby tak jeszcze mógł się rozprostować.

Cieślik przez moment myślał, że będzie musiał jednak zorganizować ucieczkę stołu, gdy tamtemu jakiś przedmiot upadł na podłogę. Porucznik miał szczęście - przedmiot ten upadł w smugę księżycowego światła, tak, że przybysz zauważył i podniósł go od razu.

Wreszcie nocny gość tak samo ostrożnie jak wszedł, zniknął z pokoju. Porucznik jeszcze chwilę odczekał pod stołem, a później z westchnieniem ulgi rozprostował ścierpnięte nogi.

Nasłuchując zdziwił się zachowaniem tamtego na korytarzu. Mężczyzna jakąś odległość przebył z poprzednią ostrożnością, ale później poszedł już normalnie - wywiadowca usłyszał odgłos zamykanych drzwi wejściowych.

Fiuu, czyżbyś kochasiu pragnął „wybyć” w niewiadomym kierunku? I to tak bezczelnie? Zupełnie nie doceniasz przezorności genialnego Korosza, Głupio nawiewasz.

Cieślik przesadza okno i okrążając leśniczówkę obserwuje zabudowania.

Możliwe, że poszedłeś siusiu. Po takich emocjach, to nic dziwnego. No to w takim razie, pardon. Jestem najtaktowniejszym ze wszystkich pracowników służby X, nie przeszkodzę ci, ale jeżeli chwyciłeś ciąg gdzie indziej...

Obserwowana postać jest już na skarpie, Cieślik przemyka się za nią.

Niedobrze - myśli - będą go musieli zgarnąć przy wozie, a Korosz chciał, żeby było zupełnie inaczej. Pan jest wielki teoretyk, panie majorze, a przeważnie przecenia pan inteligencję i zimną krew twoich przeciwników. Oni jak dostają cykorię, to zamiast mózgu robi im się twarożek i proszę, jakie efekty. Facet dodaje jedno głupstwo do drugiego. Zdaje się, panie inżynierze, że pan następny dzionek powita jako podejrzany, z błogosławieństwem, pana prokuratora.

Idący przed nim Jaros oświetla sobie drogę latarką. Cieślik jest oburzony.

Pan jest bezczelny panie inżynierze - myśli zdegustowany. No czy tylko koleś pilnujący fiata nie przysnął sobie? Skoro nie zdekonspirował mnie pod stołem, to ani myślę perswadować temu typowi, że milicja nie lubi, żeby on odjeżdżał.

Zatrzymuje się wśród gęstego poszycia - czeka chwilę, aby tamten bardziej się oddalił i naśladuje głos puchacza. Cisza - a później od przecinki rozlega się podobny zew nocnego ptaka.

Uspokojony wywiadowca skraca sobie drogę i gubi Jarosa z oczu.

W pewnej odległości od fiata Jarosa, wyciągnięty w krzakach leży kapitan z olsztyńskiej ekipy.

- Klient już nadciąga - zawiadamia go Cieślik. - Taktowny jest, jeszcze da nam się dzisiaj przespać.

- Ciszej poruczniku. - Kapitan wskazuje na krzaki po przeciwnej stronie przecinki. - Tam siedzą te dziewczyny.

Cieślik nie może nic dostrzec poza ciemną ścianą starodrzewu.

- Same dziewczyny? - dziwi się.

- Teraz tam siedzi jedna, druga, jakieś dwieście metrów dalej. Autentyczna warta, jak Boga kocham.

- Nie boją się, sikory - nie może uwierzyć wywiadowca. - Umówiły się z nim na spotkanie, czy co? Pewno znowu wylazły przez okno... gówniary.

Rozlega się tupot szybkich kroków, trzeszczą łamane gałązki, na przecinkę wpada Dorota.

- Anielka, wylaż - mówi gorączkowym szeptem. - On zaraz tu przyjdzie.

Drobna figurka Anielki wynurza się spod drzew - podbiega do przyjaciółki.

- Może wypłoszą gościa - ma nadzieję kapitan.

Jeżeli to prawda, to polubię te dziewczyny i jestem gotów darować im, że nam przeszkadzają - rozgrzesza je Cieślik.

- Co one chcą zrobić? - podrywa się zaniepokojony kapitan; Cieślik odruchowo przytrzymuje go za rękę.

Dziewczęta zbliżają się do samochodu. Dorota nachyla się nad maską. W pewnym momencie Anielka przypada do przyjaciółki.

- Dorka, już nie ma innego wyjścia? - kwili ze strachem.

- Rób, co ci każe - syczy Dorota i odpycha koleżankę.

Dorota nachyla się nad oponą, prawie się na niej kładzie i za chwilę słysząc świst uchodzącego powietrza. Drobną Anielką mocije się z tylnym kołem.

- Dorka, nie mogę, może wystarczy odkręcić wentyl?

- Przestań się mazgać - upomina rozgorączkowana Dorota, zabierając się do drugiego koła. - Wentyl nic nie załatwi. Napompuje koło i w porządku. Ciachaj oponę.

Znowu z sykiem uchodzi powietrze - to Anielka pokonała opór twardej opony.

Cieślik czuje coś w rodzaju podziwu dla tych uwijających się w świetle księżyca dwóch smukłych postaci.

- Klasa dziewczyny - zaciera dłonie. - Medalowe. - Chciałby krzyknąć: prędzej, bo was nakryje - rośnie w nim obawa i zniecierpliwienie. Gdyby mógł wyskoczyć z tych krzaków i pomóc zmagającym się przyjaciółkom.

Teraz już obie walczą z ostatnim całym kołem. Anielka ociera pot zalewający jej oczy, gdy nagle jakaś siła brutalnie odrzuca ją od samochodu. Dziewczyna toczy się kawałek i mocno odbija o pień drzewa - oszołomiona leży nieruchomo.

Jaros dopada Dorotę - wpija jej dłonie w ramiona. Dziewczyna ma wrażenie, że za chwilę zgruchocze jej kości. Ale silniejszy jest strach, którym napawa ją pochylona twarz tego człowieka; błada, wykrzywiona grymasem, wygląda widmowo w niesamowitej poświacie księżyca.

- Skąd ja cię znam? - ze wściekłością pyta Jaros. Dziewczyna wydaje mu się znajoma.

Dorota rozpoznaje go natychmiast - mocije się ze swoim przerażeniem, które wiąże jej słowa w krtani.

- Będę krzyczała - grozi wreszcie przerywanym głosem.

- Kto ci to kazał zrobić? Mów! - Jaros zmełł w zębach przekleństwo, nie podnosi jednak głosu.

Ale już Anielka zebrała się spod drzewa, biegnie z odsieczą przyjaciółce. Podkrada się z tyłu do Jarosa i wymierza mu z całej siły kopniaka. Przy rozmachu, jaki wzięła, traci równowagę i rozciąga się na ziemi.

Jaros, nie puszczając Doroty, odwraca się do tego podstępного przeciwnika. Anielka już zdążyła się podnieść - Jaros usiłuje chwycić ją za rękę. Ale dziewczyna jest zwinna jak łasica, robi unik i odbiega na bezpieczną odległość.

- Puść ją natychmiast, morderco! - krzyczy na cały głos. Po twarzy ściekają jej łzy. - Puść ją w tej chwili, bo dźgnę! - kurczowo zaciska w dłoni harcerską finkę, którą przed chwilą puła opony fiata.

Jej ton i postawa wprawiają Jarosa w zakłopotanie. Dziewczyna jest tak wystraszona i

zdeteminowana, że trzeba się, liczyć z tym, że spełni swoją rozpacziwą groźbę.

- Dość tych emocji - wzdycha kapitan. - jeszcze go naprawdę skaleczy...

Cieślik o mało nie wyskoczy ze skóry. Ledwie wytrzymuje. Najchętniej zbiłby Jarosa za to brutalne zachowanie.

Jakbym cię zaprawił... Ja drugi raz biję w trupa - kwili w bezsilnej wściekłości porucznik. - Do kitu z takim zajęciem. Rozsadza go głucha złość na Korosza. - Sadysta katuje dziewczyny a ja...

- Co tłem tu dzieje? - kapitan wkracza na polankę.

„Skatowana” Anielka zręcznie wypuszcza finkę i z niewinną miną przytula się do Doroty. Jaros otacza dziewczynę ramieniem. Wszyscy nabrali wody w usta. Stoją spłoszeni - wyglądają dziwnie.

Anielka ma rozerwane porteczki, Dorota potargane włosy i naddarty kołnierzyk bluzki; ale najdziwaczniej wygląda Jaros: rozchełstana kurtka od piżamy prezentuje nagi tors, spodnie, w których pękła gumka przytrzymuje ręką.

- A co się ma dziać? - przytomnieje Jaros. Udaje mu się wreszcie umiejscowić spodnie, zapala papierosa.

- Spacerujemy sobie - wspiera go natychmiast Anielka.

- Taka piękna noc - rozmarza się Dorota.

Kapitan po' kolei oświetla ich latarką. Wolno przesuwając krąg światła, zatrzymując je nieco dłużej na bardziej kompromitujących szczegółach ich obszarpanych postaci.

- Pan na spacerach po lesie wkłada frak? - kwituje Anielka te oględziny.

- W każdym razie nie piżamę.

- A co to pana obchodzi - wtrąca Jaros.

- Służba kryminalna milicji - przedstawia się kapitan. - Słyszałem tu krzyki, co to wszystko ma-znaczyć?

Zapada solidarne milczenie.

- Nic się nie stało - wyjaśnia pojednawczo Jaros. - Panie zrobiły mi niemądrego psikusa, więc się trochę zdenerwowałem. To wszystko.

Kapitan od niechcenia przesuwając krąg światła po fiacie, który żałośnie siedzi na oklapłych oponach.

- To ten niewinny żart?- Paniutki pójdą natychmiast ze mną.

- Proszę pana- wstawia się Jaros. - Proszę, być wyrozumiałym... Ja osobiście nie wnoszę pretensji.

Kapitan jeszcze raz ogląda fiata - dotyka dłonią ziejącej dziury na rozkrojonej oponie.

- Kilka tysięcy złotych będzie pana kosztował ten dowcip. Mam uznanie dla pańskiej zimnej krwi. Osobiście nie jestem pewien, czy w takiej sytuacji byłbym aż tak opanowany.

Gestem wskazuje dziewczętom drogę przed sobą - w milczeniu posłusznie idą przed kapitanem.

- Panu radziłbym iść spać - dodaje kapitan na odchodnym.

Jaros, niezdecydowany, pozostaje przy okaleczonym samochodzie.

Cieślik tkwi jeszcze jakiś czas na swoim posterunku, zaciekawiony manewrami inżyniera.

Później idzie zameldować o wszystkim Koroszowi.

Inspektor uważnie wysłuchuje relacji wywiadowcy.

- Lekka przesada, poruczniku - krzywi się na wiadomość o pociętych opasach - żeby dwóch oficerów milicji patronowało takim wyczynom...

- Mieliśmy koncepcję, żeby go unieruchomić - broni się Cieślik.

- Ale nie w taki sposób. Dziewczyny mogą mieć przykrości- Pokłiście sprawę. Żebyście nie potrafili zorientować się od razu czy facet rzeczywiście nawiewa. Raczej rzadko się zdarza, by ludzie zmuszeni do tego uciekali w piżamie.

- Czy major chociaż raz w życiu obserwował człowieka spod stołu w nocy, przypuszczając do tego, że za chwilę będzie musiał spuścić mebel gościowi na łeb, a sam wiać przez okno? Co? Ciekaw jestem, czy major zauważyłby coś więcej niż buty.

- Po coście wleźli do tego pokoju?

- Znów musiałbym zacząć od tego: czy major chociaż raz w życiu siedział na kubku w towarzystwie pająka, który ma chęć was napocząć? Beznadziejna dyskusja - wzdycha zrezygnowany. - Niech będzie, że jestem fujara. Ale cieszę się, że trafiłem do tego pokoju, nie żałuję, że siedziałem pod stołem. Wiem przynajmniej, czego facet szukał podejmując takie ryzyko.

- W porządku - inspektor przerywa te wywody. - Więc Anielka obiecała Jarosowi, że potraktuje go finką - przypomina Cieślikowi tok jego relacji. - Jak się zachowywały, gdy kapitan przeszkodził w ewentualnym zamordowaniu inżyniera?

- Nim kapitan wyszedł do nich, zdążyła jeszcze Jarosowi przeciąć gumkę od spodni, zwinna jak diabełek - sumiennie uzupełnia Cieślik.

- Nieistotny szczegół - major powściąga uśmiech.

- Jeszcze jak - nie zgadza się porucznik. - Facet odruchowo łapie się za spodnie, więc jedną rękę na pewno ma zajęta. Strategia, majorze - widać, że Cieślikowi bardzo podobała się Anielka w akcji.

- Dalej, poruczniku.

- Jak się tylko kolega pokazał, to natychmiast blat. Troje obszarpanych niewiniątek. Dozgonni przyjaciele na spacerze.

- Co dalej robił Jaros?

- Zabrał z wozu ewipan i cały ten chirurgiczny kram - wszystko to zakopał w lesie, w znacznej

odległości od samochodu. Pięknie zamaskował mchem i gałęziami. Zaznaczyłem miejsce - w razie potrzeby znajdę. Potem wrócił do siebie.

Inspektor nie może doczekać się poranka. Przed szóstą nie wytrzymuje, idzie do wozu technicznego, zamawia rozmową z Lisem.

- Musisz mnie ściągać tak rano? - ziewa pułkownik.

- Chciałem porozmawiać.

- Też sobie wybrał porę - mruczy Lis. - No to streszczaj się.

- Heniu, chcę wiedzieć, gdzie i kiedy Jaros zaopatrzył się w evipan. Jeżeli się uda, to chciałbym znać dokładną datę - to bardzo ważne. Następnie: czy oprócz głównego technologa w zakładach jest ktoś, kto mógłby samodzielnie opracować taką chytrą dokumentację. Wracając do evipanu, przekaz mi opinię lekarzy, jak ten specyfik działa. Rozumiesz? Jak reaguje organizm. przeciętnie zdrowego, zdrowego! - podkreśla - człowieka - na różne dawki tego narkotyku. Jeszcze jedno, najważniejsze: załatw, żeby Jaros w żaden sposób nie mógł porozumieć się ze swoim zakładem i w ogóle z nikim z Warszawy. Ale to w żaden sposób, to bardzo ważne.

- Tylko takie skromne życzenia? - pokpiwa Lis. - Co z Szerynem?

- Według mojego rozeznania nic mu się złego nie stało.

- Bardzo sobie cenię twoje koncepcje, ale wolałbym znać rzeczywistość - pułkownik jest sceptyczny.

- Ja nie mówię o koncepcji, ale o ROZEZNANIU, jest w tym różnica? - akcentuje major. - Co natomiast możesz mi powiedzieć o młodym Szerynie?

- Nic. Może spróbować wezwać go za pośrednictwem radia?

Major gwałtownie protestuje.

- Taki komunikat zaalarmowałby jego matkę. Tylko mi tu potrzeba do kompletu histeryzującej baby. A w ogóle to muszę zachować środki ostrożności na wypadek gdyby...

- Gdyby co?

- Nie, nic. Muszę sprawdzić kilka faktów.

Później major prosi do siebie Jarosa i żąda od niego wszystkich szczegółów dotyczących dróg, nazw miejscowości, gdzie był od swego wyjazdu z Warszawy aż do wczorajszego przyjazdu do Wilgajn.

Siada nad mapą i czerwonym ołówkiem zaznacza wszystkie podane przez tamtego punkty. Oznaczone punkty po połączeniu liniami dają niesymetryczny pięciobok, z pajęczyną bezładnie krzyżujących się linijek w środku.

Pierwsze spostrzeżenie, jakie narzuca się od razu, to fakt - oczywiście jeżeli można bez zastrzeżeń przyjąć twierdzenie inżyniera - że Jaros jeżeli się zatrzymywał, to w miastach, miasteczkach lub osadach, albo nad jeziorami, nad którymi raczej rzadko można spotkać większe

zgromadzenie turystów. Omijał wsie, leśniczówki i jeziora bardziej uczęszczane.

Druga uwaga to czas. Jeżeli to prawda, że odwiedzał tyle miejscowości w tak krótkim czasie, to właściwie nigdzie nie mógł się zatrzymać, tylko stale, i to z dość dużą średnią szybkością, krążył po drogach.

Trzecia uwaga: wprawdzie może to być przypadkowe, ale facet, rzekomo rozmówany w pięknie mazurskich jezior, zapalony rybak - omijał najpiękniejsze jezioro, pełne ryb, które leżało na trasie jego bezcelowej włóczędzy.

Major odsuwa mapę - długimi krokami przemierza pokój. Układa logiczny ciąg tych oderwanych z pozoru zdarzeń.

Jest dokumentacja, która może stać się zaczątkiem kolosalnej afery. Aby ruszyła produkcja na podstawie tej dokumentacji, musi ją podpisać trzech ludzi: przede wszystkim dyrektor zakładów Paweł Szeryn, jego zastępca - inżynier Adam Jaros i główny technolog, spec od stopów. Następnie - ale to jest już tylko formalność - zatwierdza taki dokument Rada Techniczna. A Rada Techniczna w Zakładach to wiadomo - Szeryn.

Rada nie wnika w skomplikowane szczegóły technologiczne, otrzymuje na porządek dzienny jeszcze jeden dokument, który podpisali odpowiedzialni fachowcy i DYREKTOR.

Ale dyrektor nie podpisuje tego dokumentu. Wyjeżdża nagle na nieplanowany urlop. Niepodobne to do, jego dotychczasowych obyczajów, gdyż znany jest ze swej systematyczności, prawie pedanterii. Dyrektor ma kochankę, kobietę, na której mu zależy. Nawet czterdziestopięcioletni dygnitarz na eksponowanym stanowisku ze skłonnościami do dyktatorstwa i pedanterii, może ulec pokusie spędzenia kilku dni bez skrępowania, z kobietą, która mu się bardzo podoba - to jasne.

Tego samego dnia z paczką przyjaciół wyjeżdża syn dyrektora.

Następnego dnia po zainstalowaniu się dyrektora w leśniczówce, zjawia się w Wilgajnach główny technolog. Po co? Ustalono, że w tym czasie nic takiego nie zdarzyło się w zakładach, co wymagało osobistej interwencji Szeryna. Poza tym, jeżeli kierownik zakładów jest niezbędny na miejscu, to nie praktykuje się na ogół wysyłania po niego odpowiedzialnego pracownika, istnieją telefony, poczta. Wniosek może być jeden. Chodzi o ten dokument. Ściśle o podpis.

Technolog nie uzyskuje podpisu - stąd wizyta Jarosa. Ale Jaros musiał przyjechać dysponując jakimś argumentem, który, jego zdaniem, przekona upartego Szeryna. Dyrektor nie ustępuje, ale zaczyna się bać. Cóż to za argument, którego boi się nawet Paweł Szeryn, człowiek, który nie jest tchórzem? Cóż to za argument, że prosi o pomoc kobietę, z którą żyje, że gotów jest tę kobietę poświęcić, sądząc, że tamtemu na niej jeszcze zależy i że ona ma jeszcze wpływ na swojego byłego męża. Co chce Szeryn uratować, rezygnując z Magdaleny?

Paweł Szeryn nie należy do ludzi, którzy oddają swoją własność bez walki. Szeryn w jakiś

sposób uważał Magdalenę za swoją własność, więcej, za jakąś część swojej. osobowości. Argument musi być druzgocący, jeżeli Szeryn decyduje się na złożenie okupu z tej kobiety. Chciał tym zażegnać jakieś większe zło. A więc to zło musi być bardzo wielkie.

Utrata stanowiska? - z tego, co wiem, nie groziła mu. Jakies tam echa katastrofy z budowy, za którą był odpowiedzialny przed dziesięcioma laty? Przez te dziesięć lat zdobył zbyt mocną pozycję, żeby tamto rzutowało teraz na jego karierę. Poza tym dla takich przyczyn mężczyzna pokroju Pawła Szeryna nie zrezygnuje, i to w tak dwuznaczny sposób, z kobiety, na której mu zależy.

Argument Jarosa musi być niebagatelny. Szeryn namyśla się, a Jaros w tym czasie bezładnie krąży ze znaczną szybkością po mazurskich drogach, unikając ludzi i niektórych jezior.

Dwa dni przedtem Szeryn rzekomo wzywa syna. Chłopiec ginie. Szeryn, który przedtem zaprosił Tomka wraz z kolegami, gdy zjawiają się - zachowuje się brutalnie i prawie ich wypędza. Ale w tym czasie Jaros już użył swego argumentu.

I teraz następują wydarzenia, których ani Szeryn, ani Jaros nie przewidzieli. W ich sprawy wkracza młodzież, przywiązana do swego kolegi - młodego Szeryna. Niepokoją się o Tomka; coś im się nie zgadza, musieli się czegoś dowiedzieć. Kradną ten dokument, który ich zdaniem jest źródłem całego zła. Wykazują przy tym spryt i popełniają kilka rzeczy karygodnych. Jedno jest pewne, że z bardzo dobrych pobudek.

Major przyrzeka sobie, że zrobi wszystko, aby obronić tę młodzież.

Wniosek z tego: Argument Jarosa wiąże się bezpośrednio z jedynym synem dyrektora Szeryna.

Porwanie osiemnastoletniego chłopca? - t równa się jego śmierci. Można liczyć, że małe dziecko uda się uprowadzić i po wymuszeniu okupu bezkarnie zwrócić. Ale dorosłego człowieka?

Jedno jest prawie pewne. Jaros nie ma współników, a więc działa sam. W jaki sposób mógł zatrzymać przez kilka dni młodego wysportowanego chłopca?

Czy Jaros zdolny jest do morderstwa? - major nie potrafi odpowiedzieć sobie na to pytanie.

Zdaje sobie nagle sprawę, że stała się rzecz potworna, że musi zrobić wszystko, aby odnaleźć Tomka Szeryna i że musi działać z niesłychaną przebiegłością, żeby, jeżeli chłopak jeszcze żyje, nie zaszkodzić mu.

Evipan - przypomina sobie. Myśl o chirurgicznej narkozie dodaje mu otuchy.

A Magdalena? - to było chyba psychiczne załamanie kobiety, która została w pustce nie poinformowana o prawdziwych przyczynach odejścia kochanego człowieka?

Major biegnie do wozu technicznego i łączy się z Warszawą.

- Natychmiast sprawdzić na trasie - szczegółowo wymienia drogę Jarosa z Warszawy i późniejsze jego tropy - we wszystkich urzędach pocztowych czy i przez kogo - oczywiście rysopis - została nadana depeza do Tomka Szeryna nad jezioro Rosy Wenedy... - żąda od Lisa.

Pułkownik nie robi uwag, z tonu majora wnosi, że odkryto jakieś bardzo ważne okoliczności sprawy.

- Najlepszych wywiadowców z Olsztyna skierować w rejony... - weź mapę Mazur, Heniu - prosi inspektor.

- Już mam, dyktuj - zawiadamia Lis.

Inspektor wymienia miejscowości, znajdujące się w „pięcioboku” bezcelowych wędrówek Jarosa.

- Izoluj zupełnie Wilgajny od zakładów Szeryna. Rób co chcesz, sprowadź im na łeb tuzin komisji... To już nie moja sprawa. Technologa uziemić na jakiejś nasiadówce, zajmij go przesłuchaniem, wszystko jedno czym, ale tak, żeby nie mógł się ruszyć nawet do telefonu. Nigdzie.

- Bądź spokojny. Poproszę Inspektorat Ruchu Drogowego, żeby go zaprosili ze względu na samochód. Zaraz go wezwiemy do Komendy. Postaram się, żeby tu tkwił aż do chwili, gdy pozwolisz go wypuścić - uspokaja pułkownik.

- Heniu, natychmiast zarządz blokadę tego „pięcioboku”. Pozbaw ten teren wszelkiej łączności, przede wszystkim telefonicznej.

- Uważasz to za niezbędne?

- Za konieczne. Oczywiście wyszukasz jakiś pretekst.

- Andrzej, powiedz wreszcie, czego mamy tam szukać, po zarządzeniu blokady - domaga się Lis.

- Tomka Szeryna. Podejrzewam kidnaping, szantaż, albo jakiś inny niebezpieczny sposób unieruchomienia chłopca. Spiesz się, Heniek.

- Podejrzewasz istnienie wspólników?

- Raczej nie. Ale zachowaj wszystkie możliwe środki ostrożności.

- Załatwione. Zostaw kogoś przy radiostacji. Niech dyżurny wie, gdzie cię szukać.

Inspektor daje umówiony sygnał Cieślíkowi i idzie na miejsce spotkania z wywiadowcą.

- Poruczniku, nie spuszczać z oczu Jarosa. Gdyby chciał zrobić coś niewłaściwego, możecie nie przebierać w środkach.

- Fangę w oko też można? Niech major sprecyzuje.

- Bez błazeństw - obrusza się major. - Wszystko, nawet podejście do telefonu uważam za niewskazane. Spieszcie się, jeżeli się nawet zdekonspirujecie, to już nie ma znaczenia.

- A kto będzie pilnował wyspy? Żal mi człowieka - marudzi porucznik. - I Jaros i wyspa... chyba, że wsadzę tam Jarosa i ożenię te dwie imprezy... Tylko że z tego małżeństwa nic nie będzie... oba samce.

- Jezioro was nie obchodzi, macie tylko Jarosa pod opieką.

- Czy można inżynierowi pozwolić oddychać? - wykrzywia się Cieślik i znika wśród drzew.

VIII. ZAGUBIONE DNI

Na Wilgajnach piętrzą się fale - jezioro jest niespokojne, woda kapryśnie miota kajakiem. Wydaje się, że niebo zasnute pajęczyną chmur leży na wierzchołkach drzew, przygniata, dusząc parnym upałem,

Wodne ptactwo jest zaniepokojone, po trzcinach wiodą rozhowy bekasy, z ostrym, cienkim krzykiem kołyszą się na fali nurki.

Pelikan niezmordowanie rozgarnia wiosłami zbuntowaną wodę, dziób kajaka prześlizguje się po grzbietach fal, spienione Ich grzywy zalewają łódkę.

Chłopak klnie przez zęby. Na wodnych zakolach, rozhuśtane, zmienne prądy biją wysokimi bałwanami, podają sobie lekką łupinkę, kręcąc nią bez sensu.

Chłopak pokonuje ostatni zakręt i kieruje czołno do wyspy w miejscu, gdzie łagodna piaszczysta łacha schodząc ku jezioru tworzy naturalną przystań.

Płytsza, przybrzeżna woda jest spokojniejsza i kajak posłusznie zdąża do celu. Kilkanaście metrów od brzegu wyspy kołysze się na wodzie motorówka. Mężczyzna z nagim torsem macha dłonią przywołując Pelikana do siebie.

Chłopak podpływa. Widzi na dziobie motorówki emblematy milicji rzecznej - robi mu się bardzo nieprzyjemnie.

- Karta pływacka - żąda ten z motorówki.

- Zostawiłem w obozie - tłumaczy się Pelikan.

Milicjant z motorówki przygląda mu się podejrzliwie.

- W obozie - powtarza z niedowierzaniem. - Z kartą pływacką nie można się rozstawać na wodzie jak z prawem jazdy na szosie - nudzi milicjant. - Zawracać!

- Panie władzo, na taką bryzę nie sposób zabierać dokumenty. Zamokną - pertraktuje Pelikan.

- Zawracać! - tępo upiera się milicjant.

- Parne władzo...

- Bo będę przykry - grozi.

Pelikan zawraca. Odpływa znaczny kawałek i usiłuje dotrzeć do wyspy z drugiej strony, gdzie brzeg jest mniej gościnny dla żeglarzy, gdzie zasłonięte trzciną wznosi się stromo poszarpane urwisko z odkrytymi korzeniami drzew.

Ale milicjant przewidział nieposłuszeństwo. Pelikan słyszy szum motoru i za chwilę wysoka fala, którą rozgarnia motorówka, wściekle miota kajakiem. Milicyjna łódź zatrzymuje się kilka metrów od chłopaka. Tym razem funkcjonariusz jest groźny.

- Co powiedziałem? - dopytuje się retorycznie.
- Ja świetnie pływam, proszę pana... - podlizuje się Pelikan, nie szczędząc w myślach najobraźliwszych epitetów dla tego sztywnego stróża porządku.
- Żebyś tu więcej nie widział - życzy sobie milicjant.
- Już jesteśmy po bruderszafcie? - nie wytrzymuje Pelikan.
- Jeszcze słowo, a zatrzymam za opór władzy i utrudnianie pracy urzędnikowi państwowemu
- obiecująco cedzi milicjant.

Pelikan daleki jest od utrudniania pracy. Orientuje się, że nie znajdzie z facetem płaszczyzny porozumienia. Zrezygnowany, bez słowa zawraca kajak i dobrych kilkaset metrów zмага się z falami, nie oglądając się na swego antagonistę.

W parnym powietrzu wibruje narastający i cichnący szum motoru. Pelikan niechętnie odwraca głowę w tamtym kierunku. Milicyjna motorówka defiluje w poprzek jeziora, odcinając zupełnie dostęp do wyspy.

Chłopak wraca do obozu wściekły. Przybija do brzegu, grzebie w plecaku poszukując karty pływackiej.

Nie trzeba się było narażać - duma smętnie - teraz to „tępolo” może mnie i z kartą nie przepuścić. Wymyśli zupełnie coś nowego, widocznie to lubi, a na upodobania nie ma sposobu. Poza tym lepiej będzie, żeby mnie zbyt często nie widywał...

Czekaj, smętny policaju - na chłopaka spływa olśnienie. Jest niezmiernie ucieszony swoim pomysłem.

Wyciąga z kajaka menażki i ich zawartość - kartofle, rybę, całą kaczkę - upycha razem w jednym dużym termosie. Myśli, że gospodarnej Dorocie nie podobałby się taki przekładaniec.

Stan wyższej konieczności - wzdycha głośno Pelikan, przytracając sobie dwa termosy do pasa. Bierze płetwy i cały ekwipunek potrzebny do nurkowania.

Maszeruje brzegiem tam, skąd zawrócił go milicjant. Naprzeciw wyspy, za czwartym meandrem schodzi do wody. Z satysfakcją obserwuje patrolującą motorówkę.

Umocowuje na nogach płetwy, zakłada maskę i za chwilę przykrywa go nadbiegająca, wysoka fala.

*

Motorówka zgrabnie przybija do brzegu - motor cichnie

- Tędy, obywatelu majorze - wskazuje milicjant. - Później w górę wzniesieniem, a dalej jest już harcerskie oznakowanie. Traficie bezbłędnie jak w śródmieściu na pryncypialnej ulicy.

Major wyskakuje na piasek.

- Przed chwilą był już jeden chętny - zawiadamia milicjant.- Ten chłopak z biwaku.

Postraszylem go troche, bo sie upieral. Jakby dac psu to co on o mnie pomyslal, to psina zdechlaby natychmiast... skuteczniej niz od cyjanku - smiej sie.

Major idzie w glab wyspy. Platanina ostrokrzewu, maliniaku, jezyn, wybujalych paproci zagradza droge i czepia sie ubrania. Swieze naciecia na drzewach prowadza krętym tropem. Dalej jest polanka wsród drzew starannie oczyszczona z poszycia.

Pod drzewem, na materacu turystycznym - siedzi Pawel Szeryn. Nieco dalej porzucony taki sam materac, tylko bez powietrza, zwój platanowych sznurów i lekki wełniany koc.

Szeryn nerwowo, glębokimi haustami zaciaga sie papierosem.

- Major Korosz - przedstawia sie inspektor i siada obok Szeryna.

Tamten przez chwile wlepia w majora pytajace spojrzenie. Wyglada zalośnie. Calą jego twarz pokrywaja opuchnięte czerwone plamy. - Szeryn trwa ogarnięty zdziwieniem, ze sasiaz z leśniczówki stal sie z dnia na dzien milicjantem.

- Nie wiedzialem... - baka przygnębiony.

- Jak sie pan tu znalazl? - pyta major.

Szeryn niechętnie wzrusza ramionami, zaciska z wściekłością zęby. Milczy.

- Niechże pan odpowie - łagodnie nalega major. - W tej chwili szukamy pańskiego chłopca. Jakies szczegoly, o których pan wie, moga nam pomoc. Niechże pan nie zwleka z tym, co kazdy rozsądny czlowiek zrobilby na pana miejscu przed dwoma dniami... Tylko pan mógł cos dzialac, aby uniknac nieszczęścia... - major jest zly na siebie, ze robi temu znękanemu czlowiekowi wyrzuty. Urywa w pol slowa.

- Sądzi pan, ze mój chłopiec jeszcze zyje? - w głosie Szeryna jest tyle męki, w gorączkowo błyszczących oczach taka rozpacz, ze majorowi mimo woli zwieraja sie dłonie.

- Żyje - mówi z przekonaniem inspektor, chowając wątpliwości dla siebie. Nie chce, nie może odbierac temu złamanemu czlowiekowi resztki nadziei.

- Wszystko zaczęło sie w dzien matury... - zaczyna Szeryn z gorzkim grymasem. Potem major dowiaduje sie o wszystkim. Pawel Szeryn niczego juz nie ukrywa.

- ... takie sa przyczyny najwiekszego nieszczęścia, jakie mnie spotkalo w zyciu... Nie musze panu mowic, ze ten chłopak... ten chłopak... - nie znajduje stosownego określenia, zeby wyrazic, czym jest dla niego jedyny syn. Milknie.

Major myśli, ze Szeryn popelnil pierwszy blad z chwila, gdy nie dal zdecydowanej i jednoznacznej, odpawy technologowi. Ale z drugiej strony, nie sposob bylo przewidziec, ze proba szantażu pociagnie za soba takie potworne w skutkach następstwa.

- Jakim sposobem milicja... pan sie o tym dowiedzial? Koledzy syna - z niepokojem pyta Szeryn.

- Więc on nic nie wie o Magdalenie? - ustanawia sie major.

- W tej chwili to nie ma znaczenia - zbywa go major. - Dlaczego nie zgłosił pan o zniknięciu chłopca natychmiast, dlaczego pozwolił pan, aby upłynęły dwa dni - nie może się powstrzymać inspektor.

- Czy pan my dzieci, panie majorze?

Inspektor milczy zakłopotany.

- Proszę pana - podejmuje Szeryn - nie należę do tchórzy. W wielu sytuacjach zawsze sobie potrafiłem poradzić. Jeżeli trzeba było walczyć nie stosowałem uników ani strusiej polityki. Może dlatego mam opinię despoty... Ale w tym wypadku, gdzie stawką jest głowa mego syna. Dorosłego chłopaka! Gdyby chodziło o niemowlę, mógłbym jeszcze mieć większą nadzieję, że po uiszczeniu tego specyficznego okupu, zwrócą mi dziecko. Ale w tych okolicznościach? Przecież ten zbrodniarz musiał liczyć się z faktem, że dorosły chłopak po odzyskaniu wolności, potrafi wskazać miejsce gdzie był więziony i że władze - które nieuchronnie zawiadomię, gdy tylko będę miał rozwiązane ręce - w końcu dojdą nawet do wykonawców, jeśli nie działa sam. Gdy Jaros postawił mi ultimatum, już wtedy miałem bardzo niewiele nadziei, że chłopiec żyje. Nic nie robiąc, nigdzie nie meldując grałem na zwłokę. Może się to panu wydać naiwne, ale lepszego sposobu nie widziałem. Sądziłem, że to jedno, co mogę zrobić dla mojego chłopca, to jak najdłużej zwlekać i podpisaniem tego dokumentu, że w ten sposób daje Tomkowi s z a n s ę . Oczywiście jeżeli jest jeszcze żywy i zdrowy.

- Jaką szansę?

- Tomek był silnym, wysportowanym chłopcem. Znał boks i świetnie pływał, nie mówiąc już o tym, że był to inteligentny chłopak, zaradny i samodzielny... - Szeryn przerywa i myśli z przerażeniem, że mówi o synu w czasie przeszłym. - ...więc jeśli jest żywy to może, może ucieknie...

- Sądzi pan, że Jaros może mieć wspólników?

- Wszystkie moje sądy stanęły na głowie, okazały się złudne - mówi z niechęcią Szeryn. - Gdybym ja zdecydował się na popełnienie takiej potworności - oczywiście nie jestem zdolny do takiego czynu - zastrzega się ze zgrozą. - Ale gdybym ja... zrobiłbym to sam. Każdy wspólnik najbardziej nawet związany i uzależniony, to potencjalny świadek... Ale jak to urządził Jaros? - bezradnie rozkłada dłonie. - Gdyby to się stało w Warszawie - podejmuje po chwili - prawdopodobnie zawiadomiłbym milicję. Ale tu? Gdybym się zjawił w miejscowym posterunku milicji, za kwadrans wiedziałaby cała okolica, że tam byłem... Nie stać mnie było na takie ryzyko. Pojechać chociażby do Szczytna? - nie miałem odwagi... Bałem się, że Jaros albo ktoś z jego wspólników pilnuje mnie, że wystraszeni popełnią rzeczy straszne i nieodwracalne.

- A... przyjaciele syna? Oni są bardzo przywiązani do Tomka.

- Nie doceniłem ich - mówi sucho Szeryn. - Boję się jednak, że oni swym nieprzemysłanym

działaniem zaszkodził memu chłopcu.

Szeryn milknie - wyraźnie nic więcej nie chce powiedzieć na temat młodzieży.

- ... gdyby to mogło ocalić mego chłopca - Szeryn nie jest w stanie przestać mówić o synu - podpisałbym tuzin fałszywych dokumentacji, jeżeli nawet musiałbym resztę życia spędzić w więzieniu, nie mówiąc, że z radością zrezygnowałbym ze swego dyrektorstwa. Nie ma rzeczy, której nie oddałbym za przekonanie, że on żyje... Jaros doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Nalegał tak jakby mu zależało na każdej godzinie.

- Przecież postawił panu termin.

- Tak, a starał się uzyskać podpis już tego samego dnia, gdy mnie zawiadomił o porwaniu Tomka.

Major skrzętnie notuje w pamięci tę uwagę.

- Gdyby mu chodziło o pieniądze - podejmuje Szeryn - byłby mniej groźny, a ja miałbym większą nadzieję. Wiedziałbym jaką sumą się opłacić. W jakiś sposób ta gra byłaby uczciwsza, jeżeli w ogóle w tym wypadku można użyć tego słowa.

- Produkcja stopu na podstawie tej dokumentacji przyniosłaby znaczne, bardzo znaczne sumy dla prywatnej kieszeni - zauważa major.

- Ależ jemu wcale nie chodziło o pieniądze! - protestuje Szeryn. - On chciał mnie skompromitować, zeszmacić, pozbawić zakładów i dobrego imienia. Ten dokument natychmiast po podpisaniu przez mnie trafiłby na biurko prokuratora. Zdawałem sobie z tego sprawę i podpisałbym natychmiast żebym nawet nigdy nie potrafił się wytłumaczyć, że uległem potwornej presji - gdyby Jaros zagwarantował mi życie chłopca.

Szeryn milknie na chwilę, splata dłonie i zaciska palce aż do bólu.

- ... dwa dni temu dopiero zorientowałem się jak mnie ten człowiek nienawidzi. To już nie nienawiść, a obłąd - *idea fix*. Dlatego uważam, że zdolny jest do zamordowania Tomka. Najbardziej perfidna, wyrafinowana zemsta. Gdyby zabił mnie... No, cóż, w najgorszym razie parszywie bym się bał przez krótki czas jakiegoś umierania. Ale zabić dziecko? Do końca życia nie zaznam spokoju, będę urządzał sąd na sobą, szukał przyczyn we własnym postępowaniu, we własnych błędach, a w całym swoim życiu... Pan wie jaki był mój chłopiec? - twarz Szeryna zniekształca grymas. Zaciska usta i gorączkowo wytrząsa z paczki następnego papierosa.

- Jak się pan tu znalazł? - zmienia temat inspektor.

- Po co pan pyta? Przecież pan wie - stwierdza z przykrością.

- Nie bardzo. Domyślałem się tylko. Chcę poznać szczegóły.

- Wczoraj w nocy, mogło być około trzeciej... Nie pamiętam - twarz Szeryna, a raczej miejsca między czerwonymi plamami ukąszeń oblewa rumieniem. - Zwabił mnie Rajmund, przyjaciel Tomka. Byłem roztrzęsiony. Dosłownie przed chwilą opierałem się bezwzględniemu żądaniu Jarosa,

aby dokument podpisał natychmiast. Rajmund zaskrobał w okno, zawiadomił mnie, że Tomek przywłókł się do nich nad jezioro, że uciekł i jest bardzo chory. Nie wiem co pan zrobiłby na moim miejscu. Ja bez namysłu pobiegłem za nim jak wariat - milknie zagryzając usta.

- Raczej prawidłowy odruch - łagodzi major.

- Tam sprawa wyglądała krótko. Podstępnie zwała się na mnie cała czwórka niczym rasowe opryszki. Nie pamiętam czy zdążyłem krzyknąć. Knebel - zawinęli mnie w koc, jak niemowlaka, skrepowali sznurami. Opakowali mnie w te dwa materace - Szeryn wskazał je dłonią - i jeszcze raz okręcili sznurami, niczym baleron... - Szeryn dławi się ze wściekłości na samo wspomnienie. - Zostałem jak pakunek wrzucony do łódki i te dwa byczki przywiozły mnie tutaj. W pięć minut urządzili nade mną sąd - nawet nie wyjęli knebla - pomawiając mnie o rzeczy potworne. Moje zdanie nie interesowało ich.

- Co mówili?

- Że jestem współnikiem Jarosa i staram się uśmiercić własnego syna. Nie, niezupełnie tak, ale, że gotów jestem poświęcić Tomka dla własnej kariery. Zapowiedzieli, że sprowadzą milicję i zniknęli jak kamfora. Wczoraj wieczorem jakiś trzeci: znam go, też kolega Tomka, często bywał u mnie w domu... przywiózł mi jedzenie. Nie, nie rozwiązał mnie. Przeciwnie, sprawdził, czy sznury się, nie rozluźowały i dociągnął węzły, objaśniając przy tym, że jest specem od węzłów bosmańskich. Zostałem pocieszony, że na węzły bosmańskie jego produkcji nie ma sposobu, poza przecięciem ich.

Major ze względu na powagę sytuacji tłumi śmiech. Szeryn zauważył to.

- Gdyby to wszystko nie było tak tragiczne, chętnie bym się śmiał - mówi z przygnębieniem. - Pelikan nawet mnie przeproszał, twierdząc, że to stan wyższej konieczności, i udzielał mi nauk w rodzaju: jeżeli tatuś - to niby ja - jest skończonym łotrem, to trudno, muszą tatusia trzymać związanego, mimo że to im wcale nie sprawia przyjemności, raczej przeciwnie... Nie mogę im nic zarzucić, bo mimo że jestem kanalią, oni traktują mnie humanitarnie, przywożą jedzenie. Chętnie przywiózłby papierosy, ale nie mają pieniędzy, a ode mnie nie wezmą ani grosza, żebym potem nie oskarżył ich o rabunek.

- Nie powiedział panu, co się dzieje w leśniczówce?

- Ależ skąd! Błagałem go o jakieś wiadomości. Pocieszył, że tylko do rana będę pokarmem dla komarów, że już się wszystko wyjaśnia, że oni wzięli sprawę w swoje ręce, a mnie lada moment przekażą prokuratorowi. Wyobraża pan sobie jak się czułem... Podwójnie bezsilny... ostatni termin Jarosa upływał wczoraj wieczorem...

- On już nie postawi panu żadnych terminów.

- To samo powiedział mi pana podkomendny, który zjawił się wieczorem, zaraz po odejściu Pelikana. Muszę panu powiedzieć, że stylem niewiele się różni od tej obiecującej młodzieży. Tyle,

że się wylegitymował, więc byłem spokojny, że nie jest to jeszcze jeden pomysłowy kolega syna, a prawdziwy funkcjonariusz...

- To najlepszy mój wywiadowca - uśmiecha się, major na wspomnienie Cieślaka.

- Przeciął sznury, zaaplikował nawet maść na ukąszenia. Dał mi szklankę wódki - mówiąc prawdę, to nie musiał zbyt długo mnie namawiać. Jednym tchem wyjaśnił, że sprawą mojego chłopca zajął się jego szef, to znaczy pan, to znaczy, że sprawa nie może zostać niewyjaśniona, ponieważ nie było wypadku, aby śledztwo prowadzone przez pana nie kończyło się *happy endem* - więc zupełnie nie powinienem się martwić. Następnie poinformował mnie, że jestem pod nadzorem milicji. Tym razem na pana zlecenie, panie majorze, nie wolno mi opuszczać wyspy. Jakoś tak sformułował, że to jest jakaś kombinacja...

- Kombinacja operacyjna - z uśmiechem podpowiada major.

- O właśnie. Zostawił mi papierosy, rozniecił ogień. Oczywiście nie odpowiedział na żadne moje pytanie. Wyciął w promieniu kilku metrów wszystko zielisko, twierdząc, że w ten sposób definitywnie zlikwidował komary. Zapowiedział pana wizytę z samego rana. Na odchodnym zagroził, że jeżeli się ruszę z wyspy, to zostanę ponownie związany, tym razem przez milicję - bo zostawia na wyspie posterunek. I tak jak się pojawił, zniknął jak meteor. Nie wiem, czy to wszystko trwało dwadzieścia minut - iskra nie chłopak.

- Z grubsza biorąc, to wszystko prawda. Z pewnych względów było mi bardzo na rękę, że pan jest odizolowany.

- Pan mnie podejrzewał? - stwierdza Szeryn.

- Nie, nie dlatego - broni się inspektor. I myśli, że nic teraz nie powie Szerynowi o Magdalenie. Niech się wyjaśni sprawa z jego synem. Jeżeli chłopak znajdzie się, łatwiej mu przyjdzie znieść tamto. Tym bardziej nie chce go gnębić, że Paweł Szeryn jest w jakiś sposób moralnie odpowiedzialny za samobójstwo tej kobiety.

- Wywiadowca - Szeryn przerywa milczenie, które mu ciąży - był zachwycony młodymi ludźmi i stwierdził - on ma zwyczaj wygłaszania sądów *ex cathedra* - że jeżeli mój syn chociaż trochę jest podobny do tej wspaniałej młodzieży, to mam zapewniony jego szacunek do śmierci, jako ojciec takiego chłopaka.

- Chciałbym pana prosić o pozostanie jeszcze przez jakiś czas na tej wyspie. To już naprawdę niedługo potrwa - wyjaśnia Inspektor. - Zgłosi się po pana sierżant z motorówką.

- Naprawdę nie mogę wrócić do leśniczówki, panie majorze? - prosi Szeryn.

Na granicy wyciętego poszycia jak wrośnięty staje Pelikan. Poznaje majora, spostrzega, że sam został przez niego zauważony i w pierwszej chwili nie bardzo wie co ma zrobić. Ocenia, że szanse odwrotu są znikome, więc idzie prosto na nich.

- Specjalista od węzłów bosmańskich - z westchnieniem informuje Szeryn.

- Przyniosłem panu mleko... i tego... śniadanie - oświadcza z godnością, zezując w stronę majora.

Szeryn jest zakłopotany, nie wie jak się zachować. Jest zbyt znękany, aby go bawił komizm sytuacji. Spłoszony Pelikan trzyma w wyciągniętych rękach mokre termosy.

- Postaw je - radzi major. - Niewątpliwie śniadanie przyda się.

Chłopak umieszcza naczynia w pobliżu Szeryna i pytająco, podejrzliwie przygląda się inspektorowi.

- Jak tu się przedostałeś? - interesuje się major.

- Nurkuję - pada zwięzła odpowiedź.

- A, to mi nie przyszło do głowy - szczerze przyznaje major. - Okpiłeś mi sierżanta.

- Ludzie muszą jeść - wzdycha filozoficznie Pelikan, wskazując termosy.

Zapada kłopotliwe milczenie, chłopak wyraźnie się denerwuje, wreszcie nie wytrzymuje napięcia.

- Na co pan czeka? - zwraca się z arogancką desperacją do majora.

- Na motorówkę - niewinnie wyjaśnia inspektor, - Nie zabrałem sprzętu płetwonurka.

- Ja mówię o aresztowaniu - niecierpliwi się chłopak.

Wracamy - podnosi się inspektor. - Chodź Pelikan, musimy porozmawiać z twoimi koleżankami.

Na motorówce chłopak nic nie mówi, tylko łypie nieprzyjaźnie na sierżanta.

- Pan mnie puści do obozu, muszę zostawić sprzęt i coś na siebie włożyć - niezdecydowany przygląda się swoim slipkom. - Niech się pan nie boi, nie nawieję.

Major zezwala.

Dziewczęta siedzą na werandzie pod okiem kapitana. Są starannie ubrane, uczesane. O emocjach minionej nocy świadczą tylko wielkie ciemne kręgi pod oczami Anielki i niezwykła bladość Doroty.

- Już nie śpicie? - szczerze dziwi się major; istotnie pora jest bardzo wczesna.

Anielka wzrusza ramionami i nie patrząc na inspektora zawzięcie majta nogą. Dorota milczy nieporuszona.

- Panie pozwolą do mnie - uroczyście zaprasza major.

Anielka trąca Dorotę w bok i z ironicznym grymasem robi ruch głową w stronę majora - Dorota marszczy brwi, piorunując przyjaciółkę wzrokiem. Obie, nadrabiając minami, drepczą przed inspektorem.

W pokoju majora siadają skromnie na brzeżkach krzeseł. Obydwie mają podobny wyraz twarzy: jak sobie starsi wyobrażają grzeczne, dobrze ułożone, miłe dzieci. Major jest ubawiony.

- Dlaczego zniszczyłyście opony fiata? - pyta surowo.

Anielka zezuje na majora strzygąc czarnymi ślepkami i układa usta w ryjek. Milczy.

Inspektor ponawia pytanie.

- Pan wie, kto to jest Lafcadio? - słodko pyta Anielka, złośliwy uśmiezek błąka się jej koło ust.

- Widzę, że niedawno przeczytałaś Gide'a - stwierdza major. - Ale ja chcę usłyszeć dlaczego poprułaś opony w cudzym samochodzie?

- Z tych samych pobudek co Lafcadio zabił - z przekonaniem oświadcza Anielka.

- Idiotka! - nagle denerwuje się Dorota. - Czekaj, dadzą ci Lafcadia!

Major ponawia swoje pytanie, zwracając się do Doroty.

- Nie możemy panu powiedzieć - mówi z powagą dziewczyna nie unikając jego wzroku. - Nie wiem co pan z nami robi, ale ja nie powiem. Jestem związana słowem, Anielka podobnie, i dlatego bredzi o Lafcadiu - niech jej pan tego nie bierze za złe - wstawia się za przyjaciółką.

Major przestaje zadawać dziewczętom pytania - spaceruje po pokoju i nie zwraca na nie uwagi. Ten brak zainteresowania z początku niepokoi, a później zaczyna denerwować Anielkę.

Zjawia się Pelikan, siada potulnie na wskazanym miejscu i osowiały gapi się na koleżanki.

- Moi drodzy, wprawdzie dwoje z was brakuje, ale chcę wam przedstawić serię waszych wyczynów w świetle kodeksu karnego. Posłuchajcie co o tym mówi prawo - zaczyna inspektor.

Trzy pary oczu robią się okrągłe z wrażenia i nie mogą oderwać się od oczu inspektora.

- Kto pozbawia człowieka wolności, podlega karze więzienia do lat 5 - zaczyna major.

- Jeżeli pozbawienie wolności łączyło się ze szczególnym udrczeniem. - Komary! - sprawcy podlegają karze więzienia do lat 10.

- To o starym Szerynie - zawiadamia szeptem Pelikan.

- Za włamanie i kradzież dokumentu grożą wam dwa lata.

- Nie było włamania - gorąco protestuje Anielka.

- Włamanie, to nie tylko ukłucie kłódki- smętnie objaśnia Pelikan. - Wyłącz się, stokrotko.

- Kto cudze mienie uszkadza albo czyni niezdatnym do użytku, podlega karze do lat dwóch.

- Kto samowolnie używa cudzego samochodu, podlega karze aresztu do dwóch tygodni lub grzywny.

Koledzy milczą tym razem.

- Kradzież - kosztować może pięć lat więzienia. Zdaje się, że była jedna kaczka i jeden kaczor o wyjątkowo pięknym upierzeniu - kontynuuje major. - Zresztą płeć i maść ptaków nie będą miały większego wpływu na obniżenie wyroku.

- Kaczki zostały tylko pożyczone. Od początku mieliśmy zamiar je oddać i oczywiście oddamy - prostuje insynuację Pelikan.

- Każdy wie, że pożyczanie odbywa się na innych zasadach. Takie tłumaczenie jest naiwne.

Poza tym było ukrywanie wiadomości o zaistniałym przestępstwie i wprowadzenie władzy w błąd...

- Tego nie było - zapewnia Dorota.

- Nie było? - mówi z przekąsem major. - Dowiedzieliście się o porwaniu Tomka, ale władz nie zawiadomiliście.

Cała trójka łypie na siebie porozumiewawczo i smętnie pochyla głowy.

- Ale wprowadzenia władzy w błąd nie było! - nie przypomina sobie Pelikan.

- Owszem, było - kiwa głową inspektor. - Historia o jeżu i *l'amonr en troi*, ale to dotyczy tylko koleżanek.

- Z grubsza to wszystko. Jakichś tam drobnych wykroczeń już nie będę wymieniał. Zbierze się kilka spraw w kolegium orzekającym i kilka grzywien.

Cała trójka jest zgaszona i zupełnie bezradna.

Ogarnia ich przerażone zdziwienie, że zaplątali się w to wszystko nie wiadomo kiedy, z dnia na dzień, działając w swoim przekonaniu, bezinteresownie, sprawiedliwie.

- Panie majorze, dopiero teraz zdaliśmy sobie sprawę, jak wygląda nasze postępowanie w świetle prawa - zaczyna w imieniu wszystkich Dorota. Dziewczyna nie jest już grzecznym dzieckiem na pokaz dla dorosłych. Panuje nad drgającym głosem, jest poważna i rzeczowa. - Może nam pan wierzyć, że w czasie działania nie przymierzaliśmy się do kodeksu karnego. Te kaczki naprawdę chcieliśmy oddać i ten zamiar nie powstał w tej chwili, pod pana presją. Ja wiem, że niezajomością prawa tłumaczyć się nie należy, ale paragrafy są martwe, suche, nie mieszczą się w nich odczucia... - Dorota namyśla się nad doбором odpowiednich słów.

- Jest brak czegoś istotnego w tym, co pan powiedział - wolno podejmuje Dorota. - Nie wiem jak to określić, ale tam nie uwzględniono intencji... pobudek, rozumie pan? No, kolega w potrzebie, przeciw któremu jest własny, rodzony ojciec, tak nam się wtedy wydawało...

- Pan myśli, że ja się nie bałam? - włącza się Anielka. - Myśli pan, że ja przepadam za przecinaniem opon? A co miałyśmy robić? Dopuścić żeby jeszcze zginęli Jacek i Rajmund?

- Wyjaśnijcie mi jeszcze pewne szczegóły - żąda major. - Z grubsza znam rozwój wypadków.

- Proszę pytać - zgadza się Dorota.

- Dlaczego nie meldowaliście milicji o zaginięciu Tomka?

- A kto by nam uwierzył? A poza tym baliśmy się, żeby nie zaszkodzić Tomkowi, jak się to rozniesie... Ten Jaros wygląda bardzo nieprzyjemnie, kanciasto - wyjaśnia Dorota.

- Szeryna skrępowaliście wszyscy, a później?

- Podział pracy - informuje weselsza już Anielka. - Chłopcy po powrocie z wyspy wyprowadzili consula i kikowali na Jarosa. A my z Dorką obskoczyłyśmy pokój starego, no i była ta dokumentacja, o którą oni sobie skakali do oczu. Więc zabraliśmy, żeby się stary Szeryn; nie namyślił i przypadkiem nie podpisał, bo to już byłby zupełny koniec. Stary Szeryn mógł się

rozwiązać i wypulić z wyspy, no nie?

- Szukałyście dowodu rejestracyjnego consula?

- Nie. W tym rozgardiaszu zapomnieliśmy o takim drobiazgu na śmierć. Może chłopcy myśleli, że jest w wozie? - mówi Dorota.

Wszyscy zgodnie potwierdzają.

- A później koledzy przesiedli się na twoją „osę”, Pelikan? - pyta major.

- Spotkałem ich na szosie zupełnie przypadkowo, jak musieli zastopować z consulem.

- Lafcadio - major uśmiecha się do Anielki. - Po co znęcałyście się nad oponami?

- Proszę pana - uprzedza Anielkę Dorota - chłopców do tej pory nie ma... A ten morderca wrócił wczoraj. Musiałyśmy dać szansę kolegom. Gdyby Jaros nie chciał jechać, nie dotknęłybyśmy fiata.

- Gdyby nie przylazł, fiat byłby cały. To było jedyne wyjście, żeby go unieruchomić, czekałyśmy z tym do ostatniej chwili, dlatego nas nakrył. 'To był mój pomysł, a Anielka tylko pomagała. Ona rozpruła tylko jedną oponę. Pelikan nic o tym. nie wiedział, bo zawiózł kolację Szerynowi - dziewczyna broni kolegę.

- Szerynowi nie powiedzieliście o wypadku z panią Magdaleną?

- Nie - potrząsa-głową Pelikan.

- Dlaczego?

- Uważaliśmy, że tak będzie lepiej - mówi z powagą Anielka. - Na złe wiadomości zawsze jest czas.

- A Jarosa poznałyśmy na szosie. W pierwszej chwili nie mogłam sobie skojarzyć skąd go znam. Złękłam się przy tym samochodzie, bo facet był straszny... - przypomina sobie Dorota.

- Gdzie go widziałaś? - interesuje się major.

- To był pierwszy samochód, który zabrał nas autostopem aż do Wielbarka. On pojechał dalej, a my poszliśmy nad jezioro Rosy Wenedy. Czy pan już coś wie o Tomku? - w głosie dziewczyny brzmi prośba.

*

Pułkownik Lis telefonuje do Ministerstwa Łączności - cisza. Wreszcie zgłasza się dyżurny. Nie, nie jest kompetentny do załatwienia takiej sprawy.

Pułkownik dopiero teraz uświadamia sobie, że jest bardzo wcześnie - dobiega szósta. Bez namysłu wykręca numer domowy odpowiedzialnego pracownika i krótko wyjaśnia o co mu chodzi. Tamten namyśla się.

- Zrozumcie nas, chodzi o bezpieczeństwo chłopca - przekonuje Lis. - Rozumiem, że blokada telefoniczna jest rzeczą bez precedensu, ale wejdźcie w nasze położenie... Sprawa niezwykła.

Kidnaping na dorosłym człowieku.

- Zupełna blokada tak rozległego terenu- tłumaczy dyrektor z Ministerstwa Łączności - jest rzeczą niemożliwą. Wiecie jakie mogą być następstwa? Nieobliczalne w skutkach. Nagłe wypadki, wezwanie lekarza, karetki pogotowia... Nie, nie mogę wziąć takiej odpowiedzialności na siebie.

- Ja nie żądam zupełnej blokady. Oczywiście, że to niemożliwe - zgadza się Lis. - Lokalna łączność musi pozostać. Mnie zależy, żeby chociaż przez, powiedzmy... trzy godziny wymieniony teren nie miał łączności z Warszawą, Olsztynem i pobliską okolicą leżącą poza zamkniętym przez nas terenem.

- Rozległy obszar - waha się tamten.

- Umówmy się tak - pertraktuje Lis - że będę wam podawał każdą przeczesaną przez nas miejscowość, natychmiast po jej sprawdzeniu. Rzucamy znaczne siły do akcji, więc obszar objęty blokadą będzie się kurczył prawie z minuty na minutę.

To do reszty przekonuje tamtego i pułkownik uzyskuje zgodę. W kwadrans później na oznaczonym przez Korosza pięcioboku milkną zamiejscowe telefony.

Za sprawą speców z łączności Komenda Wojewódzka w Olsztynie również jest odcięta od Warszawy.

Z komendantem wojewódzkim w Olsztynie pułkownik Lis łączy się teraz przez radiostację. Rozmowa jest krótka, ponieważ obaj panowie rozumieją się świetnie bez zbędnych słów.

W kilka minut później, nad mapą z zakreślonym pięciobokiem, pochyła się kilku ludzi w komendzie wojewódzkiej. Dzielą teren na mniejsze płaszczyzny i natychmiast na określony odcinek wyrusza grupa wywiadowców służby X.

W porannej ciszy przejeżdżają przez miasto szybkie samochody wiozące ekipy wywiadowców.

Jako pierwszy wyrusza zmotoryzowany odwód milicji z Olsztyna i obsadza granice zakreślonego na mapie obszaru.

Blokada trwa.

Komendant wojewódzki informuje Lisa:

- Może ci pożyczyć trochę, ludzi od sąsiadów? - pułkownik ma na myśli sąsiednie województwo.

- Zbyteczne - uspokaja go tamten. - Mam wystarczającą ilość swoich ludzi.

Sztab blokady przenosi się do Szczytna - to miasto stanowi jeden z wierzchołków „pięcioboju”.

Po kablach biegnie rozkaz do wszystkich jednostek milicji położonych na obszarze objętym blokadą - od komend powiatowych aż po najmniejszy posterunek gromadzki.

„Zginął Tomek Szeryn - mieszkaniec Warszawy. Rysopis... wiek... Podejrzewam kidnaping.

Zachowując najdalej idącą ostrożność, sprawdzić, czy w ciągu minionych czterech dni nie był widziany na waszym terenie. Powtarzam - zachować wszelkie możliwe środki ostrożności - obawiam się o życie chłopca. O wykonaniu rozkazu meldować natychmiast. Podpisał: Komendant Milicji Województwa Olsztyńskiego.

- Przyjąłem, przyjąłem, przyjąłem.- potwierdzają oficerowie, podoficerowie, dyżurni jednostek milicyjnych.

W miastach i miasteczkach natychmiast zostają wezwani dzielnicowi.

Posterunkowi i dzielnicowi znają prawie wszystkich ludzi na powierzonym im terenie, ich koligacje rodzinne, miejscowe antagonizmy, morze plotek, zawiści, pieniactwo, rodowe waśnie, sąsiedzkie spory. Znają swoich pijaków, miejscowe znakomitości, ludzi o lepkich rękach i zdeklarowanych złodziei, kawalerów z fantazją i bez, fajtlapów i doświadczonych przez los, koniokradów i tych, co lubią zaorać miedzę, amatorów drzewa z państwowych lasów, kłusowników i ludzi solidnych.

Czym mniejsza osada tym trudniej, żeby mógł w niej pozostawać niezauważony ktoś obcy - a już o uwięzieniu człowieka nie może być mowy.

Na sztab w Szczytnie runęła lawina informacji.

Jeden z pierwszych melduje się komendant posterunku z rejonu Wiskitek. To najdalej położona wieś na podległym mu terenie. Owszem, chłopiec był widziany przed czterema dniami, biwakował z równie jak on młodymi ludźmi nad jeziorem Rosy Wenedy - później ślad się urywa.

Komendant meldował już tym dwa dni temu, na pytanie ekipy dochodzeniowej będącej w Wilgajnach.

Major Korosz otrzymuje informację ze Szczytna, że według wszelkiego prawdopodobieństwa chłopiec nie został ukryty w żadnym zbiorowisku ludzkim. Pozostają lasy - a lasów -w tym pięcioboku jest pod dostatkiem. Zwarte masywy starodrzewu ciągną się wielokilometrowymi pasami.

Na cały obszar objęty blokadą, spadała jak szarańcza plaga mierniczych. Chodzą po lasach, mierzą, rozstawiają swoje przyrządy - to wywiadowcy służby X dokładnie czeszą odcinki terenu, za który są odpowiedzialni.

Ostrożność, ostrożność! - jeżeli są współnicy porwania chłopca i znajdują się na terenie objętym blokadą, nie mogą zorientować się, że milicja urządziła na nich obławę. Więc wywiadowcy mierzą lasy, przepływają jeziora, bobrują na wysepkach jako geometrzy.

W Warszawie pułkownik Lis przy Simplexie skreśla na mapie spenetrowane odcinki terenu i natychmiast Informuje Ministerstwo Łączności.

Korosz w wozie technicznym słyszy o wszystkich przedsięwzięciach podejmowanych w sztabie blokady i ma na bieżąco cały przebieg rozwijającej się akcji. - Naradza się z kapitanem.

- Można użyć psów - odpowiada kapitan. - Myślę, że w każdym razie szkody to nie przyniesie.

- Nie mam żadnego przedmiotu tego chłopaka - zasepia się inspektor.

- Wystarczy osobista rzecz Jarosa - mówi kapitan. - Jak tropiciele pójdą śladem Jarosa, mogą doprowadzić do chłopca.

Inspektor medytuje chwilą.

- Jaros wrócił wczoraj wieczorem - mówi z namysłem. - Upłynęła noc... ślad jest stary. Jeżeli chłopiec nie jest ukryty w skupiskach ludzkich - precyzuje swoją myśl kapitan - to należy wnosić, że powinien być gdzieś w głuszy. Czy ja wiem? Może szalaś, jakaś wyspa czy po prostu gęsty las. A więc Jaros nie mógł dojechać tam samochodem. Musiał iść piechotą. Teraz jest ranek, ślad nie jest zatarty, ponieważ niewielu ludzi chodzi po odległych leśnych obszarach... Zresztą dobry tropiciel ze znającym swoje rzemiosło przewodnikiem pójdzie i po bardzo nikłym śladzie.

- Trzeba spróbować - zgadza się inspektor.

Idzie do Cieślika, który siedzi w pokoju Jarosa i nie krępuje się już zupełnie - major słyszy jak wywiadowca perswaduje swemu więźniowi.

- Otrzymał mnie pan na przydział. Ojczyzna zadbała, żeby pan miał anioła stróża.

Jaros nie odpowiada - nerwowo ćmi papierosa. Cieślika to nie zraża.

- Niech pan lepiej powie, co pan zrobił z chłopakiem - radzi mu porucznik. - Panie, jeżeli on nie żyje, to od „krawata”, pan się nie wykręci. Może mi pan wierzyć, znam się na tym.

- Co pan mi imputuje? - denerwuje się Jaros. - Nic nie wiem o żadnym chłopcu. To bezprawie... Z jakiej racji trzymacie mnie jak więźnia. Na jakiej podstawie?!

- Karty rowerowej - wzrusza ramionami Cieślik. - Panie, żeby pan wiedział jaki z pana nudny przestępca. Powiedziałbym... średniak statystyczny. Dziewięćdziesięciu dziewięciu na stu naszych klientów z początku tak mówi jak pan. A o podstawę zatrzymania niech się pan nie martwi... niebawem będzie. Prokurator już pichci odpowiedni karteluszek. No, coś pan zrobił z chłopakiem?

Jaros wzrusza ramionami i odpala następnego papierosa.

Korosz wywołuje Cieślika na korytarz. Wywiadowca powraca po chwili.

- Potrzebuję pana pizamę - komunikuje Cieślik inżynierowi.

Jaros przygląda mu się przez chwilę sądząc, że to niesmaczny żart.

- No, co pan stoi jak ciekawa żona nieboszczyka Lota? Potrzebuję pana pizamę!

- Proszę sobie wziąć - Jaros wskazuje neseser. Porucznik potrząsa głową.

- Szczególnie upodobałem sobie tę, którą pan ma na sobie - grymasi. - Wyjątkowo szykowny wzorek. Proszę się przebrać, bo niedługo i tak pojedzie pan do Olsztyna. W pizamie nie wypada, A poza tym, jak człowiek jest rozmemłany, to ma gorsze samopoczucie.

- Mówi pan poważnie?

- Jak się będę chciał śmiać, to z braku innych powodów do wesołości, najwyżej się połaskoczę - wykrzywia się Cieślik. - Prędko proszę wyskakiwać z piżamki. Jeżeli pan wtydliwy, to się odwróć.

- To są brutalne szykany - Jarosa ogarnia wściekłość. - Złożę skargę... - oświadcza; jednak zdejmuję piżamę i rzuca ją Cieślikowi.

Generalny prokurator tęskni za pana skargą - odszczekuje się Cieślik. - Ostatnio brak mu zajęcia, więc mu się cni.

- Prostack - cedzi przez zęby Jaros, mierząc porucznika pogardliwym spojrzeniem.

Piżama Jarosa zostaje natychmiast dostarczona do-Szczytna.

Na podwórzu Komendy Powiatowej Milicji w Szczytnie istna psiarnia. Płowe, brązowe, podpalane i szare wilczury warują w cieniu.

Oficerowie wyznaczają tereny do penetracji dla tropicieli. Co chwila kolejny przewodnik psa wraz ze swoim pupilem wsiada do samochodu lub przyczepy motocykla i szybko odjeżdża.

- Plutonowy Kaczmarek - wywołuje dyżurny.

Młody chłopak z wielkim płowym psem wchodzi do pokoju, w którym rozlokował się sztab blokady.

Plutonowy pręży się w przepisowej postawie, jego wilczur siada tuż przy jego nodze. Jest to postawa „bacznosc” psa-tropiciela.

Plutonowy zerka na swego pupila, pochyla się gwałtownie i poprawia mu ogon.

Komendant wojewódzki, który to zauważył - powściąga uśmiech.

- On się już nigdy nie nauczy trzymać przepisowo ogona na bacznosc - tłumaczy zażenowany chłopak. - Indywidualista, zawsze mnie kompromituje... Ale poza tym, to najlepszy pies, jakiego znam.

Rex siedzi nieporuszony, jak martwa statua, a nie żywe stworzenie.

- Wasz teren - komendant przysuwa mapę do plutonowego - jezioro Rosy Wenedy. - Ołówek w ręku komendanta zamyka prostokąt, który w rzeczywistości stanowi kilkanaście kilometrów kwadratowych lasu.

- Mam prośbę, obywatelu komendancie!

- Słucham?

- Proszę o przewiezienie nas - wskazuje nieruchomego Rexa - motocyklem z przyczepą. Rex ma niesłychanie wrażliwy węch, on zwęszy nawet ducha... Samochód mu szkodzi - oświadcza plutonowy.

- Żadnemu psu nie pomaga.

- Ale Rexowi wyjątkowo szkodzi. To najlepszy pies w województwie - przekonuje milicjant.

- Ja nie mogę dopuścić, żeby mi zepsuto Rexa - stwierdza z desperacją plutonowy.

- Okazuje się, że mam same najlepsze psy w województwie - wzdycha z rezygnacją komendant.

Wszyscy przewodnicy tropicielei żądają motorów, bardzo niechętnie godząc się na przewożenie psa krytym samochodem.

Plutonowy otrzymuje Jawę, z przyczepą.

- No, ładuj tego swego bydlaka, chyżo - niecierpliwi się kierowca. - Jak pragnę wygrać w Toto-Lolka, co z was za dziwadła. Czy wy jesteście milicja, czy niańki dla psów. Co, na wystawę go wieziesz?

Plutonowy nie raczy odpowiedzieć na zrzęczenie kierowcy. Troskliwie lokuje Rexa w przyczepie, zwracając go nosem pod wiatr.

- Podściel mu poduszkę - prychna szofer.

- Ja się do twego grata nie wtrącam - nie wytrzymuje wreszcie plutonowy. - Zostaw. mego psa. On ma więcej rozumu w tylnej łapie, niż ty w całym globusie. Ruszamy!

Za Wiskitkami, już w lesie, plutonowy i Rex wysiadają.

- Siad! - rozkazuje milicjant i daje psu do obwąchania kawałek pizamy Jarosa, która została pocięta i rozdana po kawałku przewodnikom.

Pies sumiennie spełnia rozkaz i nie spuszcza pięknych, brązowych oczu z twarzy swego pana.

- Szukaj! - przewodnik rozwija linkę.

Wilczur podrywa się i z nosem przy ziemi zaczyna węszyć. Ale nie ma wskazanej woni - są najróżniejsze inne zapachy, niektóre bardzo silne, inne słabe, ulotne. Tysiące zapachów, tylko tego, którego kazano mu szukać, brakuje.

Pies biega w koło, zataczając coraz większe kręgi - a później skomli cicho, zawiadamiając człowieka, że mimo najlepszych chęci, nie może wykonać rozkazu.

Plutonowy przywołuje Rexa - odpina linkę, która płacze się wśród drzew, przechodzi dobre pół kilometra w linii prostej i ponawia rozkaz. Pies zaczynając od nowego punktu, zatacza coraz dalsze kręgi w poszukiwaniu wskazanego zapachu.

Ceremoniał powtarza się wiele razy. Przewodnik przebył kilka kilometrów, tropiciel znacznie więcej, a wciąż nie mogą trafić na pożądany ślad.

Milicjant nie zraza się - wierzy w swego Rexa i własne umiejętności pokierowania tym mądrym zwierzęciem. Jest pewny, że jeżeli, człowiek, którego szukają był niedawno na tym odcinku lasu, to na pewno znajdą jego trop.

Powoli, metodycznie od czasu do czasu, zerkając na dokładną mapę, człowiek z psem posuwają się naprzód. Ten sposób poszukiwania śladu jest bardzo wyczerpujący dla Rexa.

Docierają wreszcie w okolice, gdzie leśny dukt urywa się nagle, aby po kilkuset metrach leśnego bezdroża pojawić się jako ścieżka wspinająca się nad krawędzią urwistego brzegu jeziora

Rosy Wenedy.

Milicjant jest zmęczony. Z wywieszzonego języka Rexa ścieka piana. Plutonowy pozwala psu na chwilę wytchnienia. Wilczur układa łeb na wysuniętych łapach, odpoczywa.

Przewodnik znów podaje mu trop.

Pies wbiega na ścieżkę - zatacza krąg, wraca do punktu wyjścia, tkwi przez chwilę znieruchomiały z nosem przy ziemi, a później wielkimi susami sady przed siebie.

Znalazł trop! Trafiłem w teren, gdzie był ten człowiek - przewodnika ogarnia podniecenie.

Pies znika wśród drzew na krętym szlaku ścieżki. Plutonowy przywołuje go - pies posłusznie wraca na rozkaz. Siedzi cierpliwie, gdy przewodnik przypina mu linkę do szelek, ale drży nerwowo i piszczy cicho dając znać człowiekowi, że znalazł żądany zapach.

- Szukaj! - pies podrywa się natychmiast i rwie przed siebie, miarowo, równymi, długimi susami. Przewodnik biegnie za nim powoli wydłużając linkę. Rex czasem tylko przystaje, węszy przez króciutki moment i znowu biegnie po tropie swoim lekkim, pełnym wdzięku klusem.

Przewodnik nie ma już najmniejszej wątpliwości, że tropiciel idzie po śladzie. Stara się nadążyć za zwierzęciem i jak najmniej go stopować. Niestety, pies jest o wiele szybszy i plutonowy coraz częściej musi rozwijać kolejny zwój linki.

Teren gwałtownie się obniża - Rex wpada w podłużne wgłębienie płytkiej niecki. Dalej ściany wgłębienia robią się coraz wyższe, bardziej strome, na razie sięgają do kolan milicjanta, gdy posuwają się w głąb, strome poszarpane brzegi rozpadliny są na wysokości głowy człowieka, by utworzyć wreszcie dość głęboki wąwóz - pies idzie wciąż naprzód.

Polodowcowa szczelina - domyśla się plutonowy. - Dokąd on mnie zaprowadzi? - Orientuje się, że wąwóz skręca łagodnie w kierunku jeziora.

Milicjant na chwilę przystaje - skraca linkę, na której niecierpliwi się Rex. Nakazuje psu ciszę, sam wyciąga i odbezpiecza pistolet. Posuwa się teraz ostrożnie, szybkim marszem.

*

- Pozostały tylko te... Wiskitki - stwierdza Rajmund, wpatrując się w mapę.

Nieludzko zmęczeni, zakurzeni i brudni przystanęli w przydrożnym rowie. „Osa”, sfatygowana równie jak i oni, stoi oparta o pień drzewa.

- Do Wiskitek można bez trudu dojechać Fiatem - medytuje Jacek.

- Ja ci mówię, że w wiosce trudno ukryć człowieka - protestuje Rajmund. - We wsi wszyscy wszystko o wszystkich wiedzą po pięciu minutach. Milicja też żyje z ludźmi za pan brat. Jak nie sołtys, to sołtysowa zwierzy się sąsiadce, która opowie to milicjantowi.

- To gdzie go mógł ukryć? - zastanawia się po raz któryś Jacek.

- Jacek, a jeżeli on go zabił? Może go utopił? - Rajmund po raz pierwszy wyraża głośno

obawy, jakie nurtowały ich obu.

- Odknaj się, smętny katastrofisto, ze swymi domysłami - maskuje swój niepokój Jacek. - Myślisz, że nawet temu z fiata tak łatwo zabić człowieka? Pożarł się ze starym Szerynem, ale przecież do Tomka nic nie ma - uspokaja siebie chłopak. - Chciał zdobyć dokument, to zrobił taki parszywy numer... A poza tym chciał postraszyć starego, chyba również za to, że mu poderwał babkę.

- Najgorzej jak pierniki, stojące nad grobem, zamiast myśleć o nadkwasocie żołądka albo wystrzegać się zawału, zaczynają... ot!

- Odbiła szajba staremu Szerynowi, to fakt - Jacek zgadza się z kolegą. - Będzie Tomkowi głupio, jak się dowie o starcu.

- Masz zamiar go informować? - złości się nagle Rajmund. - Proponuję nie wtykać nosa w cudze sprawy. Trochę tolerancji, zwłaszcza dla starych, kape? Cholera cię trzęsie, jak ci włożą we flaki? No to nie rób drugiemu...

- Między-drzwi - uzupełnia Jacek parafrazując znane przysłowie.

- Jedziemy do łych kitek - decyduje Rajmund.

Przed wioską spotykają pastucha, który goni na ranny wypas gromadzkie bydło - pytają o fiata.

- Ojciec się z nami w drodze rozminął - wyjaśnia Rajmund.

Pastuch nie widział samochodu.

Chłopcy kręcą się po wsi - kupują mleko. Uparcie powtarzają wersję o ojcu. Nie, nikt nie widział takiego samochodu. Ludzie są podekscytowani, gwoździem dnia jest grupa mierniczych, która mierzy las. Wszyscy zastanawiają się, co to może być, czy to dobrze dla wioski, czy źle. Więc dla turystów nie mają czasu.

Chłopcy zostawiają „osę” w jakiejś zagrodzie.

Zagłębiają się w las. Docierają do znanej ścieżki wspinającej się zakosami nad urwistym brzegiem jeziora Rosy Wenedy. Zatrzymują się chwilę przed upamiętnioną piskami Anielki kłodą drzewa, przerzuconą nad szczeliną, w której huczy - zwielokrotniona echem - ciemna woda.

W milczeniu przechodzą przez kładkę.

- Rajmund, trzeba skapitulować - przerywa ciszę Jacek. Zgłaszajmy milicji. Myślę, że przeliczyliśmy swoje siły i możliwości.

- Gdyby nie ten patrol drogowy... - przypomina sobie Rajmund - nie zgubilibyśmy Jarosa z oczu. Wiesz, jeszcze trochę cierpliwości. Dojdźmy do tej plaży, na której siedzieliśmy wtedy, i wracajmy z powrotem.

*

Chłopiec powoli otwiera oczy - daleko w górze widzi nad sobą ciemne sklepienie, a na nim małe, błyszczące punkciki.

- Gwiazdy - myśli leniwie. Dobia go monotony szum. Woda - konstatuje.

Chce się podnieść, ale ciało, jest ciężkie, jak wypełnione ołowiem. Oczy też są zmęczone.

Przymyka - powieki zachowując pod nimi obraz dalekich gwiazd.

Gdy znowu się budzi, tam, wysoko, przez korony drzew widać skrawek jasnego błękitu nieba. Teraz już nie ma ołowiu w ciele - męczy go tylko straszliwe pragnienie. Stara się podnieść. Idzie mu to ciężko, nieskładnie, ale zwleka się i niezdarnie stawiając nieposłuszne stopy; mozolnie, krok za krokiem posuwa się w stronę, skąd dobiega plusk wody. Szmer jeziora jest coraz bliższy, ale siły zawodzą, miękkie kolana uginają się. człowiek osuwa się na ziemię. Leży chwilę odpoczywając w bezruchu. Rozhuštało się serce bije szybko, gwałtownie - bach, bach, huczy tętno.

Człowiek zbiera wszystkie siły, opiera się na rękach i mozolnie kontynuuje swą wędrówkę ku upragnionej wodzie...

Nagle, tuż zza niego wybiega pies - człowieka ścina przerażenie. Myśli, że to następna halucynacja. Zamiera na czworakach przygięty do ziemi - obserwuje zwierzę.

Pies na razie zupełnie się nim nie interesuje. Zatacza krąg, ciągle z nosem przy ziemi. Chwilę myszkuje nad wodą - wraca do człowieka - przytyka zimny, wilgotny nos do jego twarzy - prychnie ze wstrętem, stanowczo nie podobał mu: się zapach ciała tego człowieka. Kręci się jeszcze chwilę, obwąchując mu ubranie - później siada nad nim i wydaje krótkie, bezradne szczeknięcie.

Rex rzeczywiście jest bezradny, bo zapach, którego szukał, urywa się bezpowrotnie. Znalazł kogoś, kto pachnie zupełnie inaczej.

Za chwilę nad skurczonym, osłabionym chłopakiem pochyla się plutonowy.

- Pan jest Tomek Szeryn? - raczej twierdzi niż pyta, bo nie ma wątpliwości, kogo odnalazł jego Rex, najlepszy pies nie tylko w całym województwie, ale i na całym świecie.

Tomek kiwa głową.

- Chcę pić - prosi.

Plutonowy podaje chłopakowi wodę zaczerpniętą o kilka metrów jeziora.

- Dobry Rex, bardzo mądry pies - nie zapomina pochwalić przyjaciela i jak może najdelikatniej pomaga usiąść chłopakowi.

- Szuka pana milicja z całego województwa - informuje. - Więcej wody nie można - tłumaczy łagodnie - nie wiadomo co panu jest... ojciec się ucieszy! - mówi jednym tchem.

- Spadłem z kładki do jeziora - przypomina sobie na wspomnienie ojca. - Jak ja się tu znalazłem? - rozgląda się po parowie - nie mam pojęcia. Pamiętam, że miałem majaki. Raz mi się wydawało, że jestem wodą... cholernie nieprzyjemne uczucie - wstrząsa się na wspomnienie - a czasami... zaraz... Ale czasami dostawałem pić? To na pewno nie urojenia, bo później już przez

jakiś czas nie dręczyło mnie pragnienie. To był kwaśny i chłodny płyn... pamiętam. Więc jakim cudem... - wpatruje się bezradnie w plutonowego.

- Niech się pan nie męczy - przypomni pan sobie później. Iść pan może?

- Nie bardzo, ale spróbuję.

Podtrzymywany przez milicjanta, wlecze się z wysiłkiem kilka kroków. Plutonowy bierze go na plecy. Rex na rozkaz swego pana zamyka pochód. Ale milicjant jest bardzo zmęczony wielokilometrową gonitwą - rosły chłopak, zwisający bezwładnie, jest zbyt wielkim dla niego ciężarem.

- Muszę wezwać pomoc. Sam nie poradzę - pomaga wygodnie usiąść chłopakowi. - Rex, pilnuj! - wydaje polecenie psu

Wilczur siada obok Tomka i porozumiewawczo wachluje ogonem.

- Proszę się nie bać - mówi przewodnik. - Nie chcę pana pozostawiać samego. Rex potrafi w razie potrzeby nawet rozbroić bandziora. Nikogo do pana nie dopuści bez mego pozwolenia.

Milicjant wyrusza wąwozem, potem przedziera się przez gęsty młodniak. Na skraju lasu czeka przecież kierowca z „jawą”. Plutonowy ma kilka kilometrów przed sobą. Ma nadzieję, że bliżej natknie się na jakichś ludzi.

Rzeczywiście, gdy wchodzi na ścieżkę słyszy głosy - to Jacek z Rajmundem wracają ze swoich bezowocnych poszukiwań.

- Panowie, proszę-ze mną - zatrzymuje ich plutonowy. Trzeba przenieść rannego człowieka.

Idą za nim w milczeniu.

- Tomek!!! - wrzeszczą jednocześnie na widok siedzącego przyjaciela i gwałtownie rzucają się naprzód, ale równie szybko wrastają w miejsce.

Wielki, płowy wilczur, siedzący przy chłopcu, najeżył sierść i odsłonił w groźnym uśmiechu respekt budzący garnitur lśniących kłów.

*

Korosz siedzący cierpliwie przy radiostacji w wozie technicznym, słyszy jak się telefonicznie melduje w Szczytnie plutonowy Kaczmarek - przewodnik milicyjnego tropiciela.

Milicjant mówi z Wiskitek, Szczytno dopiero łączy z inspektorem. Głos milicjanta zniekształcają trzaski fal radiowych.

- Rex odnalazł zaginionego Tomka Szeryna w rejonie lasów nad Jeziorem Rosy Wenedy. Chłopiec jest osłabiony, proszę o skierowanie samochodu celem przewiezienia do szpitala. Samochód kierować do domu sołtysa w Wiskitkach - melduje plutonowy.

Inspektor biegnie do leśniczówki - bez pukania wpada do pokoju Szeryna. Paweł Szeryn siedzi bez ruchu w fotelu.

Po zabraniu Jarosa z leśniczówki, Szeryn wrócił z wyspy, na której spędził półtorej doby. Tu już nie można było ukryć przed nim tragicznej śmierci Magdaleny. Szeryn przyjął wiadomość z pozoru spokojnie - ale apatia, która go ogarnęła, była niepokojącym objawem zupełnego załamania psychicznego.

- Tomek żyje! - woła do niego od progu major - Przed chwilą został odnaleziony. Syn pana żyje! - powtarza major i potrząsa jego ramieniem.

Szeryn gwałtownie zrywa się z miejsca, jakby chciał gdzieś biec. Major łagodnie zatrzymuje go i podaje papierosa.

- Pan nie... kłamie?

Inspektor zabiera go do wozu technicznego.

- Szczytno! Szczytno! Proszę Wilgajny - wywołuje major.'

- Słucham, Szczytno! - przemawia głos w radiostacji.

- Proszę powtórzyć wiadomość o odnalezieniu chłopca. - Przy odbiorze ojciec!

Za chwilę przez trzaski przedziera się daleki głos plutonowego Kaczmarka, że Rex...

Szeryn nic nie mówi, stoi jeszcze chwilę z nisko pochyloną głową nad milczącym już Simplexem.

Inspektor cicho wycofuje się z wozu technicznego - idzie zawiadomić dziewczęta i Pelikana.

Na wiadomość o odnalezieniu Tomka, cała trójka wydaje unisono dziki, nieludzki wrzask, w którym przy dużej dozie dobrej woli można rozróżnić okrzyki: hura!

Anielka rzuca się majorowi w ramiona i całuje go w policzek - inspektor jest lekko zakłopotany.

- Hura dla równego milicjanta! - piszczy Anielka.

Nieartykułowany, przeraźliwy wrzask powtórnie rozdziera ciszę lasu. Major uśmiecha się - myśli, że młodzież w taki sposób pozbywa się napięcia, lęku i przygnębienia, w jakim żyła od kilku dni.

Kolejne wrzaski odbywają się w jakiś czas później, gdy przed leśniczówkę zajeżdża „osa”, a na niej Jacek i Rajmund.

Wszyscy chcą natychmiast jechać do Szczytna - a jedna „osa” jest stanowczo za mało pakowna.

Do majora podchodzi Paweł Szeryn.

- Chciałbym pojechać do mojego chłopca - z wahaniem patrzy na inspektora.

- Nie widię przeszkód, proszę pana - mówi z uśmiechem major.

Ruchem głowy wskazuje zbitą w ciasne stadko gromadkę, która z respektem trzyma się na odległość od ojca Tomka.

- Oni też chcą jechać. Myślę, że im pan wybaczy...

Na zmęczonej twarzy Szeryna. pojawia się nieśmiały uśmiech.

Młodzi ludzie rozprawiają o czymś gorączkowym szeptem.

- Wykosi nas, zobaczcie - dobiega głośniejsze westchnienie Pelikana.

Cała grupa sztywno rusza w stronę Szeryna i inspektora. Zatrzymują się przed Pawłem Szerynem.

- Przepraszamy pana - bąka Dorota i oblewa się szkarłatnym rumieńcem aż po czubki włosów.

- Wszyscy pana bardzo przepraszamy - wspiera koleżankę Anielka i układa usta w ryjek.

- Przykro nam za to wszystko... ale to nie było ze złej woli - gorąco zapewnia Rajmund.

- Naprawdę bardzo nam niewyraźnie i czujemy się nie w porządku wobec pana - poważnie stwierdza Pelikan. - Ale rozumie pan, ludzie czasami się mylą... tym bardziej, że zachowanie pana w stosunku do nas było dziwne... teraz rozumiemy... - Pelikan uważa, że wyjaśnienie jest wystarczająco wyczerpujące. Wyciąga dłoń do Szeryna.

Paweł Szeryn bez wahania ściska rękę chłopca - teraz wyciągają się do niego wszystkie dłonie.

- Chodźcie, zabiorę was do Szczytna - Szeryn przypieczętowuje zgodę.

Znowu podnosi się wrzask, tym razem na cześć Szeryna.

Na podwórko wjeżdża Cieślik, biorąc motorom efektowny zakręt. Porucznik prowadzi motor jedną ręką, w drugiej pod pachą nonszalancko dzierży dwie okazałe, trzepoczące się kaczki.

Ptaki zieją przerażone, wydając od czasu do czasu żalosne, schrypnięte: kwa!

Wywiadowca uroczyście wręcza kaczki Anielce.

- Prezent ode mnie. Niestety, kaczora we wsi nie było do sprzedania, ale kaczki szykowne, największe jakie były.

Szeryn wyprowadza samochód - młodzi ludzie w rozterce patrzą na inspektora.

- Panie majorze, co z nami będzie? - wyraża obawę w imieniu wszystkich Pelikan, widząc oczyma duszy lawinę paragrafów jaka nie przestała im grozić.

- Kaczki już są - wstawia się Cieślik - a leśniczyna dotychczas nie złożyła zameldowania o kradzieży... i nie złoży. No co, majone? - Cieślik natarczywie patrzy na swego szefa.

Anielka bystro strzyże czarnymi ślepkami na porucznika - widać, że jego rozumowanie niezwykle trafia jej do przekonania. Podaje kaczki Jackowi.

- Kopnij się, a chyżo, na farmę i wpuść tam drób. Nie widzisz, że chcą pić? - upomina z wyrzutem.

Chłopak znika z dziedzińca z szybkością sprintera, wrzeszczącymi kaczkami w ramionach.

- Jak dotychczas, Paweł Szeryn też nie złożył na was skargi - wolno mówi major. - Jeżeli nie złoży?... No to cóż, ja nie jestem zbytnio zainteresowany tym, aby ściśle dochodzić... dlaczego

znalazł się na wyspie.

- To znaczy, że się nam upiekło? - upewnia się Pelikan.

Inspektor jest w rozterce, że nie wykazał zmysłu pedagogicznego

w stosunku do tych młodych, pomysłowych ludzi, cierpiących na przerost inicjatywy.

- Proponuję umowę - nie daje za wygraną - chciałbym usłyszeć przyrzeczenie, że już nigdy w taki sposób nie będziecie wyręczali milicji. Zgoda? Jak sami widzicie, zajęcie jest dość męczące, a kodeks karny może mieć bardzo szerokie zastosowanie.

*

Pułkownik Lis otwiera szerzej okno, aby wywietrzyć zadymiony pokój. Upały trwają nadal - Warszawa bucha żarem.

Korosz zapala nowego papierosa - przed chwilą zakończył ostatnie przesłuchanie Adama Jarosa.

- Pomysł z kidnappingiem przyszedł mu do głowy pod wpływem tej dokumentacji, którą sprokurował technolog. Oczywiście technologowi chodziło o zyski. Jaros chciał zniszczyć Szeryna. Znając go, doskonale wiedział, że dyrektor nie podpisze takiego dokumentu na podstawie atutów, jakimi dysponował technolog.

- Potężnie się bałem o życie chłopaka - wzdycha Lis.

- Jaros sprytnie przeprowadził to porwanie - podejmuje major. - Nadaje depezę do chłopaka, czeka koło tej kładki. Jak się człowiek niczego nie spodziewa, to wystarczy go trącić. Chłopak spadając do wody solidnie się poobijał - stracił przytomność. Wtedy wyłowił go jak kociaka i zawlókł w ten dziki jar. Nie na każdej mapie jest on uwidoczniiony - Jaros znał Mazury jak rzadko kto.

- Zbrodnicze praktyki - oburza się Lis. - Chłopak spadając mógł się przecież zabić, mógł się utopić, zanim go tamten wyciągnął... przecież była noc.

- Mógł - zgadza się inspektor. - A później wystarczyło, że tylko aplikował mu evipan i chłopak nie miał pojęcia, czy go ktoś wyłowił, czy sam się wywlókł z tego jeziora i w jaki sposób.

- Dość sprytnie - zgadza się Lis. - W razie gdyby go ktoś tam odkrył trudno udowodnić, że to kidnapping. Chłopak poza majakami i faktem, że spadł do wody, nic nie pamięta - ZAGUBIŁ CZTERY DNI. Nigdy w życiu nie potrafiłby wskazać sprawcy. Nie miał pojęcia, że w ogóle był jakiś sprawca.

- Dlatego Jaros był taki pewny siebie podczas blokady, gdy w czasie poszukiwań chłopca siedział pod dozorem Cieślaka. Był butny jeszcze przez cały czas w olsztyńskim areszcie, sądząc, że nikt nie wie o tym, że zakopał w nocy resztę evipanu. Wiedział, że narkoza przestanie działać, ponieważ dość długo chłopak nie otrzymał następnej dawki, ale to niczego nie dowodziło, nie

świadczyło przeciwko niemu.

- Jasne jest, dlaczego jak najszybciej chciał wymusić od Szeryna ten podpis. Nie można zbyt długo trzymać, nawet zdrowego człowieka, pod narkozą. A swoją drogą, chłopak ma serce mocne jak maszyna - mówi pułkownik.

Cholernie nieprzyjemny facet - wtrąca major. - Zimne okrucieństwo. Dawka evipanu chłopcu, potem kurs do ojca i znowu od początku to samo. Musiał brać pod uwagę, że chłopak może nie wytrzymać i umrzeć. A jednak załamała go śmierć tej kobiety - dodał po chwili.

- Widzisz, od początku mówiłem, że to samobójstwo - przypomina pułkownik.

- Heniu, pierwszego dnia po jej śmierci sypała się na mnie jedna niespodzianka po drugiej, a każda dziwniejsza, i bardziej zaskakująca od poprzedniej. Miałem wszelkie powody ku temu, żeby brać pod uwagę ewentualność morderstwa - usprawiedliwia się major. - Trochę zafascynowała mnie sceneria tego zamachu - przyznaje po chwili. - Tym bardziej że nie można było z początku ustalić źródła pochodzenia morfiny, którą się otruła. Najbardziej zmylił mnie ten, powiedziałbym, niedokończony luminal.

- Cóż, najtrudniej i najdłużej ustala się przyjacielskie kontakty człowieka - wzdycha pułkownik. - A sceneria? Wcale - nie taka niezwykła.

- Mówisz tak, bo nie widziałeś wtedy tego pokoju - upiera się inspektor. - To wyglądało na teatralne przygotowanie rekwizytów.

- Możliwe - zgadza się Lis. - Potrwało trochę - wraca do swojej myśli - zanim znalazła się jej przyjaciółka, lekarka. Sama zgłosiła się, gdy przeczytała nekrolog w gazecie. To ona zaopatrzyła tę kobietę w morfinę. Uważała, że w wypadku ataku, który groził Magdalenie, będzie mogła uśmierzyć ból, zanim na to odludzie dotrze lekarz i zanim zostanie zrealizowana recepta. Gdy Magdalena zdecydowała się odebrać sobie życie, sięgnęła po luminal. Ale ponieważ luminal zażywała prawie codziennie, jako środek na bezsenność, doszła do wniosku, że może nie być skuteczny. Ta kobieta nie należała do ludzi, którzy trują się na pokaz, z nadzieją - często złudną - na odratowanie.

- Tak, ona nie chciała żyć.

- To mógł być chwilowy kryzys, gdyby wówczas miała obok siebie kogoś bliskiego... życzliwego...

- Została w pustce, przynajmniej tak jej się wydawało. Straciła zaufanie do Szeryna, bo on, przerażony, zaabsorbowany wyłącznie niebezpieczeństwem grożącym synowi, nie powiedział jej - prawdy. Wyrzekł się jej nagle, bezpowrotnie, dla błahej w jej pojęciu przyczyny. Ta kobieta nie mogła przeżyć omyłki, jaką popełniła w ocenie bliskiego jej człowieka.

- ... więc przypomniawszy sobie morfinę - podejmuje Lis. - Każdy wie, że duża dawka tego narkotyku sprowadza śmierć. Przy tym śmierć pod wpływem morfiny jest - jeżeli można użyć tego

słowa - mniej przykra. Przebiega bardziej łagodnie.

- Szkoda mi tej kobiety - mówi w zamyśleniu major, przypominając sobie jej smutną, skupioną twarz.

KONIEC